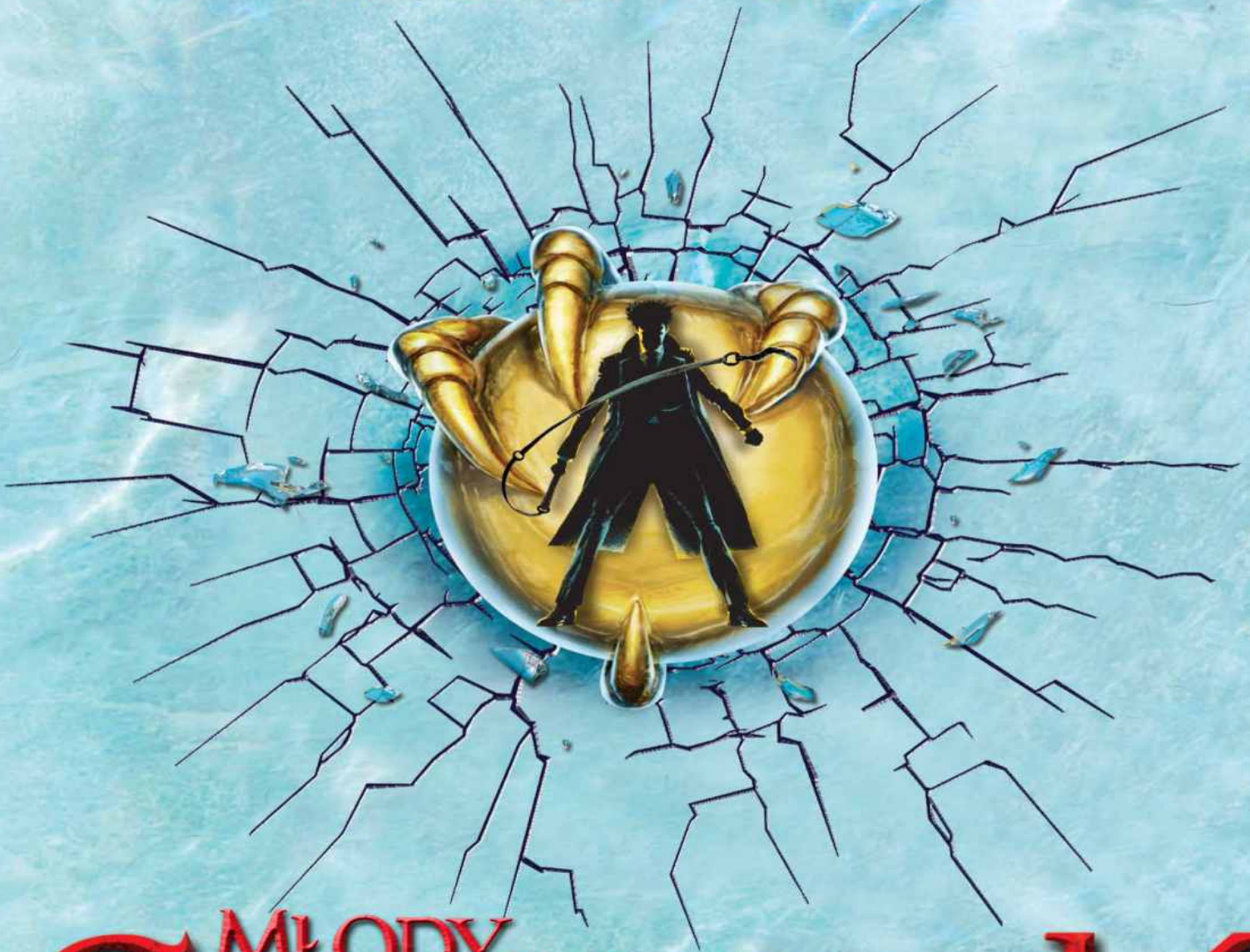


ANDREW LANE



MŁODY
SHERLOCK
HOLMES

LODOWE OSTRZE

Andrew Lane

Młody Sherlock Holmes
Lodowe ostrze

Przełożyła Dominika Cieśla-Szymańska



Tytuł oryginału: Young Sherlock Holmes. Black Ice

Copyright © 2011 Andrew Lane

The original edition is published by Macmillan Children's Books, London

Copyright © for the Polish edition by Grupa Wydawnicza Foksal, MMXIII

Copyright © for the Polish translation by Grupa Wydawnicza Foksal,

MMXIII

Wydanie I

Warszawa

Spis treści

Dedykacja

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Komentarz historyczny.

Dedykuję Davidowi Richardsonowi, Justinowi Richardsowi i Jac Farrow za to, że znosili moje zmienne nastroje podczas pisania tej książki; Ruth Alltimes i Katharine Smales za opiekę w Bolonii oraz Louisowi Alcockowi, który urodził się mniej więcej wtedy, kiedy skończyłem pisać.

Chciałbym też wyrazić wdzięczność Philipowi Ardaghowi za dociekliwe pytania o Jeremy'ego Bretta oraz studentom z zajęć na temat literatury dziecięcej na Uniwersytecie Lancaster za to, że nie zadawali zbyt dociekliwych pytań o Jeremy'ego Bretta.

ROZDZIAŁ 1



Słońce migotało na powierzchni wody, kłując Sherlocka w oczy sztyletami światła. Mrugał raz po raz i przymykał powieki, żeby uchronić źrenice przed blaskiem.

Niewielka łódka wiosłowa kołysała się łagodnie pośrodku jeziora. Dookoła we wszystkich kierunkach rozciągały się trawiaste zbocza, porośnięte tu i ówdzie krzakami i drzewami. Jezioro znajdowało się jakby na dnie zielonej wazy, której pokrywkę stanowiło bezchmurne, błękitne niebo.

Sherlock siedział na dziobie łodzi, zwrócony tyłem do kierunku ruchu. Amyus Crowe usadowił się na rufie, ta pod jego ciężarem zanurzała się w wodę, co powodowało, że dziób wznosił się do góry. W rękę mężczyzna trzymał bambusową wędkę. Z jej czubka zwisała cienka żyłka z przyczepionym na końcu pęczkiem piórek, który dryfował na powierzchni wody. Była to przynęta, która głodnym rybom miała wydawać się muchą.

Między nimi, na dnie łódki, stał pusty wiklinowy koszyk.

– Dlaczego zabrał pan tylko jedną wędkę? – zapytał z niezadowoleniem Sherlock.

– To nie jest dobry dzień na wędkowanie – odparł dobrodusznie Crowe, obserwując przynętę unoszącą się na wodzie – mimo że można by odnieść takie wrażenie. Nie. To jest lekcja umiejętności życiowych.

– Powinienem był się domyślić – mruknął Sherlock.

– Chociaż być może w ten sposób zdobędziemy też coś na kolację dla mnie i Virginii – przyznał Crowe. – Zawsze staram się realizować kilka celów jednocześnie.

– Więc ja mam tylko siedzieć? – zapytał Sherlock. – I patrzeć, jak łowi pan sobie ryby na kolację?

– Mniej więcej. – Crowe uśmiechnął się.

– A czy to długo potrwa?

– Cóż, to zależy.

– Od czego?

– Od tego, czy jestem dobrym wędkarzem, czy nie.

– A jakie trzeba mieć cechy, żeby być dobrym wędkarzem? – zapytał Sherlock. Wiedział, że plecie sznur na własną szyć, ale nie mógł się powstrzymać.

Zamiast odpowiedzieć, Crowe zaczął kręcić mosiężnym kołowrotkiem. Trzymając za jego kościaną rączkę, zręcznie zwijał żyłkę. Pierzasta przynęta wyskoczyła nad powierzchnię, ociekając migoczącymi kropelkami wody. Poderwał wędkę. Żyłka pofrunęła nad jego głową tak szybko, że przynęta aż zniknęła w pędzie. Znów machnął wędką, sztuczna mucha zatoczyła ósemkę na tle błękitnego nieba i z cichym pluskiem spadła na powierzchnię jeziora w innym miejscu. Crowe spojrzał na nią z lekkim uśmiechem.

– Jak wie każdy dobry wędkarz – powiedział – ryba reaguje inaczej w zależności od temperatury i pory roku. Na przykład wiosną wczesnym rankiem ryby w ogóle nie biorą. Woda jest zimna i nie nagrzewa się za bardzo, bo słońce jest nisko i jego promienie odbijają się od powierzchni, więc ryby są ospałe. Ponieważ to stworzenia zimnokrwiste, zależne od otoczenia, krew krąży w nich powoli. Ale wystarczy poczekać do przedpołudnia albo wczesnego popołudnia, a wszystko pomału się zmienia. Ryby zaczynają brać, bo słońce ogrzewa wodę, dzięki czemu są bardziej ruchliwe. Oczywiście wiatr przesuwca cieplejszą warstwę wody, owady i inny drobiazg, którym się żywią, więc wędkarz musi podążać za tym ruchem. Nie ma sensu łowić tam, gdzie woda jest wciąż zimna albo gdzie nie ma pokarmu. A wszystko to może się zmienić w zależności od pory roku.

– Czy mam robić notatki? – zapytał Sherlock.

– Masz głowę na karku, więc jej użyj. Zapamiętaj fakty. – Crowe prychnął i mówił dalej: – Zimą na przykład woda jest zimna, czasem nawet zamrożona, i ryby nie ruszają się zbyt szybko. Żyją głównie dzięki zapasom tłuszczu, które zgromadziły jesienią. Zima to nie jest dobra pora na wędkowanie. A teraz powiedz, czego się jak na razie dowiedziałeś?

– No dobrze... – Sherlock szybko przebiegł myślą zapamiętane fakty. – Wiosną należy łowić późnym rankiem albo wczesnym popołudniem, a zimą lepiej pójść na targ i kupić coś od handlarza.

Crowe roześmiał się.

– Dobre podsumowanie faktów, ale pomyśl o tym, co za nimi się kryje. Jaka jest zasada, która je wyjaśnia?

Sherlock zastanowił się chwilę.

– Ważna jest temperatura wody, a ona zależy od tego, jak mocno grzeje słońce i czy świeci wprost na powierzchnię, czy też pod kątem. Wystarczy pomyśleć, gdzie jest słońce i gdzie nagrzało wodę, a tam będą ryby.

– Znakomicie.

Przynęta zadrgała lekko. Crowe pochylił się, wpatrując się w nią wyblakłymi niebieskimi oczami spod krzaczastych brwi.

– Każdy gatunek ryb woli nieco inną temperaturę – ciągnął cicho. – Dobry wędkarz umie połączyć tę wiedzę z tym, jaka jest pora roku, pora dnia i ogólne warunki nad jeziorem, żeby ustalić, jakie ryby będą w danej części zbiornika w określonej porze roku.

– To wszystko jest bardzo interesujące – powiedział ostrożnie Sherlock. – Ale wędkarstwo to chyba hobby nie dla mnie. Wygląda na to, że wymaga głównie siedzenia i czekania na to, co się stanie. Jeśli już mam siedzieć długi czas w jednym miejscu, wolę mieć w ręku książkę niż wędkę.

– Jak w prosty, nieskomplikowany sposób próbuję ci przekazać – odrzekł cierpliwie Crowe – chodzi tylko o to, że jeśli chcesz coś złapać, musisz podejść do tego systematycznie. Zapamiętaj zwyczaje swojej zwierzyny i to, jak się one zmieniają pod wpływem otoczenia i okoliczności. Dotyczy to tak samo ryb, jak i ludzi. Każdy człowiek ma swoje upodobania, ulubione miejsca oraz pory dnia i te preferencje mogą się zmieniać w zależności od tego, czy świeci słońce, czy pada deszcz, czy akurat jest głodny, czy najedzony. Musisz znać swoją zwierzynę, żeby przewidzieć, gdzie jej szukać. Wtedy możesz użyć przynęty, takiej jak te ładne piórka powiązane nitką, czegoś, czemu ofiara nie będzie mogła się oprzeć.

– Rozumiem – powiedział Sherlock. – Czy możemy już wracać?

– Jeszcze nie. Wciąż nie mam nic na kolację. – Crowe przebiegał wzrokiem powierzchnię jeziora, jakby się za czymś rozglądał. – Kiedy już znasz swoją zwierzynę i jej nawyki, musisz szukać oznak jej obecności. Bo przecież nie wyskoczy ci nagle przed nosem. Nie, będzie się czaić, będzie ostrożna, a ty będziesz musiał wypatrywać subtelnych sygnałów, że jest

w pobliżu. – Wpatrzył się w wodę jakieś cztery metry od łódki. – Na przykład spójrz tam. – Skinął głową. – Co widzisz?

Sherlock popatrzył we wskazanym kierunku.

– Wodę?

– Co jeszcze?

Zmrużył oczy przed blaskiem słońca, próbując dostrzec to, co widział Crowe. Na chwilę woda w jednym miejscu zapadła się nieco, tworząc jakby odwrotność fali. Ale tylko na moment, potem wszystko było tak jak przedtem. Teraz, kiedy już wiedział, czego szuka, Sherlock znalazł więcej takich zagłębień, które pojawiały się i zaraz znikwały, tak jakby powierzchnia wody ugięła się lekko.

– Co to takiego?

– Nazywają to „wsysaniem” – odparł Crowe. – To się dzieje, kiedy ryba, w tym przypadku pstrąg, zawisa pyskiem do góry tuż pod powierzchnią wody w oczekiwaniu na larwy owadów. Gdy jakąś zobaczy, połyka wodę, a razem z nią larwę. Na powierzchni widać tylko małe zagłębienie, kiedy pstrąg wciąga wodę razem z larwą. A to, przyjacielu, mówi nam, gdzie jest pstrąg.

Przeciągnął wędkę, tak że przynęta przesunęła się po tafli jeziora, aż do miejsca, gdzie Sherlock widział pstrągi wsysające larwy. Przez chwilę nic się nie działo, a potem przynęta nagle się zanurzyła. Crowe zaczął kręcić kołowrotkiem ile sił. Z wody wystrzeliła srebrna fontanna z trzepoczącą się rybą. Pstrąg o nakrapianej na brązowo skórze zaczepił pyskiem o haczyk ukryty w przynęcie. Crowe zręcznie poderwał wędkę, a ryba wylądowała w łódce, rzucając się rozpaczliwie. Trzymając wędkę jedną ręką, tak żeby nie wpadła do wody, Crowe sięgnął za siebie i wydobyl spod siedzenia drewnianą pałkę. Jeden szybki cios i pstrąg znieruchomiał.

– Czego więc nauczyliśmy się dzisiaj? – zapytał dobrodusznie, kiedy wyjął haczyk z rybiego pyska. – Poznaj zwyczaje swojej zwierzyny, dowiedz się, na jaką przynętę można ją zwabić i co wskazuje, że jest w pobliżu. Dzięki temu zwiększysz swoje szanse na udane polowanie.

– Ale czy kiedykolwiek będę miał okazję polować na kogoś lub na coś? – zapytał Sherlock, który rozumiał sens lekcji, ale nie do końca wiedział, w jaki sposób ma go dotyczyć. – Wiem, że w Ameryce był pan łowcą przestępców, ale wątpię, żebym kiedykolwiek miał zajmować się tym samym. Pewnie zostanę bankierem albo kimś takim. – Gdy wymawiał te słowa, czuł, jak narasta w nim przygnębienie. Nudna praca przy biurku

była ostatnią rzeczą, jakiej pragnął, ale sam nie wiedział, co innego mógłby robić.

– Och, w życiu jest mnóstwo rzeczy, na które warto zapolować – powiedział Crowe, wrzucając rybę do kosza, który przykrył wiklinową pokrywką. – Może wpadniesz na pomysł jakiegoś zyskownego interesu i będziesz chciał zdobyć odpowiednich inwestorów. Może w jakimś momencie zapragniesz znaleźć sobie żonę. Albo schwytać kogoś, kto będzie ci winien pieniądze. Powodów, żeby kogoś tropić, jest mnóstwo. Podstawowe zasady pozostają te same. – Zerkając na Sherlocka spod krzaczastych brwi, dodał: – Sądząc po twoich dotychczasowych doświadczeniach, może się zdarzyć, że w swoim życiu napotkasz jeszcze morderców i przestępców. – Wziął wędkę i znów zamachnął się nią tak, że przynęta zatoczyła ósemkę nad jego głową, po czym wpadła do wody. – A ostatecznie pozostają jeszcze jelenie, dziki i ryby.

Powiedziawszy to, znów usadowił się na rufie z na wpół przymkniętymi oczami. Przez następną godzinę Crowe oddawał się wędkowaniu, a Sherlock się przyglądał.

Kiedy złapał jeszcze dwie ryby, które kolejno dobił i wrzucił do koszyka, Amyus Crowe odłożył wędkę na dziób i się przeciągnął.

– Myślę, że czas wracać – oświadczył. – Chyba że chcesz sam spróbować?

– A co ja bym zrobił z rybą? – zapytał Sherlock. – W domu stryjostwa jest kucharka. Śniadanie, lunch i obiad pojawiają się na stole, a ja nie muszę się o to martwić.

– Ale ktoś musi złapać zwierzęta, żeby zrobić z nich jedzenie – powiedział Crowe. – Być może pewnego dnia znajdziesz się w takim położeniu, że będziesz musiał sam zatroszczyć się o to, skąd wziąć coś na ząb. – Uśmiechnął się. – A może chcesz zrobić niespodziankę uroczej pani Eglantine i przynieść na kolację tłustego pstrąga?

– Mógłbym go jej podrzucić do łóżka – mruknął Sherlock. – Może to by wystarczyło.

– Kuszące – rzekł rozbawiony Crowe. – Ale nie rób tego, lepiej nie.

Ujął wiosła i powoli popłynęli do brzegu. Przycumowawszy łódkę do słupa wbitego w ziemię, ruszyli z powrotem do domu Crowe'a.

Ścieżka wiodła stromym zboczem kotliny, w której znajdowało się jezioro. Crowe szedł przodem, niosąc koszyk. Choć był potężnej postury, kroczył zaskakująco cicho. Sherlock podążał za nim, teraz już nie tylko znudzony, lecz także zmęczony.

Dotarli do krawędzi zbocza, za którą teren przechodził w równinę. Crowe zatrzymał się, żeby Sherlock mógł go dogonić.

– Warto zapamiętać – powiedział, wskazując na błękitne jezioro. – Jeśli polujesz, niech cię nie kusi, żeby zatrzymywać się w miejscu takim jak to, by podziwiać widoki albo rozejrzeć się po okolicy. Pomyśl, jak musimy wyglądać z punktu widzenia zwierzęcia w lesie, wyraźni na tle nieba. Widać nas stąd na kilka mil.

Zanim Sherlock zdążył cokolwiek odrzec, Crowe ruszył dalej, brnąc przez poszycie. Sherlocka zaciekawiło, skąd jego nauczyciel wie, dokąd iść, skoro nie ma kompasu. Już chciał zapytać, ale zamiast tego postanowił, że sam do tego dojdzie. Crowe mógł się kierować tylko wyglądem otoczenia. Słońce wstało na wschodzie, a zajdzie na zachodzie, ale to nie na wiele się przyda w południe, kiedy ma się je dokładnie nad głową. A może? Sherlock zastanowił się przez chwilę i zdał sobie sprawę, że słońce ma się dokładnie nad głową tylko na równiku. W kraju na półkuli północnej, takim jak Anglia, punkt najbliższy równika jest daleko na południu, więc słońce znajduje się na południe od miejsca nad głową. Pewnie tym właśnie kieruje się Crowe.

– A mech rośnie zwykle bujniej po północnej stronie pni! – zawołał Crowe przez ramię. – Jest bardziej zacieniona, więc jest tam wilgotniej.

– Jak pan to robi? – odkrzyknął w odpowiedzi Sherlock.

– Co robię?

– Zgaduje pan czyjeś myśli i wtrąca się we właściwym momencie?

– A! – Crowe roześmiał się. – Tę sztuczkę wyjaśnię ci innym razem.

Gdy tak wędrowali przez las, Sherlock stracił poczucie czasu, ale w pewnym momencie Crowe zatrzymał się, przykucnął i odłożył koszyk.

– Co możemy wywnioskować z tych śladów?

Sherlock ukucnął obok niego. Na miękkiej ziemi pod drzewem zobaczył odcisnięte ślady racic w kształcie serca.

– Przeszedł tędy jelen? – zaryzykował, starając się od razu wyciągnąć wnioski.

– W rzeczy samej, ale w którą stronę poszedł i ile miał lat?

Sherlock przyjrzał się uważnie tropom, próbując wyobrazić sobie wielkość zwierzęcia i stan jego zdrowia.

– W tym kierunku? – powiedział, wskazując na zaokrągloną część tropu.

– W odwrotnym – poprawił go Crowe. – Myślisz o kopytach końskich, w których zaokrąglona część jest z przodu. Tymczasem u jelenia to ostry

koniec kopyta zawsze wskazuje kierunek, w którym szedł. I był to młody jeleni. Można to poznać po niewielkich owalnych kształtach za tropem. To odcisk tak zwanych raciczek.

Rozejrzał się.

– Spójrz tam – powiedział, kiwając głową. – Czy widzisz ten ślad wiodący prosto przez krzewy i trawę?

Sherlock musiał przyznać Crowe'owi rację – był tam ślad, mało widoczny, krzewy i trawy lekko rozchyłały się na boki. Na oko miał jakieś pięć cali szerokości.

– Jelenie przez cały dzień przemieszczają się między miejscem, w którym nocują, a swoim ulubionym wodopojem, próbując znaleźć coś do jedzenia – powiedział Crowe, wciąż siedząc w kucki. – Kiedy znajdują bezpieczną drogę, trzymają się jej, chyba że je coś przepłoszy. Jaki z tego wniosek?

– Zwierzyna ma stałe zwyczaje, które zmienia tylko wtedy, gdy ktoś zakłóci jej spokój? – odparł ostrożnie Sherlock.

– Zupełnie słusznie. Zapamiętaj to. Jeśli szukasz człowieka, który lubi sobie wypić, sprawdzaj gospody. Jeśli szukasz kogoś, kogo ciągnie do hazardu, zagłądaj na wyścigi. Poza tym wszyscy muszą się jakoś przemieszczać, więc warto rozmawiać z woźnicami i konduktorami, może zapamiętali tego, kogo szukasz.

Wyprostował się, znów podniósł koszyk i ruszył między drzewa. Sherlock poszedł za nim, rozglądając się dookoła. Teraz, kiedy Crowe pokazał mu, na co ma zwracać uwagę, dostrzegał na ziemi różnego rodzaju tropy: jeleni różnych rozmiarów i najwyraźniej jeszcze innych zwierząt, może dzików, może borsuków albo lisów, a także ledwo widoczne ścieżki w poszyciu, tam gdzie przechodzące zwierzę zostawiło odchyłone gałązki i trawy. To, co wcześniej było niewidoczne, nagle stało się oczywiste. Teraz zauważał wokół siebie dużo więcej szczegółów.

Po półgodzinie dotarli do bram dworu Holmesów.

– Tutaj się rozstaniemy – powiedział Crowe. – Spotkajmy się jutro. Chciałbym nauczyć cię jeszcze kilku rzeczy o polowaniu i tropieniu.

– Może wejdzie pan na chwilę? – zapytał Sherlock. – Poprosiłbym kucharkę, by zrobiła nam herbaty, a jedna ze służących mogłaby wypatroszyć ryby.

– To niezwykle uprzejme z twojej strony – zadudnił Crowe. – Chyba skorzystam z twej hojnej propozycji.

Żwirowym podjazdem przeszli razem na imponujący ganek dworu Holmesów. Tym razem Sherlock szedł pierwszy.

Bez pukania otworzył drzwi frontowe.

– Pani Eglantine! – zawołał śmiało.

Z cienia u stóp schodów wyłoniła się ciemna postać, która ruszyła w ich kierunku.

– Panicz Sherlock – zaszeleścił suchy jak jesienne liście głos ochmistrzyni. – Zdaje się, że traktuje pan ten dom raczej jak hotel niż jak dom pańskiej rodziny.

– A pani zachowuje się tak, jakby była pani członkiem rodziny, a nie częścią służby – odparł zimno, choć z drżeniem serca. – Pan Crowe wypije ze mną popołudniową herbatę. Proszę się tym zająć. – Stał, czekając, niepewny, czy pani Eglantine posłucha jego polecenia, czy może odprawi go ze zjadliwą uwagą. Miał poczucie, że ona sama nie jest pewna, co zrobić. Po chwili odwróciła się jednak bez słowa i wolnym krokiem skierowała się do kuchni.

Poczuł nagłą, niepohamowaną chęć, by posunąć się jeszcze dalej i dopiec kobiecie, która tak bardzo uprzykrzyła mu życie w ciągu ostatniego roku.

– Och – dodał, wskazując na wiklinowy koszyk stojący u stóp nauczyciela – pan Crowe złapał trochę ryb. Niech pani będzie tak dobra i każe komuś je wypatroszyć.

Pani Eglantine odwróciła się z miną, od której mogłoby skwaśnieć mleko, a owce przedwcześnie urodzić młode. Zacisnęła usta, próbując pohamować słowa, które miała zamiar wypowiedzieć.

– Oczywiście – wycedziła wreszcie przez zęby. – Przyślę kogoś po koszyk. Zechciałby pan zostawić go tutaj i udać się do salonu.

Na powrót zniknęła w cieniu.

– Powinieneś uważać na tę kobietę – rzekł Crowe. – Kiedy patrzy na ciebie, w oczach ma żądzę mordy.

– Nie pojmuję, dlaczego stryjostwo tolerują jej obecność – odparł Sherlock. – Ona wcale nie jest szczególnie dobrą ochmistrzynią. Reszta służby tak bardzo się jej boi, że ledwo może wykonywać swoje obowiązki. Pomywaczkom tak trzęsą się ręce, kiedy ona jest w pobliżu, że wciąż upuszczają talerze.

– To problem wart zbadania – zadumał się Crowe. – Jeśli tak jak mówisz, ona wcale nie jest dobrą ochmistrzynią, musi być jakiś inny ważny powód,

dla którego się ją tu trzyma mimo jej kwaśnego usposobienia. Może twoi stryjostwo są jej coś dłużni, jej albo jej rodzinie, i w ten sposób spłacają ten dług. Albo może zna jakieś fakty, które twoi krewni woleliby utrzymać w tajemnicy, i ona szantażuje ich, żeby zachować ciepłą posadkę.

– Myślę, że Mycroft powinien coś wiedzieć – powiedział Sherlock, przypominając sobie list, który dostał od brata, kiedy po raz pierwszy przyjechał do dworu Holmesów. – Chyba mnie przed nią ostrzegął.

– Twój brat dużo wie – rzekł Crowe z uśmiechem. – A tego, czego nie wie, i tak wiedzieć nie warto.

– Był pan kiedyś jego nauczycielem, prawda? – zapytał Sherlock.

Crowe skinął głową.

– Czy także zabierał go pan na ryby?

Zazwyczaj spokojny Crowe wybuchnął śmiechem.

– Tylko raz – przyznał, chichocząc. – Twój brat i zajęcia w plenerze niezupełnie do siebie pasują. Po raz pierwszy i ostatni widziałem, jak ktoś usiłuje złapać rybę, ścigając ją w jej naturalnym środowisku.

– Zanurkował, żeby złapać rybę? – zapytał Sherlock, starając się to sobie wyobrazić.

– Wpadł do wody, gdy próbował ją schwytać. Kiedy go wyciągałem, powiedział mi, że już nigdy nie zejdzie z bezpiecznego stałego lądu, a jeśli ten ląd miałby być brukowanym chodnikiem, tym lepiej. – Urwał. – Ale jeśli go zapytasz, na pewno wciąż będzie pamiętał, jakie są zwyczaje wszystkich gatunków ryb w Europie. Może ma mgliste pojęcie o sportach, za to jego umysł jest ostry jak pudełko szpilek.

Sherlock roześmiał się.

– Chodźmy do salonu – powiedział. – Zaraz podadzą herbatę.

Salon był tuż obok hallu, we frontowej części domu. Sherlock wygodnie rozsiadł się w fotelu, Crowe natomiast spoczął na sofie, mogącej pomieścić jego potężne ciało. Lekko zaskrzypiała pod jego ciężarem. Sherlock sądził, że Crowe waży pewnie tyle samo co Mycroft Holmes, z tym że w przypadku nauczyciela na ten ciężar składały się mocne kości i mięśnie.

Ciche pukanie do drzwi oznajmiło im, że przyszła służąca z herbatą. Na srebrnej tacy stały dwie filiżanki na spodeczkach, imbryk, dzbanuszek mleka oraz talerz herbatników. Albo to pani Eglantine okazała niezwykłą hojność, albo też ktoś inny ze służby postanowił godnie przyjąć gościa.

Była tam także biała, wąska koperta.

– List do pana, sir – powiedziała służąca, nie patrząc Sherlockowi w oczy. Postawiła tacę na stoliku. – Czy życzą sobie panowie czegoś jeszcze?

– Nie, dziękuję.

Kiedy wyszła, Sherlock natychmiast sięgnął po kopertę.

– To jego pismo, a stempel jest z dzielnicy Westminster, gdzie ma biuro, mieszkanie i klub.

Oderwał woskową pieczęć i otworzył kopertę.

– Niech pan spojrzy! – powiedział, unosząc kartkę. – Napisał list na papeterii klubu Diogenes.

– Sprawdź stempel – mruknął Crowe. – Która jest na nim godzina?

– Wpół do czwartej, wczoraj po południu – odrzekł zaskoczony Sherlock.

– Dlaczego pan pyta?

Crowe spojrzał spokojnie na Sherlocka.

– Popołudnie w zwykły dzień pracy, a on jest w klubie zamiast w biurze? Czy to nie niezwykle zachowanie jak na twojego brata?

Sherlock zastanowił się przez chwilę.

– Kiedyś wspominał mi, że często chodzi na lunch do klubu – powiedział wreszcie. – Napisał ten list podczas lunchu i poprosił listonosza, żeby go wysłał. Poczta została zebrana wczesnym popołudniem, list trafił do sortowni około trzeciej i został ostemplowany pół godziny później. Nie ma w tym chyba nic podejrzanego, prawda?

Crowe uśmiechnął się.

– Ani trochę. Chciałem ci tylko zwrócić uwagę, że ze zwykłego listu można wywnioskować całe mnóstwo faktów. Gdyby stempel był z Salisbury, a nie z Westminsteru, byłoby to nietypowe i nasunęłyby kolejne pytania. Gdybyśmy wiedzieli, że twój brat nigdy nie odchodzi od biurka w ciągu dnia, nawet w porze lunchu, co, muszę przyznać, byłoby mało prawdopodobne, a jednak papeteria pochodziłaby z jego klubu, to także byłoby coś nadzwyczajnego. Można by się domyślać, że albo nie poszedł do pracy, albo wyszedł z niej wcześniej.

– Albo że wziął papeterię z klubu Diogenes i używa jej w biurze – zauważył Sherlock.

Crowe wyglądał na zbitego z tropu.

– Chyba zawsze musi być jakieś alternatywne wyjaśnienie – mruknął.

Sherlock szybko przebiegł wzrokiem list. Czuł, jak narasta w nim niemal gorączkowe podniecenie.

Kochany Sherlocku,

kreślę te słowa w pośpiechu, bo za chwilę podadzą mi mięso duszone z cynaderkami, a chciałbym oddać mu sprawiedliwość, zanim wrócę do biura. Ufam, że jesteś w dobrym zdrowiu i że rozmaite skaleczenia, jakie zostały Ci po ostatnich przygodach, już się zagoiły. Mam też nadzieję, że stryj i stryjenka mają się dobrze i że pani Eglantine zanadto się nie naprzykrza.

Zapewne ucieszy Cię wiadomość, że udało się ustalić wszystko tak, abyś mógł nadal uczyć się w dworze Holmesów. To, że nie musisz już wracać do szkoły Deepdene, nie jest, mam nadzieję, zbyt dużym wstrząsem dla Ciebie.

Amyus Crowe nadal będzie wprowadzał Cię w bardziej praktyczne aspekty życia, stryj Sherrinford zaś zgodził się wziąć odpowiedzialność za Twoją edukację religijną i literacką. Pozostaje jedynie matematyka. Zastanowię się nad tym i dam Ci znać, kiedy podejmę decyzję. Celem jest oczywiście przygotowanie Cię do wstąpienia za kilka lat na uniwersytet. Na jakimś etapie możemy przedyskutować, czy wolałbyś Oxford, czy Cambridge.

Nawiasem mówiąc, dziś rano przyszedł list od naszego ojca. Musiał nadać go w Indiach, gdy tylko tam dotarł, ponieważ opisuje wszystko, co przydarzyło mu się podczas podróży. Jestem pewien, że wolałbyś sam przeczytać list, niż żebym to ja Ci o nim opowiadał, zapraszam Cię więc jutro na lunch (oczywiście w moim klubie).

Przełącz, proszę, zaproszenie panu Crowe'owi; chciałbym z nim omówić pewne szczegóły dotyczące Twojej edukacji. Jeśli o dziewiątej trzydzieści wsiądziesz do pociągu w Farnham, to przyjedziesz na stację Waterloo akurat w południe. Czekam z niecierpliwością na nasze spotkanie i relację o wszystkim, co Ci się przydarzyło od czasu, gdy widzieliśmy się ostatnio.

Twój kochający brat
Mycroft

– Coś ciekawego? – zapytał Amyus Crowe.

– Jedziemy do Londynu – odparł Sherlock z szerokim uśmiechem.

ROZDZIAŁ 2



Tego popołudnia Sherlock wybrał się do Farnham, mimo że padał kapuśniaczek, na drodze były więc kałuże, a woda spływała mu za kołnierz, choć go postawił i starał się osłonić nim szyję. Jechał na koniu, którego „uwolnił” od barona Maupertuisa – koniu, któremu wciąż nie wymyślił imienia.

Nie rozumiał, dlaczego ludzie nadają zwierzętom imiona. Zwierzęt przecież nie obchodzi, czy mają imiona, czy numery, albo czy w ogóle nie otrzymały żadnego miana. Imię sugeruje też taki poziom empatii czy równości, jaki w ogóle nie powinien mieć miejsca w tym przypadku. Zwierzęta to zwierzęta, a ludzie to ludzie.

Gdy jego koń, rozchlapując kałuże, truchtał w stronę miasta, Sherlock zaczął rozmyślać o dziwnej różnicy między zwierzętami pupilami a resztą. Jeśli możemy zjeść krowę w postaci wołowiny, dlaczego w takim razie nie możemy zjeść konia? Wydawałoby się, że nie ma żadnego logicznego powodu – o ile wiedział, konina nie jest trująca. I podobnie – skoro nie jada się kotów i psów, dlaczego w garnku lądują króliki? Nie miało to żadnego sensu. Ktoś w sposób arbitralny podzielił królestwo zwierząt na dwie części i zarządził: te po tej stronie można jeść ze smakiem, a te tutaj należy zabierać na spacer, głaskać i opiekować się nimi, i zrobić im pogrzeb, kiedy zdechną.

Podczas gdy woda wdzierała mu się w każdy zakamarek ubrania, zastanawiał się, czy w innych krajach obowiązują podobne nielogiczne zasady. Czy są takie miejsca, gdzie jada się konie i psy, za to na przykład krowy uważa się za święte? Gdyby tak było, oznaczałoby to, że wszystkie te zasady są subiektywne albo przypadkowe, ale jeśli we wszystkich krajach

jest takie samo rozróżnienie, to może w ludziach jest coś, co sprawia, że uważają krowy za jedzenie, a konie za przyjaciół.

W zamyśleniu poklepał swojego wierzchowca po szyi. Czy mógłby go zjeść? Czy mógłby zasiąść nad talerzem soczystego steku, wiedząc, że kilka godzin wcześniej jechał na grzbiecie zwierzęcia, z którego ten stek pochodzi? Logicznie rzecz biorąc, nie widział przeciwwskazań, ale myśl ta wzbudziła w nim jednak lekką odrazę. Może gdyby umierał z głodu. Może gdyby utknął w zamieci i jedynym sposobem na przetrwanie byłoby ugotowanie i zjedzenie swojego konia. To by miało sens.

Kiedy kopyta stukały po bruku na przedmieściach Farnham, Sherlocka zaniepokoiło co innego. Skoro byłby gotów, być może, zjeść swojego konia, to dlaczego nie swoich przyjaciół? Gdyby utknął w zamieci razem z Mattym...?

Już na samą myśl o tym poczuł mdłości i szybko ją odepchnął, ale dręcząca wątpliwość pozostała. Z logicznego punktu widzenia między owadami a ludźmi jest pewne spektrum, jeśli chodzi o inteligencję i ogólny rozwój. Ryby i żaby są, jak się wydaje, bliższe owadom, a psy i koty bliższe ludziom. Czy nie o tym właśnie pisał pan Karol Darwin w wydanej niedawno książce O powstawaniu gatunków – na którą narzekał stryj Sherrinford przy obiedzie przed kilkoma tygodniami? Według Darwina ludzie to tylko jeden z gatunków zwierząt, nie ma w nich niczego specjalnego ani pochodzącego od Boga. Ale jeśli wykluczyć z dyskusji religię, jeśli uznać, że ludzie to tylko zwierzęta, które potrafią wytwarzać narzędzia i mówić, dlaczego nie wolno zjadać ludzi tak samo jak krów?

Zbyt wiele pytań, logika chyba na nic tu się nie zda. Logika mówiła mu, że jeśli jedno jest dopuszczalne, to drugie także, ale intuicja podpowiadała, że jednak jest różnica, są ograniczenia. Problem polegał na tym, że nie wiedział, skąd one się biorą ani jak ma o nich myśleć.

A wszystko to dlatego, że nie nadał imienia swojemu koniowi.

– Nazwę cię Filadelfia – mruknął, znów lekko klepiąc wierzchowca po szyi.

Uśmiechnął się. Jak to bywa z imionami, i z tym wiązało się mnóstwo wspomnień. Virginia – córka Amyusa Crowe'a – nazwała swojego konia Sandia, od łańcucha górskiego w Ameryce, więc chyba jemu wolno wybrać imię dla swojego wierzchowca pochodzące od nazwy amerykańskiego miasta. Pociąg, którym razem z Virginią i Mattym jechali parę miesięcy temu, gdy Matty został porwany przez agentów Duke'a Balthassara,

należał do Linii Filadelfijskiej, więc to imię już zawsze będzie mu przypominać wszystko, co razem przeżyli. Na dodatek skrót od Filadelfia to Filly, a filly znaczy po angielsku „klaczka”, więc był to także rodzaj żartu.

– Zatem Filadelfia – powiedział. Koń zarżał, tak jakby go zrozumiał i jakby spodobało mu się to imię. Ale to oczywiście tylko sobie wyobraził.

Teraz byli już w centrum miasta. Sherlock uwiązał Filadelfię niedaleko targu zbożowego i ruszył pod murowanymi kolumnadami w poszukiwaniu Matty’ego. Znał już jego zwyczaje i wiedział, gdzie można go znaleźć o danej porze dnia i nocy. Chłopiec najwyraźniej prowadził teraz spokojniejszy tryb życia. Zamiast popłynąć gdzieś dalej swoją barką, osiadł w Farnham, przynajmniej na razie. Sherlock skrycie miał nadzieję, że to z jego powodu – z powodu ich przyjaźni. Lubił Matty’ego i brakowałoby mu go, gdyby wyjechał.

Matty siedział nad rzeką, niby bezmyślnie gapiąc się na wodę, ale Sherlock wiedział, że czeka, aż pojawi się barka, którą zwykle przyplwały skrzynie z rybami z wybrzeża ułożonymi na kruszonym lodzie. Matty odkrył, że jeśli któraś ze skrzyń spadnie i się rozbije, może podkraść jedną czy dwie ryby, zanim ktokolwiek zdąży zareagować. Sherlock zastanawiał się czasem, czy Matty specjalnie nie wchodzi pod nogi ludziom, którzy rozładowują barki, aby potykali się i upuszczali skrzynie, ale nigdy o to nie zapytał. Wolał nie wiedzieć.

– Serwus – przywitał go Matty. – Zastanawiałem się, czy dziś przyjdiesz.

– Jutro jadę do Londynu – odparł Sherlock. Miał zamiar najpierw pogawędzić z kumplem, dowiedzieć się, gdzie bywał i co porabiał, ale nie mógł się powstrzymać i nie pochwalić od razu. Nie był dobry w konwersacji. – Muszę pójść na stację i kupić bilety.

– No to powodzenia – mruknął Matty.

– Mógłbyś wybrać się ze mną – zaproponował Sherlock niepewnie, chociaż nie wiedział, czy zaproszenie Mycrofta mogłoby dotyczyć również Matty’ego.

– Na stację? Dzięki, już tam byłem.

– Do Londynu! – powiedział Sherlock w desperacji.

– Nie zaciągniesz mnie tam choćby wołami. – Matty potrząsnął głową. – Jeszcze nie zapomniałem, jak to było ostatnim razem. Kiedy ciebie i Ginnie porwał baron Maupertuis, musiałem wrócić z jej starym aż tu, do Farnham. Próbował mnie uczyć czytać! – wykrzyknął z pretensją. –

Mówiłem mu, że nie chcę czytać, ale on wciąż mi powtarzał jakieś regułki. A potem, kiedy popłynęliśmy do Francji, żeby was znaleźć, ciągle nie dawał mi spokoju. Bez przerwy.

– Myślę, że on po prostu lubi uczyć – powiedział Sherlock. – A tylko ciebie miał pod ręką.

– W każdym razie drugi raz nie będę taki głupi.

– Widziałeś Virginie? – zapytał Sherlock.

– Od kilku dni nie.

– Pójdiesz ze mną jej poszukać?

Matty przewrócił oczami.

– Nie, wolałbym raczej coś zjeść.

– Mógłbym ci kupić pasztecik z mięsem – zaproponował Sherlock.

Matty'ego chyba kusila ta propozycja, ale potrząsnął przecząco głową.

– Nie zawsze będziesz pod ręką – odparł. – Nie mogę liczyć na to, że ktoś mnie nakarmi. Powinienem radzić sobie sam, a to oznacza, że muszę stale trenować. Muszę być pewien, że potrafię zwędzić kalafiora albo szynkę tak, że nikt nie zauważy.

– W porządku – odrzekł cicho Sherlock. – To nie z litości, tylko z przyjaźni.

– Ale ja czuję, jakby to była litość – mruknął Matty. – A ja nie potrzebuję litości. Nigdy.

Sherlock klepnął się po udach.

– Rozumiem. – Rozejrzał się. – Idę na stację. Zobaczymy się później?

– To zależy od tego, kiedy trafi mi się obiad – odparł ponuro Matty.

Sherlock odszedł, sam nie wiedząc, dokąd właściwie idzie. Był niespokojny. Chciałby już być w drodze do Londynu, ale wiedział, że musi poczekać do następnego dnia. Mycroft umówił się z nim na konkretną godzinę.

Szedł chwilę High Street, mijając gospody, w których panował ożywiony gwar, mimo że było dopiero wczesne popołudnie, piekarnie, gdzie w witrynach piętrzyły się plecione chleby posypane ziarnem, sklepy warzywnicze, z narzędziami ogrodniczymi i ubraniami, od roboczych po odświętne. Przepychał się przez tłum miejscowych, którzy kupowali, sprzedawali albo po prostu stali beczynnymi i plotkowali.

– Sherlocku! – zawołał czyjś głos.

Odwrócił się zaskoczony. Przez chwilę nie wiedział, kim jest wysoki, szczupły mężczyzna o długich, czarnych włosach, uśmiechający się do

niego z przeciwnej strony ulicy. A raczej wiedział, że go zna, tylko nie był pewien skąd. Przyjrzał się uważnie ubraniu i dłoniom mężczyzny, tak jak uczył go Amyus Crowe, szukając oznak, które wskazywałyby na jego zawód. Poza wytartym kawałkiem materiału na lewym ramieniu połatanej sztruksowej marynarki oraz odrobiną pomarańczowego pyłu za paznokciami nie dostrzegł jednak żadnych innych wskazówek.

Chyba że...

– Panie Stone! – wykrzyknął w chwili, gdy mózg podsunął mu informację, że ten mężczyzna to skrzypek i że raczej marnie mu się wiedzie, jak świadczyło jego ubranie.

Rufus Stone uśmiechnął się szerzej, odsłaniając złoty ząb, który Sherlock zapamiętał z rejsu do Nowego Jorku i z powrotem, kiedy to muzyk dla zabicia czasu uczył go grać na skrzypcach.

– Przecież ci mówiłem! – zawołał Stone, gdy ruszył w stronę Sherlocka, omijając przejeżdżające z łoskotem wozy oraz stosy końskiego nawozu. – Tylko pracodawcy zwracają się do mnie „panie Stone”, a przez ostatnie miesiące było ich mniej niż zębów w kurzym dziobie.

– Co się z panem działo, od kiedy przybiliśmy do portu w Southampton? – zapytał Sherlock swobodnym tonem, tak żeby brzmiało to jak zwyczajne pytanie, pamiętał jednak, że po powrocie do Anglii skrzypek miał zamiar przyjechać do Farnham i zostać nauczycielem muzyki.

Stone skrzywił się.

– Muszę ci coś wyznać. Byłem gotów osiedlić się w tej okolicy, ale zamiast tego pojechałem na kilka tygodni do Salisbury. Dość wspomnieć, że był tam wakat w orkiestrze miejscowego teatru, pewna aktorka i szansa, by zerkać na jej cudną twarzączkę przez cały wieczór, kiedy ja grałem, a ona dawała z siebie wszystko na scenie.

– Co się więc stało? – zapytał Sherlock.

– Oczywiście oddała serce odtwórcy głównej roli – odparł z nieszczęśliwą miną Stone. – Tak to jest z kobietami, gdy poczują się pewniej dzięki pełnym podziwu spojrzeniom adoratorów z kanału dla orkiestry. Później dowiedziałem się, że wszyscy inni też zatrudnili się ze względu na nią i zgadzali się na niższą niż zwykle gażę tylko po to, żeby móc do niej wzdychać. – Westchnął teatralnie. – Cóż. Człowiek uczy się przez całe życie. Czy myślisz, że w tej części Hampshire ktoś mógłby szukać dobrego nauczyciela gry na skrzypcach?

– Myślę, że tak – odparł Sherlock. – Jest tu w okolicy trochę dobrych szkół i kilka wielkich dworów.

– A ty? – zapytał Stone. – Czy ćwiczyłeś?

– Szukam tanich skrzypiec – przyznał Sherlock. – Właśnie, a gdzie jest pański instrument?

– Znalazłem sobie kwaterę niedaleko stąd. Cały mój niewielki dobytek wraz ze skrzypcami mam w pokoju. Co przypomina mi o tym, że gospodyni posłała mnie po sprawunki, a wolałbym nie mieć z nią na pieńku. Jeśli w ciągu godziny nie wrócę z kurczęciem, pewnie znów wyląduję na bruku. Powiedz, gdzie mam cię szukać, żebyśmy mogli podjąć nasze lekcje?

– Mieszkam w dworze Holmesów – powiedział Sherlock. – Musiałbym tylko porozmawiać o tym pomysłe z bratem i stryjem, ale myślę, że nie będą mieli nic przeciwko temu.

Stone uśmiechnął się i wyciągnął rękę.

– To wielka przyjemność odnowić naszą znajomość, panie Holmes – powiedział, gdy Sherlock uścisnął mu dłoń. Ręka muzyka była ciepła i sucha, uścisk niezbyt silny. Może uważał, żeby nie uszkodzić mu palców. – Do zobaczenia wkrótce.

Skrzypek odwrócił się i po chwili zniknął w tłumie.

Sherlock ucieszony nieoczekiwanym spotkaniem z Rufusem Stone'em, odwrócił się i poszedł po Filadelfię.

Dworzec kolejowy znajdował się na przedmieściach. O tej porze nie odjeżdżał żaden pociąg, więc stacja opustoszała. Sherlock zsiadł ze swego wierzchowca i podszedł do kasy biletowej.

– Poproszę dwa bilety do Londynu – powiedział do starszego jegomościa w okienku. – Na pociąg o dziewiątej trzydzieści jutro rano. Drugą klasą, jeden dorosły i jedno dziecko.

Kasjer uniósł brwi.

– Masz pieniądze na dwa bilety w drugiej klasie, tak? – zapytał nieprzyjemnym tonem. – Czy może zamierzasz mi powiedzieć, że zapłacisz jutro, gdy dostaniesz kieszonkowe?

Sherlock wysypał na kontuar garść monet. Mycroft przysyłał mu pieniądze za pomocą przekazów pocztowych, a ponieważ chłopiec nie wydawał dużo, zgromadził całkiem spore oszczędności. Jego brat nie powiedział, jak ma zapłacić za bilety, nie dołączył też do listu żadnej kwoty,

Sherlock sądził więc, że Mycroft chce, aby wykorzystał swoje zaskórniaki. Kolejny mały krok w stronę dorosłych obowiązków.

– Dwa bilety – burknął kasjer. – Jeden dorosły, jedno dziecko. Druga klasa. – Przesunął w stronę Sherlocka dwa kartoniki i stosik monet. – Reszta.

– Dziękuję. – Sherlock włożył bilety do jednej kieszeni, a drobne do drugiej i odwrócił się, akurat by dostrzec jakąś postać w ciemnym ubraniu, która wychodziła na uliczkę biegnącą wzdłuż stacji. Wydawało mu się, że była to kobieta. Dreszcz przebiegł mu po plecach. Czyżby pani Eglantine go śledziła, sprawdzała, co robi? Czy upokorzył ją tak bardzo, że ma zamiar w jakiś sposób się zemścić? Poszedł szybko w stronę hotelu dworcowego i wyszedł na ulicę, a potem skręcił w alejkę, na wypadek gdyby ktoś tam na niego czekał, ale kiedy znalazł się już za rogiem budynku, alejka była pusta. Przyjrzał się murom, lecz nie było tu drzwi, przez które mógłby przejść ten ktoś. Najwyraźniej zniknął.

Czyżby tylko mu się zdawało? Czy ta postać to jedynie wytwór jego umysłu? A może jest prostsze rozwiązanie – może to jakaś kobieta z miasteczka postanowiła pójść na skróty, obchodząc hotel?

Sherlock ruszył alejką i pochylił się, żeby przyjrzeć się ziemi. Zobaczył odciski w błocie ślady butów o szpiczastym nosku i niewielkich obcasach. Nic nie wskazywało na to, że były połatane czy dziurawe, co świadczyło o tym, że są albo nowe, albo dobrze utrzymane, albo jedno i drugie.

Poszedł alejką kilka jardów dalej i znów przyjrzał się ziemi, ale nie zobaczył nic więcej.

Pogrążony w myślach, dosiadł Filadelfii i pojechał do Amyusa Crowe'a, żeby dać mu bilet.

W domu najwyraźniej ktoś był. Koń Virginii pasł się na padoku. Sherlock czuł, jak poprawia mu się humor, gdy zbliżał się do otwartych drzwi.

Virginii nie było w saloniku, ale Amyus Crowe siedział w fotelu i przeglądał książkę. Gdy Sherlock wszedł, spojrział na niego znad okularów o wąskich szklach.

– Kupiłeś bilety?

– Tak – odrzekł. – Poza tym spotkałem Rufusa Stone'a – dodał. – Był w Farnham.

– Oczywiście. – Crowe wydał usta. – To dziwne, że pojawił się akurat tu, gdzie mieszkasz.

– Powiedziałem mu kiedyś, gdzie mieszkam, i zaproponowałem, że mógłby przyjechać do Farnham, aby uczyć gry na skrzypcach.

– Bardzo wspaniałomyślnie z twojej strony – odrzekł Crowe, przyglądając się Sherlockowi oczami barwy wyblakłego błękitu. – Rozumiem, że ty możesz na tym skorzystać, ale nie rozumiem, jaki interes miałby w tym pan Stone.

– Musi gdzieś mieszkać – zauważył Sherlock, zbity z tropu tym, że Crowe zupełnie nie ucieszył się na wieść o Rufusie. – I będzie lepiej dla niego, jeśli zamieszka tam, gdzie są ludzie, którzy chcieliby się uczyć gry na skrzypcach.

– Tak jak ty.

– Tak jak ja.

Crowe odłożył książkę na kolana i zdjął okulary.

– Muzyka to rozrywka, Sherlocku – rzekł życzliwie. – To nie jest sposób spędzania wolnego czasu stosowny dla kogoś, kto stara się zapełnić swój umysł przydatnymi rzeczami. Pomyśl tylko, ile miejsca w twoim mózgu zajmą nuty, których będziesz musiał się nauczyć, żeby zagrać jakiś wymyślny utwór. Lepiej wykorzystać tę przestrzeń, aby zapamiętać tropy zwierząt albo kształty ludzkich uszu, albo ślady, jakie na ich rękach czy ubraniu zostawia to, czym się zajmują na co dzień. A muzyka... Nie ma z niej pożytku, mój chłopcze.

– Nie zgadzam się – odparł Sherlock, nieco rozczarowany tym, że Amyus Crowe odrzuca coś, co jemu wydawało się coraz bardziej interesujące. Przypomniał sobie, o czym myślał, gdy jechał do miasta: o różnicy między ludźmi a zwierzętami, a może jej braku.

– Tak, mógłbym zapamiętać to wszystko, mógłbym nauczyć się wszystkiego o grzybach jadalnych i o tym, jak rozpoznać, czy ktoś ma udane małżeństwo po plamach na jego kapeluszu. Ale po co? Jaki jest tego cel? To zmieniłoby mnie tylko w rodzaj jakiegoś superdrapieżnika, który potrafi tropić swą ofiarę, idąc po niemal niewidocznych śladach. Ale w tym chyba powinien być jakiś sens? W życiu chodzi przecież o coś więcej niż tylko o to, żeby być zwierzęciem lepszego gatunku?

– A muzyka to coś, co odróżnia nas od zwierząt? – zapytał Crowe, patrząc na niego spokojnie.

– Jedna z wielu takich rzeczy.

Crowe wzruszył ramionami.

– Chyba nigdy nie miałem na nią zbyt wiele czasu. Dla mnie być człowiekiem oznacza dbać o swoją rodzinę oraz o siebie i pilnować, żeby ludzie wokół mnie troszczyli się o siebie nawzajem. Jeśli w ten sposób jestem tylko zwierzęciem, trudno, tym właśnie jestem.

– Ale czemu to wszystko służy? – zapytał Sherlock. – Jeśli nie ma niczego, dzięki czemu stawalibyśmy się... – szukał właściwego słowa – lepsi, po co w ogóle robić cokolwiek?

– Przetrwanie – odparł Crowe po prostu. – Żyjemy po to, żeby przetrwać.

– I to wszystko? – zapytał rozczarowany Sherlock. – Żyjemy po to, żeby żyć? Żyjemy, żeby przetrwać, i staramy się przetrwać, żeby żyć?

– Na to wychodzi – przyznał Crowe. – Z filozoficznego punktu widzenia to dość proste ujęcie, ale za to zwięzłe i w zasadzie trudno je podważyć. Zostaniesz, żeby coś zjeść, czy wracasz do swojej rodziny?

Sherlock powstrzymał się od wygłoszenia argumentów, które już zdążył zgromadzić, trochę rozczarowany, że Crowe tak raptownie zmienił temat, ale też zadowolony, że nie będą się spierać. Lubił swego nauczyciela i nie chciał, żeby pokłócili się o taki drobiazg jak lekcje muzyki.

– Czy Virginia jest w domu?

– Poszła po wodę dla Sandii. Jeśli chcesz, idź jej poszukać.

Kiedy Sherlock odwrócił się ku drzwiom, usłyszał dudniący głos Crowe'a:

– Być może zainteresuje cię fakt, że Rufus Stone to także nazwa wioski niedaleko Southampton. Może to tylko zbieg okoliczności... A może w jakimś momencie potrzebował nowego nazwiska, więc posłużył się nazwą, która błąkała mu się po głowie, bo widział ją gdzieś na drogowskazie. Tak tylko sobie myślę.

Sherlocka zaniepokoiła ta uwaga. Uznał też, że to dość małostkowe ze strony Amyusa Crowe'a, że mówi o tym akurat w tym momencie.

Virginię znalazł na zewnątrz. Przyniosła wiadro wody dla konia, który teraz pił łąpczywie.

– Co twój ojciec ma przeciwko Rufusowi Stone'owi? – zapytał.

– Ciebie też miło widzieć. – Zerknęła na niego z ukosa. – Naprawdę chcesz mi powiedzieć, że nie wiesz?

– Naprawdę nie wiem – przyznał.

Potrząsnęła głową.

– Już to mówiłam, ale mogę powtórzyć: jak na tak bystrego chłopaka potrafisz czasem być naprawdę głupi.

– Ale to nie ma żadnego sensu! – zaprotestował. – Myślałem, że twój ojciec się ucieszy, że mam nowych znajomych i nowe zainteresowania.

Virginia stanęła naprzeciwko niego, opierając ręce na biodrach.

– Pozwól, że cię o coś zapytam. Gdyby twój ojciec był tu na miejscu, a nie w Indiach, co sądziłby o moim ojcu? Myślisz, że by się dogadali?

Sherlock zmarszczył brwi.

– Wątpię – powiedział wreszcie. – Po pierwsze, pochodzą z różnych warstw społecznych, a poza tym...

Umilkł, nie wiedząc, jak to ująć w słowa.

– Poza tym co? – ponagliła go.

– A poza tym twój ojciec właściwie robi to, co robiłby mój ojciec, gdyby tu był. – Sherlock czuł się dziwnie, gdy wypowiadał te słowa. – Uczyłby mnie różnych rzeczy. Zabierał na przechadzki. Dawał mi rady.

– Słusznie. Mój tato właściwie zastępuje ci ojca.

Uśmiechnął się do niej niepewnie.

– Nie przeszkadza ci to?

Virginia także się uśmiechnęła.

– Cieszę się, że się poznaliśmy. – Na chwilę odwróciła wzrok. – Masz rację, twój tato byłby zazdrosny, gdybyś spędzał czas z kimś, kto traktuje cię jak syna. Zwłaszcza jeśli ten ktoś uczy cię czegoś, czego on sam nie może cię nauczyć.

W głowie Sherlocka olśnienie rozbłysło niczym gwiazda.

– Więc twój ojciec jest zazdrosny o Rufusa Stone'a, ponieważ myśli, że Rufus traktuje mnie jak syna? – Ta myśl była tak wielka, tak przełomowa, że wydawała się zapełniać cały jego umysł. – Ale to głupstwo.

– Dlaczego?

– Bo Rufus wcale nie jest jak ojciec. On jest raczej jak starszy brat. Albo młody wujek, albo ktoś taki. A poza tym to, że uczę się u niego gry na skrzypcach, nie znaczy, że choć trochę mniej cenię sobie lekcje twojego ojca. To dwie zupełnie różne rzeczy. To po prostu... nielogiczne!

Patrzyła na niego, potrząsając głową.

– Uczucia nie są logiczne, Sherlocku. Nie przestrzegają żadnych zasad.

– W takim razie nie lubię uczuć – odparł buntowniczo. – Powodują tylko nieporozumienia i ludzie przez nie cierpią.

Jego słowa zawisły między nimi na dłuższą chwilę, wibrując jak uderzony dzwon.

– Niektóre uczucia są dobre – powiedziała łagodnie, po czym schyliła się, żeby podnieść wiadro. – W każdym razie ja tak sądzę, nawet jeśli ty sądzisz inaczej.

Odeszła w kierunku domu. Sherlock ukradkiem spoglądał za nią, póki nie zniknęła za węglem. Czuł, że wydarzyło się między nimi coś ważnego, tylko nie wiedział dokładnie co.

Po chwili podszedł do swojego konia. Uświadomił sobie, że nawet nie wspomniał Virginii, że nazwał go Filadelfia. Może nie znał się za dobrze na uczuciach, ale chyba wystarczająco, żeby zdawać sobie sprawę, że nie powinien teraz wracać, aby jej to powiedzieć.

W drodze powrotnej do dworu Holmesów w głowie aż kręciło mu się od rozmyślań na temat Amyusa Crowe'a, Virginii, Rufusa Stone'a i ojca, który był teraz tak daleko. Nie podobały mu się te myśli. Były skomplikowane, dorosłe i nielogiczne. Za dużo w nich było uczuć.

Gdy wrócił, odszukał swojego stryja Sherrinforda, aby porozmawiać z nim o liście Mycrofta. Nie poprosił go o pozwolenie na wyjazd do Londynu, ale też nie powiedział, że pojedzie niezależnie od jego decyzji. Postawił go przed faktem dokonanym. Na szczęście stryj akurat był pochłonięty pisaniem jednego z kazań, które sprzedawał pastorom w całym kraju za kilka szylingów od sztuki, był więc gotów przystać na wszystko, pod warunkiem że zgadzało się to z życzeniem Mycrofta.

Kiedy się obudził następnego ranka, słońce wznosiło się nad lasem, a niebo było bez jednej chmurki. W jasnym świetle poranka zmartwienia poprzedniego dnia wydawały się błahe. Sherlock błyskawicznie się ubrał i zjadłszy pospiesznie śniadanie złożone z owsianki i grzanek, zapytał, czy jeden z wozów mógłby odwieźć go na stację. Takie rozwiązanie było lepsze, niż gdyby miał zostawić swojego konia uwiązanego przy dworcu w Farnham na długie godziny, które on spędzi w Londynie.

Amyus Crowe czekał na niego na peronie. W białym garniturze i białym kapeluszu wyglądał jak imponujący pomnik. Przywitał się z Sherlockiem.

– Chyba się nie dogadaliśmy wczoraj po południu – zadudnił. – Przykro mi, jeśli moje słowa zabrzmiały oschle i niemądrze.

– Nic się nie stało – uspokoił go Sherlock. – Jeśli jest pan o czymś przekonany, powinien pan to powiedzieć. Inaczej byłaby to hipokryzja.

Gdzieś z głębi piersi Crowe'a wydobył się głęboki pomruk.

– Matka Ginnie lubiła operę – powiedział cicho. – Zwłaszcza tego Niemca, jak mu tam, Wagnera. Odkąd umarła, nie jestem w stanie słuchać oper ani nawet czyjegoś śpiewu.

– Rozumiem – odrzekł cicho Sherlock.

– Zatem masz więcej rozumu ode mnie.

Na szczęście przyjazd pociągu przerwał tę coraz bardziej krępującą konwersację.

Siedzieli sami w czystym i porządnym przedziale, na wygodnych, wyściełanych siedzeniach. Kłęby pary z komina przepływały za oknem niczym chmury, przesłaniając migający za szybą krajobraz.

Tuż za Woking konduktor sprawdził im bilety. Kiedy wyszedł z przedziału i zasunął za sobą drzwi, Crowe zapytał:

– Co można wywnioskować z samego wyglądu tego człowieka?

Znając już sposób myślenia Crowe'a, Sherlock spodziewał się tego pytania.

– Miał świeżo wypastowane buty – powiedział. – I wyprasowaną koszulę. Albo ma służącą, albo żonę, albo jedno i drugie. A ponieważ konduktora chyba nie stać na to, by służąca prasowała mu koszulę, zakładałbym, że raczej jest żonaty.

– Całkiem nieźle jak na razie – stwierdził Crowe.

– Żonę ma starszą od siebie – zaryzykował Sherlock.

– Skąd wiesz?

– Jest po trzydziestce, a jego kołnierzyk miał staroświecki krój. Przypominał mi ten, który nosi mój stryj. Nie wyglądał na zużyty, więc nosi go od niedawna. Wynika z tego, że ktoś, kto zajmuje się jego garderobą, woli raczej staromodny styl, więc jeśli to jego żona, musi być od niego starsza.

– Zapominasz o tym, że może też mieć młodszą od siebie żonę, która pochodzi ze staroświeckiej rodziny, chociaż takie rozwiązanie jest chyba mniej prawdopodobne – przyznał Crowe.

– I lekko niedowidzi na prawe oko – zakończył triumfalnie Sherlock.

Crowe przytaknął.

– W istocie. Co go zdradziło?

– Ogolił starannie lewą stronę twarzy, ale po prawej wciąż było widać zarost. Stąd wnioskuję, że na prawe oko widzi gorzej.

– Znakomicie. Jesteś coraz lepszym obserwatorem.

– Czy coś pomiñałem? – zapytał Sherlock z uśmiechem.

Crowe wyprostował się na siedzeniu.

– Właściwie to wiele faktów. Ten człowiek już raz był żonaty, ale został wdowcem. Z obecną żoną nie ma dzieci, co ją unieszczęśliwia. I sądzę, że podkrada pieniądze swemu pracodawcy, ale co do tego już nie mam pewności.

Sherlock nie mógł powstrzymać śmiechu.

– Jak pan się tego wszystkiego domyślił?

– Praktyka – rzekł rozbawiony Crowe. – Oraz wrodzony talent. Kiedyś ty też będziesz tak umiał.

Sherlock potrząsnął głową.

– Wątpię w to – odparł ze śmiechem. – Naprawdę wątpię.

ROZDZIAŁ 3



Podróż do stacji Waterloo wydawała się Sherlockowi krótsza, niż zapamiętał. Crowe był przez całą drogę w doskonałym nastroju i wysuwał rozmaite wnioski na temat osób, które przechodziły przez ich wagon albo które widzieli na mijanych stacjach. Czasem, tylko żeby się poprzekomarzać z Sherlockiem, wciągał nieznajomych w rozmowę, tak żeby wyznali to, co Crowe wiedział już wcześniej. Nieprzyjemny rozdzźwięk związany z Rufusem Stone'em puścili w niepamięć.

Kiedy pociąg wtoczył się na stację Waterloo i zatrzymał na peronie, wysiedli i ruszyli na poszukiwanie dorożki.

Sherlock znał już ten gwarny i ruchliwy dworzec, ale kiedy przeciskali się przez wyjątkowo gęsty tłum mężczyzn w cylindrach, zaczął sobie wyobrazać, że idzie przez ponury przemysłowy krajobraz, nad którym góruje las kominów wyrastający z ciemnych fabryk. Unosząca się w hali para z lokomotyw czyniła to wrażenie jeszcze bardziej dojmującym. Zirytowany, starał się wyrzucić z głowy ten obraz. Nieczęsto miewał takie przebłyśki fantazji i wcale ich nie lubił. Między cylindrami a zasnutym dymem przemysłowym pejzażem nie ma żadnego logicznego związku. To porównanie poetyckie, a nie analityczne. Amyus Crowe by tego nie pochwalił.

Ale już Rufus Stone pewnie tak. Na myśl o nim aż przystanął.

Crowe przed stacją przywołał kabriolet. Nie mieli bagażu, przyjechali przecież tylko na jeden dzień, więc po prostu wsiedli i pojechali.

Powóz nie był niczym więcej jak zaprzężonym w konia pudłem na dwóch kołach, z miejscem dla woźnicy na podwyższeniu z tyłu. Podskakiwał i grzechotał straszliwie na wyboistych londyńskich ulicach.

– Do klubu Diogenes! – zawołał Crowe do woźnicy.

– A gdzie to, psze pana? – zapytał mężczyzna.

– Jedź tak jak do Admiralicji! – krzyknął Crowe. – Stamtąd pokieruję cię dalej. – Powóz ruszył, a Crowe zwrócił się do Sherlocka: – Klub istnieje dopiero od roku czy dwóch. Wygląda na to, że twój brat był jednym z jego fundatorów. Został nazwany imieniem greckiego filozofa, Diogenesa z Synopy. Był to jeden z założycieli szkoły cyników.

– Słyszałem już to słowo – powiedział Sherlock – ale nie byłem pewien, co ono właściwie znaczy.

– Cynicy nauczali, że celem człowieka powinno być uczciwe życie w zgodzie z naturą, to znaczy odrzucenie wszelkich dążeń do bogactwa, władzy, zdrowia i sławy, i życie prostym życiem wolnym od wszelkich dóbr doczesnych. Trudno mieć do nich o to pretensje, ale takie zasady wykluczają właściwie jakikolwiek postęp cywilizacyjny. Cynicy uważali także, że świat należy w równym stopniu do wszystkich i że przyczyną cierpienia jest fałszywy osąd tego, co jest wartościowe, a co nie, a także puste obyczaje i konwencje krępujące społeczeństwo. – Urwał. – Nie jestem pewien, jakie to ma zastosowanie do twojego brata czy klubu, ale powinieneś wiedzieć, że w Diogenesie obowiązuje jedna surowa reguła. Nikomu nie wolno się tam odzywać. Ani jednym słowem. Wyjątkiem jest pokój dla gości, gdzie zapewne przyjmie nas twój brat. Jeśli nie, czeka nas mało przyjemny dzień.

Powóz z klekotem przejechał przez most Westminster, a uwagę Sherlocka zwróciły rozmaite łodzie pływające po brudnej, brązowej rzece.

– Czy Diogenes i Platon żyli w tym samym czasie? – zapytał, przypomniawszy sobie książkę, którą dał mu w prezencie brat przed wyprawą do Ameryki: Państwo Platona.

– Tak – odparł Crowe – ale za bardzo się nie lubili. Opowiem ci o tym innym razem.

Gdy znaleźli się na północnym brzegu rzeki, skręcili w lewo, a potem w prawo, w szeroką, wysadzaną drzewami aleję. Na jej końcu Sherlock rozpoznał Trafalgar Square z pomnikiem upamiętniającym lorda Nelsona. Widział go, kiedy poprzednim razem był w Londynie.

Po chwili powóz się zatrzymał. Wysiedli, a Crowe zapłacił woźnicy kilka pensów.

Wciąż byli na szerokiej alei ze szpalerem drzew, tylko w miejscu, gdzie zakręcała, przechodząc w inną ulicę. W murze przed nimi znajdowały się

niewielkie drzwi. Na umieszczonej z boku mosiężnej tabliczce widniał wygrawerowany napis: „Klub Diogenes”.

Crowe zastukał w drzwi główką laski. Po chwili się otworzyły. Crowe wszedł pierwszy, schylając głowę, by nie uderzyć o framugę. Sherlock poszedł za nim.

Znaleźli się w wąskim hallu o ścianach wyłożonych dębową boazerią i marmurowej posadzce. Obok były schody wiodące na pierwsze piętro, a przez uchylone drzwi z boku zobaczyli dużą salę zastawioną obitymi zieloną skórą fotelami. Panująca tu cisza była tak przytłaczająca, że Sherlock niemal czuł w uszach jej nacisk. Tykanie stojącego gdzieś w cieniu zegara rozbrzmiewało echem w hallu.

Otworzył im drobny, chuderlawy człowieczek odziany w nieskazitelny błękitny uniform odźwiernego. Wyglądał jak były żołnierz. Sherlock nie uważał się za eksperta, ale mężczyzna był wyprostowany niczym struna, a buty miał wyglansowane tak, że można by się w nich przegłębiać. Crowe wręczył mu wizytówkę. Odźwierny zerknął na nią, skinął głową, po czym dał im znak, że mają iść za nim przez salę pełną zielonych foteli, w których siedzieli dżentelmeni czytający gazety. Poprowadził ich wężykiem do drzwi na drugim końcu pomieszczenia, po czym w nie zapukał.

Na ten odgłos kilka osób podniosło wzrok znad gazet.

Sherlock nasłuchiwał, ale z wnętrza nie dobiegła żadna odpowiedź. Sam siebie szturchnął w wyobraźni – skoro w klubie nie wolno się odzywać, trudno się spodziewać, że ktoś zawoła: „wejść!”. Odźwierny najwyraźniej czekał, aż ktoś otworzy drzwi.

Nic się jednak nie stało. Zapukał więc ponownie.

Tym razem ze środka dało się słyszeć pewne poruszenie. Coś łupnęło o drzwi, ktoś uderzył w nie pięścią, po czym się otworzyły.

W wejściu stał Mycroft Holmes, który swoim potężnym ciałem zasłaniał widok znajdującego się za nim pomieszczenia. Wyglądał na zmieszanego.

Podniósł rękę, tak jakby miał zamiar dotknąć czoła, i wydawał się równie zaskoczony jak Sherlock, Crowe i odźwierny, kiedy zorientował się, że trzyma w niej nóż.

Mycroft wpatrzył się weń, jakby widział go po raz pierwszy w życiu. Odwrócił głowę, żeby spojrzeć do pokoju. Odsunął się przy tym nieco, więc Sherlock także mógł zajrzeć do środka.

Wnętrze było wyłożone boazerią, tak jak reszta klubu, ale nie miało okien. Pośrodku stał duży stół z ustawionymi symetrycznie dookoła

wyściełanymi krzesłami.

Na jednym z nich siedział jakiś człowiek. Sądząc po powiększającej się plamie krwi na jego koszuli oraz pustym wzrokiem utkwionym w żyrandol zwisający z wysokiego sufitu, był martwy.

– Mycroftie? – odezwał się Sherlock.

W sali podniósł się szmer zdumienia, a następnie pełne dezaprobaty syknięcia z powodu tego rażącego naruszenia zasad, ale on o to nie dbał. Chciał po prostu wiedzieć, co się stało.

Odźwierny cofnął się, wytrzeszczając oczy. Crowe chwycił go za ramię, po czym udał, że dmie w gwizdek. Mężczyzna skinął głową, odwrócił się i pobiegł do wyjścia.

Crowe wepchnął Sherlocka do pokoju dla gości i zamknął za nimi drzwi. Sherlock zauważył, że drzwi są od tyłu grubo wyściełane, może po to, żeby na zewnątrz nie było słychać rozmów. Mycroft cofnął się, skonfundowany, w rękę wciąż trzymał nóż.

– Nie... rozumiem – rzekł z wahaniem.

– Panie Holmes – odezwał się ostrym tonem Crowe. – Musi się pan skupić. Co tu się stało? Proszę opowiedzieć nam o wszystkim.

– Czekałem... na was – odparł Mycroft nieco pewniejszym tonem. – Przewidziałem, kiedy się zjawicie, na podstawie rozkładu jazdy pociągów oraz natężenia ruchu między stacją Waterloo a klubem o tej porze dnia. Usłyszałem pukanie. Odźwierny, Brinnell, przyniósł mi na tacy wizytówkę. Najwyraźniej ktoś chciał się ze mną widzieć. Nie wiedziałem, kto to, i już miałem go odprawić, kiedy zauważyłem, że na odwrocie wizytówki coś napisano. To były słowa... z którymi już się zetknąłem w swojej pracy. Znaczące słowa. Poleciałem więc Brinnellowi, żeby przyprowadził tego człowieka tutaj, do pokoju dla gości.

Urwał i zmarszczył brwi, jakby usiłował sobie coś przypomnieć.

– Czekałem tu – ciągnął po chwili. – Ktoś zapukał do drzwi. Zamiast zawołać, podszedłem, żeby otworzyć. Takie mamy tu zwyczaje. W ten sposób unika się zbytecznej gadaniny, irytującej dla większości członków klubu. Ktoś stał na zewnątrz...

– Ten mężczyzna? – zapytał Crowe, wskazując bezwładne ciało na krześle.

– Tak – odparł Mycroft, mrugając. – To on. Dałem mu znak, by wszedł. Uczynił to, zamknąłem za nim drzwi, a potem...

Umilkł. Uniósł dłoń, tę, w której nie trzymał noża, tak jakby chciał dotknąć głowy.

– To wszystko, co pamiętam, do chwili, kiedy znów usłyszałem pukanie. Myślałem, że to jedna z tych chwil, które Francuzi nazywają *déjà vu*, kiedy człowiekowi wydaje się, że dzieje się coś, co już raz się zdarzyło. Otworzyłem drzwi, spodziewając się, że zobaczą przed nimi Brinnella i mojego gościa, ale to byliście wy. Zdumiało mnie to, odwróciłem się więc, sądząc, że gość jest za mną. – Mycroft wskazał trupa na krześle. – I to wszystko – zakończył na powrót opanowanym tonem, tak dobrze znanym Sherlockowi.

– Panie Holmes – powiedział Crowe – aby mieć pełny obraz sytuacji oraz dlatego, że policja na pewno też będzie chciała to wiedzieć, muszę zapytać, czy zabił pan tego człowieka?

– Nie pamiętam, żebym go zabił – odrzekł Mycroft ostrożnie.

– Radziłbym panu, aby kiedy usłyszysz pan to pytanie ponownie, odpowiedział po prostu „nie”. Choć nie sądzę, by to bardzo panu pomogło.

– Crowe westchnął. – Czy ma pan dobrego adwokata?

– Klub zatrudnia prawnika – odparł Mycroft. – Brinnell może podać panu jego nazwisko i adres.

– A zatem cokolwiek się zdarzy niebawem, niech pan będzie pewien, że odnajdziemy adwokata z Diogenesa i będziemy się starać o pana uwolnienie.

Mycroft odwrócił się, by spojrzeć na ciało.

– To będzie trudne – rzekł z bólem. – Dowody są nieliczne, ale wszystkie wskazują na mnie.

– Ty go nie zabiłeś – stwierdził stanowczo Sherlock. – Nie wiem, co tu się wydarzyło, ale tego jestem pewien.

Mycroft uśmiechnął się lekko i poklepał Sherlocka po ramieniu.

– Dziękuję ci – powiedział. – Dodałeś mi otuchy.

Usłyszeli zamieszanie na zewnątrz. Najwyraźniej zjawiała się policja.

– Radzę, żebyś położył nóż na stole – powiedział Crowe. – To nigdy nie wygląda dobrze, jeśli policja widzi kogoś z nożem.

Ledwo Mycroft podszedł do stołu i odłożył nóż, drzwi otworzyły się gwałtownie i do pokoju wkroczyła grupa policjantów w niebieskich mundurach. Crowe wysunął się naprzód, żeby zasłonić Mycrofta.

– Doszło do morderstwa – powiedział. – Ciało jest przy stole, a nóż zapewne był narzędziem tej zbrodni.

– Kim pan jest? – zapytał posterunkowy.
– Nazywam się Amyus Crowe. Z kim mam przyjemność?
– Cudzoziemiec. – Policjant zerknął znacząco na kolegów. – Gdzie pan był w chwili popełnienia zbrodni?

– Pytałem, jak się pan nazywa – powtórzył Crowe uprzejmie, ale głosem twardym jak stal.

– Jestem sierżant Coleman – odparł policjant, prostując się. – A teraz może pan odpowie na moje pytanie, sir – dodał po chwili.

– Byłem przed drzwiami – odrzekł Crowe – wraz z tym oto młodzieńcem. Odźwierny może to potwierdzić.

– A jak nazywa się ten młody człowiek?

– Sherlock Holmes – odparł Sherlock.

– W takim razie kto był w pokoju? – naciskał sierżant.

Crowe zawahał się, mrugając nieznacznie.

– Myślę, że ten dżentelmen – odrzekł, wskazując Mycrofta skinieniem głowy.

Sierżant zrobił krok naprzód.

– Czy to prawda, sir? – zapytał Mycrofta.

Ten przytaknął.

– Byłem w pokoju – powiedział wyraźnie.

– Jak się pan nazywa?

– Mycroft Siger Holmes.

– Czy zabił pan tego człowieka, sir?

– Nie zabiłem go.

Sherlock zauważył lekkie drgnienie ust Crowe'a, gdy usłyszał stanowczy ton Mycrofta. Sierżant wydawał się zaskoczony.

– Obawiam się, że musimy pana aresztować. Zabierzemy pana do Scotland Yardu, gdzie zostanie pan przesłuchany pod przysięgą. – Zerknął na ciało, a potem na jednego z policjantów. – Poślijcie kogoś po lekarza sądowego. Dziś ma dyżur stary Murdoch. Powiedźcie, żeby przyjechał i zabrał ciało. I weźcie ten nóż. Trzeba będzie go pokazać sędziemu.

Słowa te dźwięczały w uszach Sherlocka niczym bicie jakiegoś olbrzymiego, fałszywie brzmiącego dzwonu. Patrzył ze zgrozą, jak jeden z policjantów bierze Mycrofta za ramię i wyprowadza go z pokoju dla gości, a następnie prowadzi przez salę klubową i na korytarz. Inny policjant ostrożnie ujął nóż za rękojeść i zabrał go ze sobą.

– Panie Crowe... – odezwał się Sherlock.

– Nie czas teraz – burknął Crowe. – Rozumiem, że jesteś wzburzony. To normalne. Rzecz w tym, że jeśli mamy oczyścić imię twojego brata i uchronić go przed więzieniem, musimy podjąć szybkie, a przy tym precyzyjne i właściwe kroki. Uczucia tylko nas spowolnią i zaciemnią nasz osąd. Rozumiesz, co mówię?

– Tak – wykrztusił Sherlock.

– Musisz zdławić w sobie wzburzenie i rozpacz. Wyobraź sobie, że owijasz je ciasno w koc i odkładasz gdzieś na tyłach swojego umysłu. Nie mówię, że masz zupełnie o nich zapomnieć. Tylko na razie. Możesz wydobyć je później, kiedy chwila będzie sposobna, i zanurzyć się w nich na tak długo, jak tylko będziesz chciał. Ale nie teraz.

– Tak, dobrze. – Sherlock zamknął oczy i próbował postąpić wedle rady Crowe'a. Kłębiące się w nim uczucia przybrały postać ognistej kuli wiszącej w jego umyśle, więc wyobraził sobie, że ogniotrwała tkanina, czarna jak noc, owija się wokół tej kuli. Z ciemności wyłoniły się liny i łańcuchy, oplątały materiał, zacisnęły się mocno, aż kula została okiełznana. A potem Sherlock zobaczył, jak pakunek pogrąża się w cieniu, aż w końcu trafia do jakiegoś zakurzonego kredensu na tyłach jego umysłu. Zamknął drzwiczki.

Otworzył oczy i wziął głęboki oddech. Czuł się lepiej. Panika minęła. Wiedział, że te emocje nadal tam są, w tamtym kredensie, ale ich nie czuł. Mógłby je wydobyć, gdyby tylko chciał, lecz teraz nie był pewien, czy kiedykolwiek zechce to zrobić.

– Dobrze się czujesz?

– W porządku. Co teraz?

– Musimy przeszukać ciało i pokój. Ja zajmę się tym pierwszym, a ty zrób to drugie.

– Dobrze. – Sherlock zastanowił się przez chwilę. – Dlaczego policja zostawiła nas samych z... ze zwłokami?

Crowe spojrzał na niego spode łba.

– Problem z organami ścigania polega na tym, że lubią zgrabne, łatwe rozwiązania. Mają dwóch ludzi w zamkniętym pokoju, jeden żyje, drugi nie. Z ich punktu widzenia odpowiedź jest prosta i muszę przyznać, że gdybym nie znał twojego brata, dla mnie także wyglądałoby to na coś oczywistego. Więc oni uważają, że już złapali właściwego człowieka. Nóż jest dla nich niczym trofeum, mogą nim wymachiwać podczas procesu, żeby przerazić ławę przysięgłych. Trup? Cóż, trup już nie żyje i nie pójdzie sobie nigdzie, zostanie tu, dopóki nie przyjedzie lekarz sądowy, żeby go

stąd zabrać. To powinno dać nam wystarczająco dużo czasu, żeby zobaczyć, co policjanci by znaleźli, gdyby tylko chciało im się szukać. Dość gadania. Do roboty.

Podczas gdy Crowe krztał się przy stole, Sherlock zaczął swoje poszukiwania od jednego rogu pokoju i metodycznie sprawdzał cał po calu. Nie wiedział, czego szuka, więc szukał czegokolwiek, co wydawałoby się niezwykle. Sprawdził obite boazerią ściany i wiszące na nich obrazy. Jedno z krzeseł stojących przy stole przesunął nawet do ściany, żeby przyjrzeć się biegnącym tuż pod sufitem drążkom do wieszania obrazów. Potem przyklęknął i zaczął wypatrywać na dywanie rzeczy, które mogły wypaść komuś z ręki albo z kieszeni.

– Masz coś? – zapytał Crowe po chwili.

– Na razie nie – odparł zniechęcony.

Szukał dalej, przepatrując każdy zakamarek pokoju. Kiedy dotarł do rogu stołu, zauważył coś na podłodze pod nim: niewielką skórzaną walizkę, schowaną za stołową nogą, tak jakby ktoś próbował ją ukryć w pośpiechu.

– Mam coś! – zawołał, po czym podniósł skrzynkę i postawił ją na stole.

Crowe podszedł do Sherlocka i przyjrzał się uważnie.

– Prosta drewniana konstrukcja, skórzane pokrycie, mosiężne zawiasy, takiż zamek i nóżki – mruknął. – Nic szczególnego. Nie ma zadrapań na nóżkach ani śladów używania na rączce, co wskazuje, że jest nowa. Spójrz na uchwyt. Widzisz obwiązaną wokół niego nitkę? Pewnie była do niej przyczepiona etykieta z ceną. Ktoś oderwał cenę, ale zapomniał o nitce. To był błąd. – Crowe sięgnął po walizkę i otworzył zamki. – Nie jest zamknięta, tym lepiej dla nas. – Podniósł wieko, tak żeby Sherlock mógł zobaczyć, co jest w środku.

Walizka była od wewnątrz obita czerwonym materiałem, być może jedwabiem albo satyną. Pod spodem była jeszcze gruba wyściółka, tak że jeśli cokolwiek znajdowało się w walizce, zostało w niej ściśnięte po zamknięciu.

– Widzisz te dwa zagłębienia w wyściółce? – Crowe wskazał na dwa miejsca, gdzie materiał się zapadł, co pozwalało przypuszczać, że w walizce były wcześniej jakieś dwa przedmioty. Sherlock też to zauważył. – Są zbyt niewyraźne, żeby stwierdzić, co tu było, ale wydaje się, że były to dwie różne rzeczy.

– Materiał wokół jednego zagłębienia ma inny kolor – powiedział Sherlock. – Jest trochę ciemniejszy.

– Może się wytarł – mruknął Crowe.

– Ale walizka jest nowa, dopiero co kupiona.

– Słusznie. – Crowe dotknął palcami materiału. – Jest lekko wilgotny. To dziwne. Coś tu było, może butelka z płynem, który częściowo wyciekł.

Sherlock rozejrzał się po pokoju.

– Co mogło być w tej butelce?

– Jeszcze nie wiem. Ale zapamiętajmy tę informację na później. – Zamknął walizkę i rozejrzał się po pokoju. – Sprawdziłeś boazerie? Nie ma za nimi żadnych ukrytych drzwi? Albo okna? Ktoś musiał dostać się do tego pokoju, a potem niepostrzeżenie z niego wyjść.

– Też mi to przyszło do głowy, tylko że nie widać żadnych zawiasów. Ostukałem ściany, ale nie wydaje się, żeby gdziekolwiek była za nimi pustka.

– No dobrze.

– Chce pan sam sprawdzić?

– A po co? – Crowe wydawał się zaskoczony. – Masz przecież dobre oczy, a za nimi sprawnie działający umysł. Co z dywanem?

– Wygląda, jakby był codziennie czyszczony. I nie widziałem niczego, co mogło komuś wypaść.

– Zatem – rzekł ponuro Crowe – nie mamy nic.

– Poza... – zaczął Sherlock.

– Poza czym?

– Tym, że na dywanie jest wilgotna plama. Wilgotna i zimna.

Crowe odwrócił się i wpatrzył w Sherlocka.

– Co takiego?

– Wilgotna plama. Może ktoś wylał szklankę wody.

Crowe uniósł brwi.

– To ciekawe. Mamy walizkę, w której być może znajdowała się wcześniej butelka z jakimś płynem, oraz wilgotną plamę, tam gdzie być może płyn się rozlał, ale nie mamy samej butelki ani niczego innego. To dziwne, a nam potrzeba właśnie tego, co dziwne. Co po prostu nie pasuje.

Sherlock nie był pewien, co o tym myśleć.

– Więc co to znaczy?

Jego guwerner wzruszył ramionami.

– Jeszcze nie wiem, ale zapamiętam to, żeby zastanowić się nad tym później, i tobie radzę to samo. A teraz szukaj dalej. To, że znalazłeś jedną rzecz, nie oznacza, że nie może być ich więcej.

Sherlock przez następne dziesięć minut przeszukiwał resztę pokoju, ale kiedy dotarł do tego samego rogu, w którym zaczął, przerwał poszukiwania. Amyus Crowe także najwyraźniej skończył oględziny ciała. Odsunął się od stołu i rozejrzał po pokoju.

– Znalazł pan coś? – zapytał.

Crowe westchnął.

– Jakieś drobiazgi. Przede wszystkim ten człowiek nie był zdrow. Stracił ostatnio sporo na wadze i był pod opieką lekarza. Znalazłem to. – Podniósł niewielką buteleczkę. U góry miała coś, co przypominało przycisk. – To chyba jakiś lek, ale trzeba to dokładnie sprawdzić.

– Czy mogę spojrzeć? – zapytał Sherlock. Crowe podał mu buteleczkę. Była wielkości kciuka Sherlocka. Zamknięcie wyglądało tak, jakby dzięki niemu można było psikać z fiolki jakąś substancją przez niewielki otwór z boku. Sherlock zbliżył do niego nos i wzdrygnął się. Zapach był gorzki i jakby skądś go znał, ale nie pamiętał skąd.

– Jest ubrany jak dżentelmen – ciągnął Crowe. – Ale tatuaże na ramionach wskazują, że na pewno nim nie był.

Sherlock wsunął szklaną fiolkę do kieszeni i obszedł stół, żeby stanąć obok Crowe'a. Martwy mężczyzna był chudy, na jego policzkach dało się zauważyć drobne żyłki. Głowę miał odchyloną, wpatrywał się w sufit wytrzeszczonymi, nabiegłymi krwią oczami. Skórę miał bladą, ale Sherlock nie był pewien, czy to naturalny odcień, czy śmiertelna bladość.

Biały gors koszuli pociemniał od wysychającej krwi. Widniało na niej rozdarcie, w okolicy serca. Tam, gdzie ostrze wbiło się w ciało, pomyślał Sherlock ponuro.

Kto zadał ten cios?

Nachylił się. W rozdarciu koszuli dostrzegł coś, co przyciągnęło jego uwagę.

– Coś zauważyłeś? – zapytał Crowe.

Sherlock zawahał się.

– Próbuję sobie przypomnieć, jak wyglądał nóż, który trzymał Mycroft.

– Muszę przyznać, że nie przyjrzałem mu się zbyt uważnie – rzekł Crowe.

– Ale ja się przyjrzałem – powiedział Sherlock. – Był wąski, jak nóż do listów, a to rozdarcie na koszuli jest całkiem spore. Większe niż nóż, który widziałem.

– Ciekawe – zadumał się Crowe. – Gdy pobieżnie obejrzałem ranę, odnotowałem, że jest całkiem spora. Co sugeruje, że nóż miał szerokie ostrze, ale ty mówisz, że nóż, który zabrano, był wąski... To kolejna anomalia domagająca się wyjaśnienia.

– A może ten człowiek się bronił? – zastanawiał się Sherlock. – I może dlatego ostrze zrobiło większą dziurę w jego koszuli i... jego skórze?

– Możliwe. – Crowe myślał przez chwilę. – Można by to sprawdzić eksperymentalnie.

– Co takiego? – wykrzyknął Sherlock. – Zamierza pan dźgnąć nożem kogoś innego, żeby sprawdzić, jak będzie wyglądała rana, jeśli zacznie się szamotać?

Crowe roześmiał się.

– Nie, myślę raczej o tym, żeby zdobyć skądś martwą świnię, ubrać ją w koszulę, po czym jeden z nas dźgnie ją nożem do papieru, a drugi tymczasem trochę nią potrząśnie. Zobaczymy, czy uda nam się uzyskać takie samo rozdarcie i ranę, jaką widzimy u tego biedaka. Zgadując, dalej nie zajdziemy, bardziej niż czegokolwiek potrzeba nam dowodów. – Skinął ku drzwiom. – Pójdź poszukać tego odźwiernego, Brinnella. Przyprowadź go tutaj. Chciałbym mu zadać kilka pytań.

Sherlock wyszedł do sali klubowej. Siedzący w niej wciąż dżentelmeni spoglądali na niego z irytacją, gdy przechodził. Widzieli policję i z pewnością zdawali sobie sprawę, że wydarzyło się coś nadzwyczajnego, ale najwyraźniej postanowili udawać, że w klubie panuje niezmacony spokój. Sherlock starał się przemknąć cichutko jak myszka. Mijając obite zieloną skórą fotele, zachodził w głowę, dlaczego jego brat należy do tego klubu. Wyłączając morderstwo, nudniejszego miejsca w życiu nie widział, a jak przypuszczał, morderstwa nie były tu na porządku dziennym.

Brinnella znalazł w hallu. Odźwierny wyglądał na znużonego. Sherlock już miał go poprosić, by wrócił razem z nim do pokoju dla gości, kiedy ten uniósł palec do ust, dając mu znak, by się nie odzywał. Sherlock wskazał więc na niego, a potem w kierunku pokoju. Brinnell pokiwał głową. Minął Sherlocka i podszedł do drzwi za schodami, wiodących zapewne do pomieszczeń dla służby. Po kilku chwilach wyłonił się z nich w towarzystwie drugiego odzianego w liberię odźwiernego, starszego

i mocniej łysiejącego. Postawiwszy go w hallu na straży, Brinnell poszedł za Sherlockiem z powrotem przez salę klubową.

Crowe czekał dokładnie w tym samym miejscu, w którym Sherlock go zostawił.

– Doceniam to, że znalazł pan czas, żeby z nami porozmawiać – powiedział do odźwiernego, kiedy Sherlock po cichu zamknął drzwi. – Rozumiem, że ma pan teraz dużo spraw na głowie w związku z tym przykrym wydarzeniem.

– Co za historia – powiedział Brinnell. – Wierzyć się nie chce. – Zerknął na ciało. – A teraz trzeba po tym wszystkim posprzątać.

– To pan przyprowadził tego dżentelmena do pokoju dla gości, prawda?

– Tak, sir. To ja.

– Jak znalazł się w klubie?

Brinnell zastanowił się przez chwilę.

– Wszedł frontowym wejściem, tak samo jak panowie. Wręczył mi wizytówkę. Z tyłu napisał nazwisko pana Holmesa i jeszcze kilka słów, które niezupełnie zrozumiałem.

– Jakże to były słowa?

Brinnell zamilkł na moment, próbując przypomnieć sobie napis.

– To, zdaje się, była nazwa innego klubu – powiedział – ale nie pamiętam jakiego. Przez chwilę sądziłem, że ten dżentelmen się pomylił, dopóki nie zobaczyłem na odwrocie nazwiska pana Holmesa.

Inny klub. Z jakiegoś powodu te słowa wzbudziły zainteresowanie Sherlocka. Inny klub... Zapamiętał to, żeby później zastanowić się nad tym dokładniej.

– Więc najwyraźniej znał zasady obowiązujące w tym klubie – zauważył Crowe. – Wiedział, że nie powinien się odzywać.

– Myślę, że tak, sir. Tak musiało być.

– Co pan następnie zrobił?

– Położyłem jego wizytówkę na tacy i zaniósłem ją panu Holmesowi. Czekał już w tym pokoju. Zirytował się, tak jakby spodziewał się kogoś innego. Tak, wyraźnie wydawał się podenerwowany. Myślę, że już był gotów odprawić tego mężczyznę, ale wtedy przeczytał słowa na odwrocie wizytówki. Nagle zmienił zdanie i powiedział: „Brinnell, przyprowadź tu tego pana”. Wróciłem więc po niego i przyszliśmy tutaj.

– Ile czasu minęło, zanim my się pojawiliśmy?

Odźwierny zastanowił się przez chwilę.

– Nie więcej niż pięć minut – odparł wreszcie. – Może dziesięć.
– Czy słyszał pan jakiś hałas albo zamieszanie?
– Nie, nic nie słyszałem, sir.
– Rozumiem. A co pan sobie pomyślał o tym człowieku? Jakiego miał pan o nim zdanie?

Brinnell skrzywił się.

– Nie mnie go osądzać, sir – mruknął.

Crowe uniósł dłoń, w jego palcach błysnęła nowiutka półkoronówka.

– Zależy mi na pańskiej opinii – powiedział. – Nie puścimy pary z ust.

Brinnell myślał przez chwilę.

– Nie ma potrzeby – odparł wreszcie. – Lubię pana Holmesa. Zawsze był dla mnie miły. Naprawdę miły. Jeśli chcecie mu pomóc, to jestem jak najbardziej za tym.

– Dobry z pana człowiek – uznał Crowe. Moneta zniknęła w jego wielkiej dłoni.

– Pomyślałem sobie, że ten przybysz jest ciut za dobrze ubrany jak na swoją pozycję... Nie jestem pewien, czy pan wie, o co mi chodzi – powiedział.

– Doskonale pana rozumiem i doceniam pańską szczerą.

– Czy ten człowiek miał coś w ręku? – zapytał nagle Sherlock.

Amyus Crowe skinął głową.

– Trafne pytanie – zadudnił.

Brinnell zmarszczył brwi, sięgając pamięcią wstecz.

– Chyba niedużą walizkę. Pamiętam, że chciałem ją od niego wziąć, żeby postawić ją w szatni, ale on przycisnął ją do piersi, jakby była bardzo cenna. Chyba potrzebował jej na spotkanie z panem Holmesem.

– To niezwykle ważna informacja – stwierdził Crowe.

W tej chwili drzwi otworzyły się i stanął w nich jeden z policjantów, którzy byli w klubie wcześniej.

– Sierżant Coleman chce, by stawił się pan w Scotland Yardzie, żeby złożyć oświadczenie.

– Oczywiście – odparł Crowe. – Chętnie się dowiem, jak posuwa się śledztwo.

– Śledztwo? – powtórzył z uśmiechem posterunkowy. – Nie ma takiej potrzeby. Mamy dość dowodów.

Wyprowadził ich z pokoju dla gości i przez salę klubową do wyjścia. Kiedy wychodzili, Brinnell miał minę, jakby chciał coś powiedzieć, ale

zamiast tego podszedł do Sherlocka i wręczył mu kawałek papieru. Sherlock spojrział na widniejący na nim napis: Orville Jenkinson, adwokat. Poniżej zamieszczono także adres. Były to zapewne dane prawnika, o którym wspomniał Mycroft, tego, którego zatrudnia klub. Podziękował Brinnellowi uśmiechem i opuścił budynek.

Gdy znaleźli się na dworze i policjant odszedł kawałek, Sherlock odwrócił się do Crowe'a i zadał mu pytanie, które nękało go od godziny.

– Panie Crowe, co będzie, jeśli nie zdołamy udowodnić, że mój brat jest niewinny?

– Będzie proces – odrzekł ponuro Crowe – a jeśli uznają go za winnego, obawiam się, że go powieszają.

ROZDZIAŁ 4



Posterunek policji oraz sąd mieściły się na Bow Street, tuż przy rogu Covent Garden, w masywnym budynku z białego kamienia. Kiedy się zbliżali, Sherlock przyjrzał się budowli, starając się zapamiętać jej wygląd. Owładnęło nim dziwne uczucie, że to miejsce będzie dla niego ważne, chociaż miał nadzieję, że nie stanie się tak dlatego, że jego brat zawiśnie tu na szubienicy.

Mury zdobiły wystające gzymsy, a blanki na dachu sprawiały, że budynek wyglądał bardziej jak średniowieczny zamek niż jak siedziba wymiaru sprawiedliwości. Patrząc na gzymsy, Sherlock uśmiechnął się. Gdyby był tu Matty Arnatt, popędziłby po nich niczym po drabinie na sam dach.

Drzwi na rogu znajdowały się na poziomie ulicy, nie wiodły do nich żadne schodki. Przed wejściem wisiały białe latarnie. Na ich widok Amyus Crowe odwrócił się do posterunkowego.

– Jest pan pewien, że przyprowadził nas we właściwe miejsce? – zapytał.
– Byłem przekonany, że przed wszystkimi posterunkami policji w tym kraju wiszą niebieskie latarnie, nie białe.

– Istniała taka zasada – przyznał policjant. – Ale siedem lat temu Jej Królewskiej Mości przestały się podobać niebieskie latarnie na tym budynku. Zdaje się, że księżę regent zmarł w niebieskim pokoju, świeć Panie nad jego duszą, i od tego czasu królowa nie znosi tego koloru. A ponieważ często bywa w operze i za każdym razem musiała mijać te niebieskie latarnie, psuły jej humor. Poprosiła więc, by je usunięto. Mówię „poprosiła”, ale na mój rozum po prostu dała komendantowi do wyboru: albo on zdejmie latarnie, albo ona zdejmie jego.

– Ciekawe – zadudnił Crowe – że kobieta ma taką władzę w kraju, który odmawia kobietom prawa głosu i posiadania własnego majątku.

Weszli za posterunkowym do środka, minęli wielki kontuar w głównym hallu i ruszyli w głąb budynku. Szli korytarzem, potem skręcili i wspięli się po schodach. Obok nich przemykali w pośpiechu ludzie w mundurach i surdutach, a każdy miał do załatwienia jakąś ważną sprawę. Wreszcie posterunkowy gestem zaprosił Crowe'a i Sherlocka do sali, w której stał stół, a przy nim trzy krzesła: jedno po jednej stronie i dwa po drugiej. Ceglane ściany pomalowano na przygnębiający zielony kolor.

– Zechcą panowie tutaj poczekać – powiedział. – Zaraz przyjdzie sierżant. Niech panowie nie wychodzą z pokoju.

Kiedy policjant wyszedł, Crowe opadł ciężko na krzesło, które zaskrzypiało pod jego ciężarem.

– Usiądź wygodnie – poradził Sherlockowi. – Szybko stąd nie wyjdziemy. Sierżant pewnie przetrzyma nas tu trochę, licząc na to, że zrobimy się nerwowi i wtedy chętniej odpowiemy na jego pytania. – Prychnął. – Oczywiście na jego miejscu rozdzieliłbym nas i przesłuchał każdego z osobna.

– Dlaczego? – zapytał Sherlock, siadając obok Crowe'a.

– Jeżeli przesłuchałby nas osobno, mógłby się przekonać, czy odpowiadamy tak samo na pytania. Gdyby nasze odpowiedzi się różniły, wiedziałby, że w jakichś punktach być może kłamiemy. Jeśli przesłucha nas razem, usłyszysz moje odpowiedzi i będziesz mógł dopasować do nich swoją wersję, i vice versa.

Odchylił się na krześle i przymknął oczy, naciągnąwszy na czoło kapelusz.

Sherlock rozejrzał się, ale w pokoju nie było niczego ciekawego, jakby celowo pozbawiono go wszelkich elementów wystroju.

Jego myśli znów powędrowały ku Mycroftowi. Być może jego brat był gdzieś tu, niedaleko, ale zapewne znajdował się w dużo mniej wygodnym pomieszczeniu niż oni dwaj.

Mniej więcej po kwadransie drzwi otworzyły się gwałtownie i do pokoju wpadł sierżant Coleman, którego poznali wcześniej. W ręku miał notes i ołówki.

– Musimy wyjaśnić kilka szczegółów – oświadczył, zanim zdążył usiąść. – Moim zdaniem to nie jest szczególnie trudna sprawa. Jak dla mnie jest całkiem jasna.

Amyus Crowe zdjął kapelusz.

– Jeszcze może się pan zdziwić – powiedział.

– Fakty wydają się niepodważalne – odrzekł sierżant. – Proszę mi przerwać, jeśli się mylę, ale pokój był zamknięty, a dostać się do niego można tylko jedną drogą: drzwiami. W środku przebywało dwóch mężczyzn. Kiedy pokój otwarto, okazało się, że jeden z nich nie żyje, a drugi ma w ręku nóż. Czy coś pominąłem?

– Na ostrzu nie było śladów krwi – zauważył Sherlock.

– Kiedy wyciągano nóż z ciała ofiary, krew została na koszuli.

– Sprawdził pan, czy na koszuli są ślady wycierania, czy to tylko przypuszczenie? – zapytał Crowe.

– Nie może pan zaprzeczyć, że na koszuli jest krew – zaprotestował sierżant.

– Owszem, ta, która wypłynęła z rany. Ale czy coś świadczy o tym, że ostrze zostało celowo albo przypadkowo wytarte o tkaninę? Wycieranie i wypływanie zostawiają zupełnie inne ślady.

– To nie ma znaczenia dla sprawy – warknął Coleman. – Krew to krew, a w pokoju był tylko jeden nóż. A teraz chciałbym, żeby panowie powiedzieli mi, w jakim celu przybyli do oskarżonego.

– To mój brat – odrzekł Sherlock cicho. – Pan Crowe to przyjaciel rodziny. Byliśmy umówieni z Mycroftem na lunch.

– Co stanowi dowód, że nie była to zbrodnia z premedytacją – powiedział Coleman, zapisując coś w notatniku. – Nie zabija się człowieka, wiedząc, że lada chwila zjawi się ktoś, z kim jest się umówionym na lunch. To musiało być zabójstwo pod wpływem impulsu.

– A jaki byłby motyw? – zapytał Crowe.

Sierżant podniósł wzrok znad notesu.

– Nieudane interesy, kłótnia o kobietę... Przyczyn może być całe mnóstwo. Ostatecznie to tylko szczegóły. Ważne, że mamy morderstwo i mordercę. Sędziego pokoju nie interesuje nic więcej. – Urwał. – Gdyby zechcieli panowie podać mi swoje nazwiska i adresy... Muszę sporządzić notatkę do akt.

Crowe podyktował mu dane, które Coleman skrętnie zapisał. Sherlock, widząc, że policjant opiera ręce na blacie, gotów wstać, zdał sobie sprawę, że to już koniec przesłuchania. Poczł się, jakby byli w pociągu, który pędzi przed siebie z szaloną prędkością i nie ma sposobu, by zmienić jego bieg.

– Czy moglibyśmy zobaczyć się z Mycroftem? – zapytał nagle. – Choćby na kilka minut?

Coleman zawahał się.

– W czym mogłoby to zaszkodzić? – zapytał łagodnie Crowe. – Ostatecznie to bracia. A może kiedy pański więzień zobaczy się z Sherlockiem, będzie bardziej uległy? Bardziej skłonny do składania zeznań?

Zdumiony Sherlock zerknął ukradkiem na Crowe'a, a ten mrugnął do niego, tak by nie widział tego Coleman.

Policjant zastanawiał się przez chwilę, najwyraźniej niechętny temu pomysłowi.

– Niech będzie – zezwolił łaskawie. – Nie sądzę, żeby to miało mieć jakiś zły wpływ na cokolwiek.

Podszedł do drzwi i je otworzył. Na korytarzu stał policjant, który eskortował ich tu z klubu Diogenes.

– Zaprowadź tych dwóch dżentelmenów do oskarżonego – polecił mu Coleman. – Daj im dziesięć minut, a potem odprowadź ich do wyjścia. – Odwrócił się do Crowe'a i Sherlocka. – Dziękuję, że zechcieli panowie poświęcić nam czas. Oczywiście to bardzo przykra sprawa, ale cóż, gdyby nikt nie popełniał zbrodni, policja nie byłaby potrzebna, a ja zapewne pracowałbym razem z ojcem w rodzinnej pasmanterii.

Coleman wyszedł z pokoju, a drugi policjant dał im znak, by ruszyli za nim. Poprowadził ich przez podobny do labiryntu budynek, schodami w dół, na poziom piwnicy, gdzie ceglanych ścian nawet nie otynkowano, a na wykafelkowanej podłodze lśniły kałuże wody. Wzdłuż korytarza ciągnęły się szeregiem zamknięte stalowe drzwi. Strażnik zaprowadził ich do trzecich z nich, po czym otworzył je odpiętym od paska kluczem. Gestem dał im znak, że mogą wejść.

– Dziesięć minut i ani sekundy więcej. W razie czego jestem na zewnątrz.

Crowe przepuścił Sherlocka przodem i wszedł za nim.

Mycroft siedział wyprostowany na pryczy przy ścianie, z dłońmi złożonymi na kolanach. Oczywiście miał zamknięte, ale teraz otworzył je i spojrzał na brata. Celę oświetlał wąski, zakratowany i oszklony świetlik znajdujący się na przeciwległej do drzwi ścianie, prawdopodobnie wychodzący na ulicę. Pomieszczenie było tak małe, że we trzech wypełniali je niemal w całości. Sherlock i Crowe nie mieli gdzie usiąść, więc stali.

– Miło, że przyszliście – rzekł Mycroft. – Wybaczcie, że spotykamy się w takim otoczeniu.

Crowe rozejrzał się.

– Całkiem tu przytulnie – odrzekł. – Kiedy po raz pierwszy płynąłem z Ameryki do Anglii, warunki były dużo gorsze.

– Tak – powiedział Mycroft. – Ale kiedy statek przybił do portu, mógł pan z niego wysiąść.

– Słuszna uwaga – przyznał Crowe – ale tę kwatery ma pan przynajmniej za darmo. Ja za swoją musiałem zapłacić.

– Może byście wreszcie przestali! – Sherlock nie wytrzymał. – To poważna sprawa.

Mycroft pokiwał głową.

– Masz rację. Próbowalem po prostu znaleźć chwilowe pocieszenie w tej sytuacji.

– Jak się czujesz? – zapytał Sherlock.

– Serce mi łomocze i w głowie mi się kręci. Być może to efekt wleczenia mnie ulicami przez grupę krzepkich policjantów. – Wzdrygnął się. – Rzadko oddalam się od klubu na więcej niż sto jardów. Biuro i mieszkanie mam także w tym zasięgu. – Zerknął na Crowe'a. – Czy udało wam się ustalić coś więcej na temat tego, jak doszło do morderstwa? Mam siedem różnych hipotez, ale brak mi dowodów, żeby je zweryfikować.

Sherlock zmarszczył czoło. Siedem hipotez? On nie zdołał wymyślić nawet jednej.

– Człowiek, który do pana przyszedł, miał ze sobą walizkę – powiedział Crowe.

– Pamiętam.

– Jej wnętrze było wyściełane. Musiały znajdować się w niej jakieś dwa przedmioty. Co najmniej jeden z nich był wilgotny, a w każdym razie zostawiał ślady płynu.

Mycroft ściągnął brwi.

– Czy ten płyn miał jakiś szczególny zapach? Był lepki?

Crowe potrząsnął głową.

– Wyglądał jak woda i nie miał zapachu.

– A czy gdzieś w pokoju zostały po nim ślady?

– W istocie. Sherlock znalazł plamę na dywanie.

– To ważna informacja. – Mycroft zamyślił się na chwilę. – W takim razie mogła to być tylko jedna rzecz.

Sherlock poczuł, jak zaciskają mu się pięści.

– O czym wy, do diabła, mówicie? Co to było?

Mężczyźni spojrzeli na siebie. Mycroft zachęcił ruchem ręki Crowe'a, by wyjaśnił wszystko Sherlockowi.

– Uznajmy, że w pokoju nie przebywał nikt inny – zaczął Crowe. – Nie było okien, żadnych kryjówek; raczej zobaczylibyśmy tego kogoś, kiedy twój brat otworzył drzwi.

– Zgoda – rzekł Sherlock.

– A twój brat nie zabił tego człowieka.

– Oczywiście, że nie.

– W takim razie musiał zabić się sam.

Sherlock miał wrażenie, że ziemia usunęła mu się spod nóg.

– Co zrobił?

– Zabił się sam. Dwóch ludzi w pokoju, jeden nie żyje, a wiemy, że ten drugi go nie zabił. Ergo, musiał sam pozbawić się życia.

– Ale... – Sherlockowi załamał się głos. – Ale Mycroft miał w ręku nóż.

– Miał w ręku jakiś nóż – poprawił go Crowe. – Ofiara weszła do pokoju z walizką zawierającą dwa przedmioty. Jednym z nich okazał się nóż, który ujrzeliśmy w ręku twego brata. Nie było na nim krwi, ponieważ to nie nim zabito tego człowieka.

– Nie znaleźliśmy przecież żadnego innego noża! – zaprotestował Sherlock.

– Ale – wtrącił się Mycroft – w walizce odkryliście ślady wilgoci, a na dywanie mokrą plamę.

Crowe spojrzał wymownie na Mycrofta, który wzruszył ramionami.

– Przepraszam – dodał Mycroft – nie mogłem się powstrzymać. – Zerknął na Sherlocka. – Powiedz mi, czy ta plama na dywanie była zimna?

– Tak, racja – przypomniał sobie Sherlock. – Lód! – wykrzyknął. – Nóż zrobiono z lodu!

– Nie ulega wątpliwości – potwierdził Crowe – że drugim przedmiotem w walizce był nóż zrobiony z lodu. Dzięki wyściółce się nie rozpuścił, chociaż nieco wilgoci rzeczywiście wsiąknęło w materiał. Wcześniej zapewne walizkę trzymano w chłodzie, żeby nie dopuścić do roztopienia się ostrza.

– Ten człowiek mnie obezwładnił – rzekł ponuro Mycroft. – Jak, o tym później. Kiedy straciłem przytomność, włożył mi w dłoń prawdziwy nóż. Potem usiadł i wbił sobie w pierś lodowe ostrze. Ostatkiem sił wyjął je z ciała i rzucił na podłogę, gdzie rozpuściło się w ciepłe.

– Było ryzyko, że umrze zbyt szybko, aby zdolać wyciągnąć nóż – zauważył Crowe. – Ale w takim przypadku lód i tak roztopiłby się w jego stygnącym ciele.

– Ale po co w ogóle dwa noże? – zapytał zniecierpliwiony Sherlock. – Dlaczego nie mógł po prostu przebić się prawdziwym nożem i nie wyjmować go z rany?

Crowe zerknął współczująco na Mycrofta.

– Ktokolwiek urządził całą tę farsę, chciał, żeby twój brat nie miał pola manewru. Gdyby odkryto, że jest w pokoju z trupem, który ma nóż w piersi, mógłby się bronić, że znalazł go już w takim stanie i właśnie miał wołać po pomoc. Ale skoro zastano go z nożem w ręku, a w ranie nie było narzędzia zbrodni, nie da się wymyślić przekonującego wyjaśnienia.

– Zręczne zagranie – przyznał Mycroft. – Jestem pełen podziwu dla tego, kto obmyślił ten scenariusz.

– W takim razie dlaczego ten człowiek się zabił? – zapytał z rozpaczą Sherlock. – Z jakiego powodu?

– Cóż – rzekł Crowe. – Możemy jedynie snuć domysły, ale pamiętam, że przysłała mi do głowy myśl, że ten człowiek wyglądał na chorego. Był chudy i blady i chodził do lekarza. Przypuśćmy, że był biedny i umierał na coś takiego jak gruźlica albo rak. Przypuśćmy, że ktoś na razie nam nieznanymi zwrócił się do niego z pewną propozycją. Ten ktoś obiecuje wypłacić jego rodzinie dużą sumę pieniędzy, jeśli ów człowiek zgodzi się przyspieszyć własną śmierć o kilka tygodni, zabijając się na zlecenie tego nieznanego mocodawcy. Umierający zgadza się, dostaje więc przyzwoite ubranie, a do ręki walizkę, w której znajdują się zwykły nóż oraz nóż z lodu, i zostaje poinstruowany, co ma zrobić.

– To jednak rodzi pytanie – wtrącił się Mycroft – jak udało mu się sprawić, że na chwilę straciłem przytomność, po czym włożyć mi nóż do ręki.

– A co pan pamięta? – zapytał Crowe.

Mycroft zamknął oczy.

– Ten człowiek wszedł i postawił walizkę na stole. Kaszłał. Zapytałem, czy dobrze się czuje. Powiedział, że nie i że ma przy sobie lekarstwo, które ułatwi mu oddychanie. Sięgnął do kieszeni i wydobyl buteleczkę. Jej korek miał dziwny kształt, przypominał trochę jakiś przycisk. Poprosił, bym mu pomógł. Podeszedłem do niego i... pustka. Następne, co pamiętam, to że

usłyszałem, jak pukacie do drzwi. – Urwał na moment, po czym mówił dalej: – I jeszcze zapach. Pamiętam zapach. Ciężki i bardzo gorzki.

– Pozwolę sobie zauważyć – powiedział Crowe – że ta buteleczka służyła w istocie do rozpylania roztworu opium w alkoholu. Ten człowiek psiknął nim panu w twarz, co oszołomiło pana na kilka minut. Chwilowa utrata pamięci świadczyłaby o takim właśnie rodzaju odurzenia. To dało mu dość czasu na inne działania.

Alkoholowy roztwór opium, zwany też laudanum – tą samą substancją baron Maupertuis odurzył Sherlocka, żeby przewieźć go z Anglii do Francji. Chłopiec wciąż pamiętał oszołomienie, dziwne sny i utratę pamięci, które temu towarzyszyły. I osobliwe, niemal przyjemne uczucie znużenia. Otrząsnął się z tych wspomnień. Nie pora na to.

Crowe mówił dalej:

– Gdyby tę fiolkę znalazła policja albo lekarz sądowy, uznano by pewnie, że mężczyzna miał przy sobie laudanum na własne potrzeby. Może żeby złagodzić ból trawiącej go śmiertelnej choroby.

– Co się z nią stało? – zapytał Mycroft.

– Sherlock ją zabrał – powiedział obojętnym tonem Crowe. – Już lepsze to, niż gdyby policja miała ją zgubić.

Mycroft skinął głową. Zastanowił się przez moment.

– Roztwór, który może w jednej chwili pozbawić człowieka świadomości. Bardzo ciekawe. Mógłby się przydać w różnych oficjalnych i nie całkiem oficjalnych celach.

– Dobrze – przerwał mu Sherlock. Chciał uporządkować myśli. – Wiemy, jak to wszystko mogło przebiegać. Mamy hipotezę, do której pasują wszystkie fakty. Pytanie tylko: dlaczego? Dlaczego ktoś miałby to zrobić?

Mycroft wzruszył ramionami.

– Biorę udział w różnych trudnych negocjacjach z obcymi rządami. Być może ktoś stamtąd chce mnie usunąć z drogi na jakiś czas, żeby zyskać przewagę. Moje działania wielokrotnie powodowały, że podpisywano traktat z jednym krajem, a nie z innym. Być może te odsunięte kraje poczuły się urażone i ktoś postanowił się w ten sposób zemścić. – Coś przyszło mu do głowy. Jego mina świadczyła o tym, że sprawa była poważna. – Chyba że...

– Chyba że co? – zapytał Crowe.

Zamiast odpowiedzieć, Mycroft sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki.

– Wciąż mam przy sobie wizytówkę, którą dał mi Brinnell. Coś napisano na jej odwrocie. Coś, co skłoniło mnie, żeby spotkać się z tym człowiekiem.

Wydobył z kieszeni niewielki kartonik.

– John Robertshaw – przeczytał na głos. – Oraz adres w Chelsea: Glassblowers' Road. Zapewne fałszywy, ma tylko sprawić, by wizytówka wyglądała wiarygodnie.

– Ale warto to sprawdzić – zaznaczył Crowe.

– W rzeczy samej. Nie możemy pozwolić, by umknęła nam jakakolwiek wskazówka. – Odwrócił wizytówkę. – Moje nazwisko, napisane ręcznie, żeby Brinnell wiedział, z kim ten człowiek chciał się widzieć. Oraz dwa słowa.

Podniósł wzrok i spojrzał Sherlockowi w oczy.

– Komnata Paradoru – rzekł ponuro.

Wstrząśnięty Sherlock natychmiast przypomniał sobie chwile, gdy był uwięziony przez barona Maupertuisa. Baron wspomniał coś o Komnacie Paradoru. Nie powiedział, co to takiego, ale mówił o niej tak, jakby dla niej pracował albo składał jej raporty. Jakby to było coś ważnego i potajemnego.

– Teraz pamiętam – kontynuował Mycroft. – Gdy ujrzałem te słowa, przypomniałem sobie, jak mówiłeś, że baron Maupertuis także wymienił tę nazwę. Poleciałem więc Brinnellowi, żeby przyprowadził do mnie tego człowieka, bym mógł go zapytać o ten napis. Ale to była tylko przynęta.

– A pan dał się na nią złapać – zauważył łagodnie Crowe.

– Jeśli mogę powiedzieć coś na swoją obronę – zaprotestował Mycroft – byłem na własnym terytorium i nie spodziewałem się napaści.

– A jednak się zdarzyła. – Crowe machnął wielkim łapskiem. – Nieważne. Musimy działać. Znajdę panu prawnika. Sherlocku, czy wciąż masz nazwisko i adres tego adwokata, które dał ci odźwierny w klubie Diogenes?

Sherlock podał nauczycielowi skrawek papieru, który miał w kieszeni koszuli.

– Więc ja zajmę się poszukiwaniem prawnika, a ty, Sherlocku – ciągnął Crowe – zbadasz tę wizytówkę. – Wręczył mu kartonik, który Mycroft wydobył z kieszeni marynarki. Sherlock odwrócił go i przeczytał złowrogie słowa: Komnata Paradoru. Przebiegł go dreszcz.

– Jak mam to zrobić? – zapytał.

– Powąchaj ją – polecił mu Crowe.

Sherlock uniósł wizytówkę do nosa. Wydzielala słaby, ale ostry zapach.

– Co to jest?

– Farba drukarska – odparł Crowe. – Wizytówkę wykonano niedawno, być może w jednym egzemplarzu, tylko po to, żeby ten człowiek mógł wejść do klubu, bez niej by go nie wpuszczono. Był za biedny, żeby mieć swoje wizytówki, a jego tajemniczy zleceniodawca nie dałby mu przecież własnej. Wydrukowano ją więc niedawno, zapewne gdzieś w pobliżu. – Odwrócił się do brata Sherlocka. – Panie Holmes, ile zakładów drukarskich znajduje się w najbliższej okolicy?

Mycroft zastanowił się przez chwilę.

– Przychodzą mi do głowy cztery, wszystkie w rejonie Chancery Lane. Podam wam adresy. – Wziął pióro oraz kawałek papieru i zaczął pisać.

– Sprawdź każdego z tych drukarzy – polecił Crowe Sherlockowi. – Zapytaj, czy rozpoznają tę wizytówkę i co mogą powiedzieć o tym, kto ją zamawiał.

– Dobrze.

– Spotkajmy się przed hotelem Sarbonnier za dwie godziny. Pamiętasz, gdzie to jest?

– Tam, gdzie się zatrzymaliśmy ostatnim razem, kiedy byliśmy w Londynie? Tak, pamiętam.

– Dobrze.

Crowe chciał jeszcze coś dodać, ale nagle otworzyły się drzwi.

– Koniec widzenia – oświadczył policjant. – Muszą panowie już iść.

– Nie martw się, Mycroftie – powiedział Crowe. – Wydostaniemy cię stąd.

– Mam nadzieję, że nastąpi to przed kolacją – odparł Mycroft z nikłym uśmiechem. – Nie jadłem lunchu, a nie mam pewności, czy tutejszy wikt będzie taki, do jakiego nawykłem.

Wyciągnął dłoń do Sherlocka.

– Spróbuj nie myśleć o mnie jak o przestępcy – poprosił.

– Tutaj czy w klubie, czy gdziekolwiek indziej – odrzekł Sherlock, ujmując jego dłoń – jesteś moim bratem. Zwykle to ty o mnie dbasz. Teraz przyszła kolej, żebym ja pomógł tobie. Jeśli tylko zdołam.

– Zdołasz – powiedział Mycroft. – Uda ci się. Wiem, że jeśli coś sobie postanowisz, to zawsze osiągasz cel. Obaj mamy to po ojcu.

Policjant odkaszlnął znacząco, więc Sherlock w ślad za Amyusem Crowe'em niechętnie wyszedł z celi.

Wzdrygnął się, słysząc za plecami szcęk zamykanych drzwi. Aż bał się pomyśleć, jak ten dźwięk może działać na Mycrofta.

– Dokąd teraz? – zapytał, kiedy znów znaleźli się na świeżym powietrzu Covent Garden.

– Ty na Chancery Lane, to w tamtą stronę. – Crowe machnął ręką. – A ja na... – spojrzał na wizytówkę – Glassblowers' Road w Chelsea. Zobaczymy się później.

Odwrócił się i odszedł długimi krokami, nie oglądając się za siebie. Sherlock spojrzał za nim i poczuł się niepewnie. Był sam w Londynie – znowu. A wciąż pamiętał, co się wydarzyło, kiedy przyjechał tu ostatnim razem.

W końcu postanowił ruszyć w kierunku wskazanym przez Crowe'a. Mijał gospody i sklepy, kramy i handlarzy, którzy sprzedawali różne rzeczy, stojąc na rogu ulicy. I ludzi najróżniejszego autoramentu, od wystrojonych elegantów do uliczników w łachmanach. Londyn naprawdę był ludzkim tygłem.

Już miał zapytać kogoś o drogę do Chancery Lane, kiedy zauważył znak wskazujący mu właściwy kierunek. Gdy skręcił w odpowiednią ulicę, spostrzegł, że była ona dużo porządniejsza niż okolice, przez które szedł wcześniej. Sądząc po mosiężnych tabliczkach na budynkach, mieściły się tu głównie kancelarie prawne oraz gabinety lekarzy.

Po mniej więcej pięciu minutach znalazł pierwszy zakład drukarski. Nic dziwnego, że było ich tutaj tak dużo: adwokaci i notariusze z pewnością często musieli drukować różne dokumenty. Nerwowym ruchem otworzył drzwi.

Wewnątrz poczuł ten sam zapach, który wydzielala wizytówka, tylko silniejszy: suchy, stęchły i ostry. Nie spodziewał się za to hałasu. W stukocie kilku pras drukarskich pracujących na tyłach zakładu prawie nie usłyszał własnego głosu, kiedy odezwał się:

– Przepraszam!

Jakiś człowiek odwrócił się i utkwiał w nim wzrok. Miał podwinięte rękawy koszuli, za to na głowie melonik. Bujny wąs zasłaniał mu nie tylko usta, lecz także większość podbródka.

– Nie szukamy nikogo do pracy. Mam już tylu drukarzy, ilu mi trzeba. Spływaj!

– Chcę o coś zapytać.

Mężczyzna spojrzał na niego podejrzliwie.

– Co takiego?

Sherlock podał mu wizytówkę.

– Czy to pan ją drukował?

Mężczyzna przyjrzał się krytycznie kartonikowi.

– Nie. A teraz zmykaj.

Drukarz wrócił do pracy, a Sherlock ruszył do wyjścia. Jeśli wszyscy drukarze będą tak samo grubiańscy, załatwi sprawę w ciągu kilku minut i nie będzie miał co ze sobą zrobić do chwili spotkania z Amyusem Crowe'em.

Drugi drukarz potraktował go przyjaźniej. Tym razem Sherlock mógł zajrzeć na zaplecze warsztatu, gdzie metalowe walce pokryte maleńkimi ołowianymi literkami obracali chłopcy młodszy od niego, napierając całym ciężarem na wielkie stalowe dźwignie. Walce przyciskały się do długich, przesuwających się pod spodem wstęg papieru, na których zostawały wydrukowane litery. Chłopcy także byli usmarowani farbą drukarską.

Zadał to samo pytanie, pokazał znów wizytówkę, ale choć drukarz uśmiechnął się i próbował pomóc, kartonik nie był jego dziełem.

Udało mu się u trzeciego drukarza.

Mężczyzna był wysoki i chudy, wąsy zwisały mu niczym wstążki na wychudłych policzkach. Patrząc na niego i przypominając sobie to, co Amyus Crowe powiedział mu w pociągu na temat znaków pozwalających rozpoznać czyjś zawód, Sherlock zaczął dostrzegać typowe cechy wyglądu drukarza: farbę drukarską pod paznokciami i w załamaniach skóry; opuszki palców porysowane po latach wydobywania czcionek z kaszty; długie, cienkie skaleczenia na dłoniach pozostawione przez przesuwające się szybko płachty papieru. Jeśli tylko przyjrzeć się uważnie, wszystkie te ślady były bardzo wyraźne.

– A tak – powiedział drukarz, kiwając głową – pamiętam. Dziwne zamówienie. Zwykle ludzie chcą czterysta, pięćset sztuk, wizytówki służą przecież do rozdawania. To znaczy nikt nie pokazuje wizytówki i nie zabiera jej z powrotem, prawda? A ten gość chciał tylko jedną. Dał mi świstek, na którym były wszystkie informacje. – Wzruszył ramionami. – No to ustawiłem maszynę i wydrukowałem tylko tę jedną wizytówkę. Mówiłem, że za szylinga więcej mógłbym mu wydrukować sto, ale nie chciał. – Zamyślił się. – A właściwie to wyszedł na zewnątrz, żeby pogadać z innym gościem, i dopiero kiedy wrócił, powiedział, że nie chce.

– A ten drugi człowiek, może pan go opisać?

– Osobliwy starszy gość – odrzekł drukarz – ale go poznałem. On mnie nie poznał. Nie pamięta się twarzy ludzi, którzy ci służą.

– Ale ja tak – obiecał Sherlock. – Ja zapamiętam.

– No to jesteś lepszy niż cała reszta. Kiedyś, zanim otworzyłem ten zakład, byłem zatrudniony u drukarza na Drury Lane. Mieliśmy dużo zleceń od teatrów: programy, repertuary, plakaty, tego typu rzeczy. Ten facet, ten, co stał na zewnątrz, przychodził do nas czasem. Pracował w jednej z pobliskich gospód jako wykidajło; wyrzucał tych, co się upili albo nie mieli czym zapłacić, albo wszczynali bójki. To się chyba nazywało Shaftesbury. Drukowaliśmy dla nich plakaty, menu i tak dalej.

– Pamięta pan, jak wyglądał? – zapytał Sherlock, wstrzymując oddech.

– Mały jak terier. Włosy długie, w strąkach. Czarna broda. Miał na sobie futrzany płaszcz. To się chyba nazywa karakuły. Nie przypomnę sobie jego nazwiska.

– Dziękuję – powiedział Sherlock. – Gdybym kiedyś potrzebował drukarza, będę o panu pamiętał.

Opuścił zakład z uczuciem triumfu. Sprawdził zegarek: zostało mu półtorej godziny do spotkania z Crowe'em. Może zdąży jeszcze zajrzeć do gospody Shaftesbury? W ten sposób mógłby powiedzieć Crowe'owi, że nie tylko wie już, kto wynajął tego, który się zabił, lecz także udało mu się go odnaleźć.

Zapytał jakąś kobietę, gdzie jest Drury Lane, po czym ruszył we wskazanym kierunku. Dotarł tam w dziesięć minut.

Przy tej ulicy ciągnęły się teatry i gospody. Niektóre z teatrów były raczej rewiami, gdzie występowali żonglerzy, śpiewacy i ekwilibryści popisujący się uwalnianiem się z więzów. Inne były bardziej eleganckie i wystawiano w nich klasyczne sztuki. W jeszcze innych odbywały się recitale. Kiedy Sherlock zobaczył, że w jednym z nich występuje niejaka Wilma Norman-Neruda – skrzypaczka! – zatęsknił za grą na skrzypcach.

W połowie Drury Lane trafił na Shaftesbury, tuż obok teatru reklamującego operę komiczną F.C. Burnanda i A. Sullivana pod tytułem Cox i Box. Nie brzmiało to zachęcająco.

Sherlock usiadł na schodkach gospody naprzeciwko, nastawiając się na długie czekanie. Przechylił się na bok i oparł głowę o framugę, żeby sprawiać wrażenie, że śpi, ale cały czas wypatrywał niewysokiego mężczyzny z włosami w strąkach i z brodą.

Dopiero jakieś czterdzieści pięć minut później człowiek pasujący do tego opisu wyszedł z gospody Shaftesbury. Ubrany był dokładnie tak, jak to opisał drukarz. Rozejrzał się, po czym ruszył w prawo.

Sherlock udał się za nim. Może zaprowadzi go do swego mieszkania? Wtedy dopiero miałby coś dla Amyusa Crowe'a!

Mężczyzna poszedł Drury Lane, przez miejsce zwane Seven Dials, a potem w kierunku Trafalgar Square. Sherlock zaczynał już rozpoznawać niektóre rejony Londynu i starał się zapamiętać jak najwięcej. Na Trafalgar Square mężczyzna skręcił w lewo, przemknął przed zdobionym, brązowym frontem dworca Charing Cross i hotelu o tej samej nazwie. Szedł szybkim krokiem, Sherlock musiał więc się starać, żeby za nim nadążyć.

Przy Aldwych mężczyzna skręcił w prawo, a Sherlock zdał sobie sprawę, że zamierza przejść na drugą stronę Tamizy mostem Waterloo. Zatrzymał się przy budce na końcu mostu i podał kilka monet. Sherlock odbył szybką naradę z samym sobą: czy powinien dalej go śledzić, czy też wracać do Amyusa Crowe'a? Ale co mu powie? Że znalazł tego człowieka, po czym znów stracił go z oczu? Nie, nie mógł się teraz poddać, musiał dotrzeć przynajmniej na drugą stronę rzeki, żeby zobaczyć, dokąd zmierza tamten.

Znalazł w kieszeni jakieś drobne. Opłata wynosiła tylko jednego pensa. Zapłacił, przecisnął się obok człowieka pobierającego pieniądze i szedł dalej, starając się nadążyć za swą zwierzyną.

A człowieczek wciąż posuwał się naprzód, nie rozglądając się na boki.

Gdy był już na drugim brzegu rzeki, zbliżył się do budynku, w którym mieścił się dworzec Waterloo, ale zamiast wejść do środka, skręcił w lewo. Sherlock poszedł za nim, starając się chować za innymi przechodniami na wypadek, gdyby mężczyzna się odwrócił.

Ten jednak ani razu tego nie zrobił. W pewnym momencie skręcił w łukowato sklepiony tunel.

Kiedy Sherlock dotarł do wejścia do tunelu, przystanął i wyjrzał za krawędź kruszącego się ceglanego muru. W głębi panował półmrok, mężczyzny nigdzie nie było widać.

Zrobił dwa kroki naprzód, do połowy zanurzając się w cieniu. Wciąż ani śladu tamtego.

Odwrócił się więc, żeby ruszyć z powrotem, na spotkanie z Amyusem Crowe'em.

Brodacz o długich włosach zlepionych w strąki stał przed nim.

– Śledziłeś mnie – powiedział. – Chcę się dowiedzieć dlaczego. A potem, tak dla zgrzywy, chcę usłyszeć, jak wrzeszczysz.

ROZDZIAŁ 5



– Proszę pana, da mi pan pensa? – zaskomlał Sherlock, starając się wyglądać na drobniejszego, niż był w rzeczywistości. – Od wielu dni nic nie jadłem. Chociaż pens na kawałek chleba.

– Tylko bez takich farmazonów! – warknął mężczyzna. – Mnie nie nabierzesz.

– Dobrze – powiedział Sherlock swoim zwykłym głosem i wyprostował się. – A co to jest farmazon?

Brodacz uśmiechnął się złowrogo. Jego zęby wyglądały jak czarne pieńki.

– Nie co, tylko kto.

– A, oszust – domyślił się Sherlock.

– Właśnie. A teraz, skoro już mamy to z głowy, powiedz, dlaczego mnie śledziłeś.

– Wcale pana nie śledziłem! – zaprotestował Sherlock.

Mężczyzna uniósł krzaczaste brwi.

– Pamiętaj, przejrzę każdy podstęp, jaki tylko wymyślisz. Zacząłeś iść za mną przed teatrem i cały czas nie odstępowałeś mnie na krok. Chciałbym wiedzieć dlaczego. – Obrzucił Sherlocka spojrzeniem. – Nie jesteś doliniarzem. – Zauważył minę chłopca. – No, kieszonkowcem – wyjaśnił. – Więc czego tu szukasz?

– Niczego.

– Szedłeś za mną przez miasto i mostem Waterloo aż tutaj.

– To zbieg okoliczności – powiedział Sherlock.

– Nie ma czegoś takiego – parsknął mężczyzna. – Nie musisz mi nic mówić, jeśli nie chcesz. Z łatwością to z ciebie wydobędę, to dopiero będzie frajda. Od dawna nikogo poważnie nie uszkodziłem. Trzymałem się

instrukcji, starałem się nie wychylać. Już od kilku tygodni nie widziałem na oczy farby i trochę mi tęskno.

– Farby? – zapytał Sherlock, choć wiedział, że odpowiedź mu się nie spodoba.

– Krwi, synku, krwi. – Mężczyzna wsunął rękę do kieszeni. Kiedy ją wyjął, w dłoni trzymał dwa brzęczące metalowe przedmioty. – Na mój rozum albo pracujesz dla jednego z miejscowych gangów, który chce wiedzieć, co się dzieje w teatrze, albo zauważyłeś tam coś dziwnego i masz nadzieję, że opchniesz glinom historyjkę za kilka miedziaków. – Wsunął palce prawej ręki w jeden z metalowych przedmiotów. Sherlockowi przypominał on zestaw połączonych pierścieni pokrytych wystającymi nad kostki kolcami. – W każdym razie słono zapłacisz za swoje wścibstwo. – Wsunął drugi przedmiot na palce lewej dłoni i uniósł pięści, żeby Sherlock mógł je zobaczyć. Szpikulce zaśniły w słabym świetle. Ręce mężczyzny zmieniły się w śmiertcionośną broń, którą mógłby rozszarpać twarz Sherlocka na strzępy.

– Możemy zacząć? Szybko nam pójdzie. Mam sporo innych zajęć.

Sherlock zaczął się wycofywać, a serce zabiło mu mocniej. Mężczyzna blokował wyjście z bramy, ale przecież gdzieś za nim, w ciemnościach, musiało być inne wyjście. Trzeba tylko je znaleźć.

Brodacz uśmiechnął się zimno. Wsunął rękę do kieszeni płaszcza, zaczepiając kolcami kastetów o tkaninę, i wy dobył z niej garść srebrnych monet.

– Pół korony dla tego, kto przyprowadzi do mnie dzieciaka! – zawołał. – Słyszeliście? Ten, kto go złapie, przez pół miesiąca będzie żył jak król. Pół korony! I nie będę miał pretensji, jeśli coś mu się złamie, pod warunkiem że będzie mógł gadać.

Powietrze wokół Sherlocka zaszeleściło – jak żywa istota. Myślał, że oprócz niego i brodacza w tunelu pod stacją Waterloo nie ma nikogo, ale mrok poruszył się i rozdzielił na pięć, sześć, dziesięć niewielkich postaci. Wyglądało to tak, jakby wyszły ze ściany albo wyłoniły się z błotnistej ziemi. Były niewielkie – niższe od Sherlocka, drobniejsze niż jego przyjaciel Matty – a ich skóra, widoczna przez poszarpane łachmany, była szara od nawarstwowanego brudu. Dzieci. Mieszkańcy tunelu, bez rodziny i żadnych środków utrzymania. Radziły sobie, grzebiąc w błocie i szukając tego, co upuścili przechodzący pasażerowie. Oczy miały wielkie i ciemne, jak szczury, a paznokcie rąk i nóg długie i ostre, pokryte ciemnym nalotem.

Spięzchnięte, popękane wargi były opięte na chorych dziąsłach, nieliczne zęby czarne i wyszczerbione niczym jakieś prastare góry. Dzieci nie umiały nawet stać prosto – przez tyle czasu grzebały w błocie i szlamie, szukając upuszczonych monet, że były zgięte i zgarbione. Ramiona i nogi miały chude i krzywe niczym konary drzew, ale brzuchy dziwnie opuchnięte. Wokół ich twarzy zwisały potargane włosy. Trudno było nawet rozróżnić, które z nich to chłopcy, a które dziewczynki: brudne i wygłodzone wyglądały wszystkie jednakowo. I jeszcze zapach; odór zgnilizny i rozkładu, jaki wydzierały, był tak silny, że Sherlock niemal widział, jak faluje nad nimi powietrze.

Jak one mogą tak żyć, zachodził w głowę, wciąż się cofając. Kiedy zbliżały się ku niemu, w ich oczach nie było nic prócz nienasyconego głodu. Dla nich pojawienie się Sherlocka stanowiło jedynie okazję do tego, by zdobyć kolejny posiłek.

Ale nagle zaczął postrzegać je inaczej. Przez sekundę czy dwie wydawały mu się potworami, bestiami mroku, gotowymi napaść na niego całą gromadą, a teraz znów były dziećmi, z głodu zdolnymi do wszystkiego. Miotają nim na przemian groza i współczucie. Jak można pozwolić, żeby ludzi – żeby dzieci – spotkał taki los? Tak nie powinno być.

– Nie musicie tego robić – powiedział, nie przestając iść do tyłu. Zdziçałe dzieci na dźwięk tych słów przechyliły głowy, ale nie był pewien, czy go rozumiały. A jeśli nawet rozumiały, czy w ogóle obchodziło je, co mówił. Wiedziały tylko, że wielki człowiek z brodą zapłaci im majątek, jeśli złapią dla niego Sherlocka, i nie przejmowały się, że być może będą musiały połamać mu przy tym ręce i nogi.

Sherlock przeczuwał, że tutaj, w tych ciemnych czeluściach, zdarzało im się już robić gorsze rzeczy.

Odwrócił się i chciał pobiec, ale za nim stało czworo, nie, pięcioro dzieci, które wyłoniły się bezgłośnie z mroku.

Czyjaś dłoń chwyciła go za rękaw. Wzdrygnął się, próbując wyszarpnąć tkaninę z chudych palców, i usłyszał, jak materiał drze się pod ostrymi paznokciami.

Był otoczony.

W świetle wpadającym z ulicy Sherlock widział przysadzistą sylwetkę brodacza. Słyszał też jego śmiech.

Rozpaczliwie starał się zdławić wzbierającą w nim panikę. Musi myśleć, i to szybko.

Kolejna ręka sięgnęła w jego kierunku. Odepchnął ją. Skóra, której dotknął, była gąbczasta. Odruchowo wytarł dłoń o marynarkę.

Za kilka sekund rzucą się na niego wszystkie razem. Rozejrzył się wokół, szukając czegokolwiek, co mogłoby mu pomóc w ucieczce.

Mur. Jedyłą nadzieją była ściana po lewej, która łagodnie przechodziła w łukowate sklepienie. Dzikie dzieci otoczyły go, ale droga do ściany była wolna.

Pobiegł ku niej i z niewielkiej odległości skoczył. Rękami wczepił się w szczeliny w murze, stopami szukał wyrw, miejsc, gdzie cegły się wykruszyły. Podciągnął się, ściana wyginała się łukowato nad jego głową. Wspiął się tak wysoko, jak tylko mógł, mimo grawitacji ściągającej go w dół. Piekielne dzieci zaczęły się wdrapywać w ślad za nim, ale tutaj, pod wygiętym stropem, był teraz bliżej środka tunelu.

Odepchnął się od muru, na wpół spadając, na wpół skacząc ponad ich głowami. Upadł na rozmokłą ziemię pośrodku tunelu, zachwiał się, ale zdołał ustać na nogach. Zanim dzieci zdążyły się zorientować, co zrobił, odwrócił się i pobiegł w ciemność – innej drogi nie było.

W jednej chwili pochłonął go mrok. Za sobą słyszał plaskanie bosych stóp o wilgotną ziemię. Pościg ruszył.

Biegł z nadzieją, że będzie miał szczęście i nie wpadnie na ścianę. Albo jego oczy zaczynały się przyzwyczajać do ciemności, albo gdzieś z góry sączyło się jednak jakieś światło, albo może świecił fosforyzujący mech na ścianach, w każdym razie udawało mu się dostrzec zarys ceglanego muru.

Z boku zauważył łukowate wejście – wlot innego tunelu, łączącego się z tym, którym biegł. Skręcił więc w niego. Jeśli w ogóle ma jakieś szanse wymknąć się swoim prześladowcom, to tylko wprawiając ich w dezorientację, dając im zbyt wiele możliwości do wyboru. Jeżeli będzie po prostu biegł przed siebie, z pewnością go dopadną. A potem... Cóż, nie był całkowicie pewien, czy obietnica półkoronówki zwycięży z ich dojmującym głodem i pragnieniem przeszukania jego kieszeni.

Tunel kończył się czarną ścianą, na którą Sherlock omal nie wpadł. Tylko niewielka zmiana w cuchnącym powietrzu ostrzegła go, że ma przed sobą przeszkodę. Zatrzymał się gwałtownie i ostrożnie wyciągnął dłoń. Ściana była dwie stopy przed nim. Gdyby nie zauważył jej w porę, uderzyłby w nią, stracił przytomność i stał się łatwym łupem dla swoich zdziczałych prześladowców.

Co teraz? Czy musi cofnąć się i poszukać innej drogi, zawrócić w stronę ścigającej go hordy?

Poczuł na twarzy powiew – ciepłego, zastalego powietrza, ale jednak powiew. Może to nie jest ślepy zaułek. Może to tylko węzeł, w którym jeden tunel łączy się z drugim.

Odwrócił się w lewo i zaczął biec, wyciągając przed siebie ręce, by nie uderzyć w mur. Ale tunel się nie kończył – przed Sherlockiem rozciągały się jakieś nowe czeluście.

Wzdrygnął się, gdy usłyszał nagłe dudnienie nad głową. Wydawało się trwać w nieskończoność. Z sufitu na głowę kapały mu krople stęchłej wody. Może to pociąg? Czyżby znalazł się pod torami biegnącymi ze stacji Waterloo?

Może to pociąg, który jedzie do Farnham, tam, gdzie są jego przyjaciele. Czy zobaczy ich jeszcze kiedyś, czy też zginie tu, w ciemnościach, i nikt się o tym nie dowie?

Oddech uwiązał mu w piersi. Gdzieś tam, na górze, był spokojny, uporządkowany świat, gdzie dobrze ubrani ludzie chodzili tu i ówdzie w swoich sprawach. Gdzie było słońce, solidne ceglane mury, twarde marmurowe podłogi i gazowe lampy. Tam w górze było niebo. Tu na dole były skruszałe ściany, po których ciekła woda, błotnista ziemia i odór, w którym mieszały się najgorsze wonie smoły, ludzkiego brudu i gnijących roślin, a także zgnębione dzieci, niewiele lepsze od zwierząt. To z pewnością było piekło.

Czuł się, jakby już nie miał siły iść dalej. Miał ochotę usiąść, zwinąć się w kłębek i czekać, aż siłą woli obudzi się z tego koszmaru. Bo to tylko koszmarny sen, prawda? W schludnym, uporządkowanym świecie, w którym żyje, nie ma przecież takich miejsc jak to.

Ale to się działo naprawdę. Wiedział, że to nie sen. Nie może się poddać. Musi się stąd wydostać.

Życie Mycrofta jest w jego rękach.

Przed sobą zobaczył promień światła przecinający tunel ukośnie, z góry na dół. Może była to tylko wątna strużka światła sącząca się przez szczelinę w murze, ale dla jego nawykłych już do mroku oczu była niczym kolumna ze złota. Potykając się, ruszył w jej kierunku z nadzieją, że szpara okaże się na tyle duża, aby mógł się przez nią przedostać na górę, na dworzec. Do bezpiecznego, normalnego świata.

Niestety – w szczelinie mieściły się tylko jego palce, a światło było zaledwie poblaskiem rozszczepionym przez wodę ściekającą po murze. Rozzłoszczony, wczepił się w cegły, wbrew wszystkiemu wierząc, że zdoła poszerzyć otwór. Mur przez chwilę stawiał opór, ale w końcu cegły rozsypały się, a ich odłamki spadły na podłogę tunelu.

Po drugiej stronie dostrzegł błysk czegoś, co się poruszało: czegoś twardego, czarnego i połyskującego. Wpatrywał się w to, zachodząc w głowę, co to może być, po czym aż wzdrygnął się ze zgrozy. Zdał sobie sprawę, że patrzy na chmarę chrząszczy, być może karaluchów, umykających przed światłem i powietrzem, bo zniszczył im ich kryjówkę, ich gniazdo. W jednej chwili zniknęły, została tylko pusta dziura. Sherlock rozejrzał się i poczuł dreszcz przebiegający po plecach. Czy to samo jest za każdą ścianą, każdą cegłą tego tunelu? Czy był tu drugi, ukryty świat bezokich robaków żyjących w wyrwach i prześwitach, karmiących się tym, czego nie zjadły nawet zdziczałe dzieci?

Gdy nasłuchiwał uważnie, wydawało mu się, że wszędzie wokół niego słychać cichy szelest owadów. Otoczą go. Pogrzebią go żywcem.

Z jego gardła wydobył się krzyk przerażenia. Ruszył biegiem.

Po dziesięciu krokach poczuł, że coś na niego spadło.

Wrzasnął, chwytając za to coś, co owijało mu się wokół twarzy. Oczami wyobraźni widział masę karaluchów, które rzuciły się na niego wszystkie razem, albo jednego gigantycznego karalucha wielkości jego głowy, ale palcami natrafił na łachmany i oślizgłe ciało. Czyjaś ręka usiłowała złapać go za gardło. To była dziewczynka! Jedno ze zdziczałych dzieci, które go ścigały. W jakiś sposób udało jej się go wyprzedzić i zacziąć się, przywarłszy do muru, aby spaść na niego, kiedy przebiegał obok. Chwycił ją rękami za szyję i poczuł, jak próbuje zacisnąć resztki zepsutych zębów na jego policzku. Była mała i słaba i pomimo że się wiała, zdołał drugą ręką złapać ją za ramię, a może za nogę. Zawahał się przez moment, bo wiedział, że to jest dziecko, mała dziewczynka, i że cywilizowani ludzie nie krzywdzą dziewczynek, ale jej paznokcie wbijały mu się boleśnie w skórę. Nie miał wyboru. Gwałtownym ruchem zdarł ją z siebie i rzucił w głąb tunelu. Spadła na miękkie, błotniste podłoże i poturlała się gdzieś na bok. W słabym świetle przenikającym do tunelu widział jej błyszczące oczy. Zasyczała i umknęła w ciemność, wiedział jednak, że nie odejdzie daleko. Wciąż będzie trzymać się w pobliżu i czekać na swoją szansę.

Wzburzony, czując skurcz żołądka, pomyślał o Mattym, który w życiu mógł polegać tylko na własnym sprycie i nigdy nie wiedział, czy uda mu się zdobyć kolejny posiłek. Czy dużo brakowało, aby Matty zaczął żyć tak jak ci tutaj? Podejrzewał, że niewiele. A to przecież były dzieci! To nie były wampiry!

Ruszył dalej, słysząc kroki dziewczynki skradającej się za nim w ciemnościach. Gdzieś w oddali pobrzmiwał skowyt innych tropiących go dzieci.

Dzieci czy wampiry, to nieważne. Zginie tutaj. Stąd nie ma ucieczki. Czuł, jak serce łomocze mu między żebrami, gdy rozpaczliwie łąpał oddech, paliły go mięśnie nóg, gdy włókł się chwiejnie przed siebie. Nie uda mu się.

– Pens za twoje życie – zasyczał jakiś głos za jego plecami.

– Dobrze – wykrztusił. – Niech będzie pens.

– Pokaż – nalegał głos.

Sherlock wsunął dłoń do kieszeni i wyciągnął garść drobniaków.

– Dam ci to wszystko, jeśli pomożesz mi się stąd wydostać.

Dziecko w ciemnościach wstrzymało oddech.

– Nigdy nie widziałem tyle naraz! Musisz być bogaty!

– Co mi z tego, skoro tu zginę – odparł zniecierpliwiony Sherlock, którego wciąż dobiegały odgłosy pogoni. – Zabierz mnie tam, skąd przyszedłem!

– Nie mogę tego zrobić. Oni patrzą i czekają. Musisz pójść inną drogą.

Sherlock z trudem przełknął ślinę.

– Jaką?

– Chodź za mną.

Jakaś postać pojawiła się obok niego, jakby wyszła ze ściany. Chłopiec sięgał Sherlockowi ledwo do piersi, ale coś w jego oczach sprawiało, że wyglądał na znacznie starszego. To dziecko widziało już takie rzeczy, jakich Sherlock miał nadzieję nigdy nie zobaczyć.

– Jak masz na imię? – zapytał, gdy dzieciak niczym ryba znów zanurkował w ciemność.

– Nie mam imienia – dobiegł go szept.

– Każdy ma jakieś imię – upierał się Sherlock.

– Ale nie tutaj. Imię tylko przeszkadza.

Sherlockowi wydawało się, że dziecko skrzywiło w bok, z powrotem ku łukowatej ścianie, z której się wyłoniło. Podszedł do muru. Był w nim

otwór, od podłogi do wysokości głowy, nie wyrwa, tylko specjalne, równe przejście. Może służące do wentylacji, może zrobione w jakimś innym celu. Sherlock usłyszał w środku szuranie. Wziął głęboki oddech i ruszył za chłopcem.

Następne pięć minut było najgorszymi minutami w życiu Sherlocka. Wciśnięty między dwie wilgotne ściany z kruszących się cegieł, słysząc, a może tylko wyczuwając, jak ślepe owady pełzną swoimi kanalikami kilka cali od jego głowy, parł coraz głębiej w ciemność. Chropowate cegły kaleczyły mu twarz i dłonie. Pajęczyny wplątywały się we włosy. Jakieś insekty wpadały mu prosto za kołnierz, a on musiał powstrzymać przemożną chęć strzepywania ich z ubrań, pod którymi szukały sobie schronienia. Co jakiś czas, macając rękami, natrafiał na coś wilgotnego, co spływało po ścianach. Przypuszczał, że to woda, ale w ciemności nie widział jej koloru, a jej zapach nie przypominał mu niczego, co wachał wcześniej. Płyn był raczej jak coś lepkiego i żywego, tak jakby Sherlock wpychał się coraz głębiej w gardziel jakiegoś ogromnego, pradawnego smoka, a to, co czuł pod palcami, to była żrąca ślina potwora. Odnosił wrażenie, że ziemia – jeśli to była ziemia, a nie jezior – ugina mu się pod stopami, i miał straszne uczucie, że jeśli się zatrzyma, powoli zagłębi się w bagnie, najpierw po kolana, potem po uda, po szyję, a jeśli stopy nie natrafiają na nic twardego, miękkie błoto zamknie mu się nad głową i go zadławi.

Dziki chłopiec idący przodem bardziej się wspinał, niż szedł. Palcami u rąk i nóg znajdował szczeliny w ceglach i przemieszczał się właściwie ponad gliniastym błotem, a nie brodził w nim tak jak Sherlock. Odgłos skrobania paznokci o cegły sprawiał, że Sherlock miał ochotę krzyczeć. Chłopiec najwyraźniej do perfekcji opanował umiejętność poruszania się po tych tunelach, za to Sherlock nie miał jej wcale.

Korytarz zwęził się nagle tak, że Sherlock musiał się obrócić bokiem, żeby przejść. Czuł ucisk ścian na żebrach i plecach. Wypuścił powietrze z płuc i wcisnął się, jak najdalej mógł, ale w końcu zaczepił żebrami o wystającą cegłę. Utknął.

Ledwo oddychał. Miał tak mało miejsca, że udawało mu się zaczerpnąć tylko drobne łyki powietrza.

Wzbierała w nim panika, ciemna i kwaśna. Próbował się wycofać, ale w ciasnej szczelinie coś się zmieniło. Może poruszając się, przesunął jakąś cegłę. Cokolwiek się stało, miał wrażenie, że otwór za nim się zwęził. Kiedy

chciał precyzyjnie się w tył, poczuł, że coś twardego wbija mu się w kręgosłup. Nie mógł się ruszyć ani do przodu, ani do tyłu. Był w pułapce!

Miał ochotę krzyczeć, ale nie mógł nabrać dość powietrza. Przed oczami widział czerwoną mgiełkę. Serce biło mu ciężko i nieregularnie, tak jakby próbowało się wyrwać z jego piersi równie rozpaczliwie, jak on próbował wydostać się ze szczeliny.

Czyjaś ręka złapała go za nadgarstek i mocno pociągnęła. Czuł, jak szorstki mur zdziera mu skórę na żebrach i plecach, ale potem cegły rozsypały się w chmurę gruzu oraz rozpaczliwie umykających owadów, a on wyskoczył na otwartą przestrzeń niczym korek z butelki.

Stał przed nim dziki chłopiec. To on wyciągnął go z pułapki.

– Mogłeś mnie przecież zostawić – wykrztusił Sherlock, chwytając powietrze. – Mogłeś poczekać, aż się uduszę, a potem zabrać sobie pieniądze z mojej kieszeni.

– Och tak – powiedział chłopiec z nieprzeniknioną miną. – Pewnie mogłem. – Odwrócił się, po czym spojrzał przez ramię na Sherlocka. – Musimy ruszać. Oni są blisko.

Po kilku metrach dotarli do wąskich schodków. Sherlock ruszył nimi w ślad za chłopcem i wkrótce znalazł się w czymś w rodzaju pieczary. To, co tam zobaczył, zaparło mu dech.

Stali w ogromnym magazynie wypełnionym piętrzącymi się wszędzie skrzyniami, tak że nie było widać ścian. Sherlock dostrzegł jednak sufit zbudowany z brudnych tafli szkła w stalowych ramach. Sączyło się przez nie błogosławione światło, które teraz wydawało mu się tak jasne, że musiał mrużyć oczy. Pod sufitem znajdowały się stalowe kratownice. Gdzieś w górze słyszał świergot ptaków.

Ale to skrzynie przyciągnęły jego uwagę. Były długie – miały około siedmiu stóp – i wąskie, ale o nieregularnych bokach. Mniej więcej w jednej czwartej rozszerzały się, a potem znów były węższe. Gapił się na nie przez kilka sekund i dopiero wtedy zdał sobie sprawę, na co patrzy. Właściwie wiedział to od razu, ale jego umysł nie dopuszczał do siebie tej strasznej świadomości.

To były trumny.

– Co to za miejsce? – wykrztusił.

– Tutaj trzymają zwłoki, zanim zawiozą je do Nekro.

– Nekro?

– No wiesz. Tam, gdzie się zabiera umarłaków.

Sherlock myślał gorączkowo.

– Masz na myśli cmentarz? – w końcu się domyślił. – Chodzi ci o nekropolię. Przypomniało mu się greckie słówko, którego nauczył się w szkole w Deepdene. Nekropolia, miasto umarłych.

– Tak. W Brookwood. Tam jadą pociągi.

Brookwood? To niedaleko Farnham, gdzie mieszkają jego stryjostwo. Gdzie on mieszka. A potem przypomniało mu się coś, co powiedział Matty Arnatt, kiedy spotkali się po raz pierwszy – że nie chce jechać do Brookwood. Nie wyjaśnił dlaczego, a Sherlock nie dopytywał. Teraz już wiedział. W Brookwood najwyraźniej znajdował się duży cmentarz, na który zwożono ciała z całej okolicy.

– Dlaczego nie pochowają ich w Londynie? – zapytał.

– Nie ma miejsca – odparł zwięźle jego wybawca. – Cmentarze są pełne. Ludzi chowa się jednych na drugich. Wystarczy solidna burza, żeby wypłukało ziemię i trumny znalazły się na widoku.

Sherlock przyjrzał się stosom trumien i zauważył, że wszystkie mają z boku numery wypisane kredą. Być może odpowiadały one numerom na jakiejś liście, żeby wiadomo było, kto jest grzebany.

– Wszystkie są... zajęte?

Chłopiec skinął głową.

– Co do jednej. – Urwał. – Niezłe żniwa.

– Co masz na myśli?

– Zdarza się, że trumny spadają. Rozbijają się. A ludzi czasem chowa się z ich dobytkiem; mają zegarki, pierścionki i tak dalej. I ubrania. Są tacy, co dobrze zapłacą za ładną marynarkę. I nie obchodzi ich, kto wcześniej nosił ją na grzbiecie.

Sherlock poczuł mdłości. To był zupełnie nowy świat, a on nie chciał być jego częścią. Wbrew sobie jednak pytał dalej. Musiał wiedzieć.

– A jak je wożą do Brookwood?

– Specjalnym pociągiem. – Chłopiec pokazał ręką gdzieś w dal. – Linia cmentarna. Tam są tory.

– Specjalny pociąg dla umarłych?

– I dla tych, których opuścili? – Dzieciak uśmiechnął się, pokazując jedyny, zepsuty ząb. – Pierwsza, druga i trzecia klasa, tylko dla trumien. Nawet umarłak może jechać jak panisko. – Zatoczył ręką koło. – Dobrze, że ludzie nie widzą, jak się traktuje ich bliskich, zanim ich wsadzą do pociągu.

Sherlock znów obrzucił spojrzeniem halę. Przyjrzał się kolejnym stosom trumien piętrzącym się wyżej niż jego głowa. W każdej znajdowały się zwłoki. Było tu tyle zmarłych ludzi, ile mieszka w niedużym miasteczku. Przeróżające.

– Dobrze – powiedział. – Chodźmy już.

Chłopiec jednak potrząsnął głową.

– Od teraz musisz radzić sobie sam, koleś.

– Jasne. – Sherlock podał mu garść monet wyjętych z kieszeni. – Dzięki.

Chłopiec wyciągnął dłoń po pieniądze.

– Dżentelmen z ciebie.

Odsunął się o krok, przyłożył palce do ust i zagwizdał tak, że Sherlockowi aż zadzwoniło w uszach.

– Tu jest! – wrzasnął ile sił w płucach. – Zaraz zwieje!

– Myślałem, że chcesz mi pomóc! – powiedział z wyrzutem Sherlock.

– Przecież to zrobiłem. – Chłopiec potrząsnął pięścią, w której trzymał monety. – Zgodnie z umową. Teraz pomagam im. Może w zamian dostanę twoje buty.

Sherlock usłyszał hałas dobiegający z wąskiej szczeliny, z której wyszli – odgłos długich paznokci drapiących o cegłę. Gdy zajrzał w ciemność, zobaczył małe oczka błyszczące w ciemnościach.

Zrobił krok i złapał chłopca za nadgarstek. Obrócił go i wepchnął w szczelinę.

– On ma moją forszę! – wrzasnął. – Trzyma ją w ręku!

Chłopiec popatrzył ze zgrozą na Sherlocka, zanim kilkanaście chudych rączek wciągnęło go w ciemność. Sherlock usłyszał jego krzyk, a potem odgłosy szamotaniny i dartej materiału.

Ruszył biegiem. Dopóki są zajęci czym innym, ma szansę uciec.

Wciąż brakowało mu tchu i paliło go w płucach i mięśniach, ale biegł tak szybko, jak tylko mógł, wzdłuż stosów trumien. Po chwili znalazł się na otwartej przestrzeni.

Przed sobą ujrzał trzy pociągi. Stały na końcu torów, tuż przy zamykających je barierkach. Wyglądały tak samo jak pociąg, którym przyjechał z Amyusem Crowe'em do Londynu, tylko były pomalowane na czarno – i parowozy, i wagony. Na przedniej i tylnej ścianie każdego wagonu namalowano białą czaszkę, a pod nią skrzyżowane kości.

Sherlock przypuszczał, że te pociągi jeżdżą tylko nocą. W ciągu dnia stanowiłyby koszmarny widok dla każdego, kto by je zauważył.

Chociaż wizja takiego pociągu wyłaniającego się z mroku w kłębach dymu, z kotłem rozżarzonego do czerwoności, też była dość przerażająca.

Obejrzał się przez ramię na sterty trumien. Wydawało mu się, że gdzieś w cieniu wśród nich dostrzegł błysk obserwujących go oczu, ale nie był pewien. Najważniejsze, że nikt go nie gonił. Dzieci nie odważyłyby się wyjść na światło, a on nie wejdzie już w mrok. Umknął im. Na razie.

Odwrócił się i zrobił krok naprzód. Coś chrupnęło mu pod nogami. Spojrzał w dół i zobaczył wystający z ziemi kawałek kości. Musiał na niego nastąpić, bo kość złamała się na pół. Trumny czasem spadają, mówił tamten chłopiec, rozbijają się. Wyglądało na to, że ich zawartość zostawała tam, gdzie się rozsypała. Mimo tych wszystkich ceregieli – specjalnych pociągów, wielkiego cmentarza w Brookwood – kiedy trumna pękła, nikt już nie troszczył się o szczątki. To tak, jakby otoczka była ważniejsza niż rzeczywistość. Żałobnicy nic o tym nie wiedzieli, a może nie obchodziło ich, czy w trumnie, którą zakopują w ziemi, jest na pewno ich zmarły członek rodziny.

Gdzieś za pociągami musiało znajdować się wyjście ze stacji. Dochodził stamtąd powiew rozwiewający odór katakumb, przez które Sherlock uciekał przed prześladowcami i w których omal nie stracił życia. Wyczerpany, powlókł się ku światłu. Gdzieś tam, w rzeczywistym świecie, nad Mycroftem wciąż wisi oskarżenie o morderstwo, a Sherlock musi pomóc oczyścić jego imię. Był śmiertelnie znużony i obolały, ale to nie miało znaczenia. Musi pomóc Mycroftowi.

Pogrążony we własnych myślach, dopiero po kilku sekundach spostrzegł, że człowiek o włosach w strąkach wyszedł właśnie zza jednej z lokomotyw.

– Nie wywiniesz się, synku – powiedział i podniósł ręce. Szpikulce na kastetach zalśniły w słabym świetle. – Wygląda na to, że jednak zaoszczędzę pół korony.

ROZDZIAŁ 6



Sherlock poczuł, jak gaśnie w nim cała nadzieja. Tyle się natrudził, tak długo uciekał, kalecząc się o szorstkie cegły, i nie udało mu się umknąć. Był zbyt zmęczony, żeby cokolwiek zrobić. Nie miał już sił.

– Jak pan mnie znalazł? – wyrzeził.

– No przecież nie przecisnąłbym się przez te dziury, prawda? – odparł tamten. – Ale wiem, że większość z nich wychodzi na skład trumien, więc wszedłem tam z zewnątrz i czekałem. Już miałem zrezygnować, kiedy usłyszałem, jak leziesz. – Urwał. – Nadal chcę, żebyś mi powiedział, dlaczego mnie śledziłeś – rzekł ponuro. – A potem zginiesz.

Spomiędzy lokomotywy i tendra wysunęła się płynnie jakaś potężna postać i stanęła za brodaczem z kastetami. Na głowie miała kapelusz.

Sherlock rozpoznał Amyusa Crowe'a w chwili, kiedy ten lewym ramieniem objął szyję zbira, a prawą ręką chwycił go za nadgarstek. Chłopiec zobaczył, jak materiał na rękawie Crowe'a napiął się, kiedy mężczyzna wyteżył mięśnie.

Brodaczowi oczy wyszły na wierzch. Podniósł ręce, żeby złapać Crowe'a za ramię, ale choć ciągnął z całych sił, nie dał rady go od siebie oderwać. Sherlock, zbyt zmęczony, by się dziwić, patrzył, jak twarz oprycha robi się fioletowa. Crowe zaciskał ramię tak mocno, że tamten tracił oddech.

Brodacz kopnął rozpaczliwie w tył prawą nogą w ciężkim bucie, ale Crowe stanął tak, że mężczyzna nie mógł go dosięgnąć. Potem przestał szarpać za ramię i zamiast tego wyrzucił ręce za siebie, chcąc trafić go kolcami kastetów, lecz Crowe tylko uchylił głowę i wzmocnił uścisk.

– Rozczarowałeś mnie, pozwalając, by ten człowiek spostrzegł, że go śledzisz – powiedział łagodnie, patrząc na Sherlocka ponad ramieniem zbira.

Sherlock przeczesał włosy usmolonymi palcami.

– Przepraszam – odrzekł. – Myślałem, że byłem wystarczająco ostrożny.

– Zapamiętaj – powiedział przyjaźnie Crowe. – Myśliwy może stać się zwierzyną. To jest różnica między zwierzętami a ludźmi: króliki nie zaczynają nagle ścigać lisów, ale ludzie mogą zamienić się rolami. Trzeba być czujnym. Jeśli twoja zwierzyna uchodzi w jakieś oddalone miejsce, być może cię zauważyła i chce, żebyś został sam.

– Czy pan nigdy nie przestaje uczyć? – zapytał znużony Sherlock, przypomniawszy sobie lekcję na środku jeziora, kiedy łowili ryby.

– Życie to nieustanna lekcja i jeśli tylko jesteśmy dość uważni, by to dostrzec, możemy wiele z niej wynieść. – Crowe zerknął w bok, na coraz bardziej przekrwioną twarz brodacza i jego wytrzeszczone oczy. – A teraz – rzekł do niego swobodnym tonem – porozmawiajmy chwilę. Dlaczego grozisz mojemu przyjacielowi i protégé? To nie było zbyt uprzejme, mój drogi.

– Śledził mnie – wyrzęził zbir.

Crowe spojrział na Sherlocka, zdziwiony.

– Zakładam, że miałeś powód – ocenił. – A nie tylko ćwiczyłeś umiejętności tropicielskie, chociaż z pewnością przydałby ci się trening.

– Znalazłem drukarza, który wykonał wizytówkę – odparł Sherlock. – Powiedział mi, że ten człowiek czekał na zewnątrz na tego, kto ją zamówił. Oddalili się razem.

– Tak właśnie sądziłem. – Zwrócił się znów do brodacza: – A to prowadzi do pytania: dlaczego? Dlaczego zapłaciłeś biednemu, choremu człowiekowi, żeby kazał sobie wydrukować jedną wizytówkę, i dlaczego posłałeś go, żeby odwiedził pana Mycrofta Holmesa w jego klubie?

Mężczyzna szarpnął się w uścisku Crowe'a.

– Udusisz mnie! – zaprotestował.

– Słuszna uwaga. W istocie cię uduszę.

– Złamiesz mi kark!

– Na razie nie. Jeśli zwiększę nacisk o kilka uncji, twój kark trzaśnie jak spróchniała gałązka, ale jeszcze nie teraz. Najpierw się udusisz.

– Zabijesz mnie!

– Tak – potwierdził Crowe. – Pewnie tak. Więc mów szybko.

– Zapłacili mi!

– To jasne. Nie sądziłem, że zrobiłeś to tylko z miłości dla królowej i kraju. Pytanie tylko: kto ci zapłacił?

– Nie wiem, jak się nazywają! – Mężczyzna uderzył w zaciśnięte sztywno lewe ramię Crowe’a. – Proszę! Daj mi odetchnąć!

Crowe minimalnie rozluźnił uchwyt, a brodacz z dygotem nabrał powietrza. Włosy przylepiły mu się do twarzy, która zrobiła się nieco mniej buraczkowa.

– Podeszli do mnie w Shaftesbury któregoś wieczoru – wykrztusił. – Wszyscy wiedzą, że załatwiam różne rzeczy. Mogę kogoś z kimś umówić, załatwić ludzi do robótki. Kazali mi znaleźć człowieka, co szykuje się na spotkanie ze Stwórcą i potrzebuje pieniędzy dla rodziny. Miałem go przekonać, żeby zrobił jedną rzecz w zamian za zapewnienie jego krewnym spokojnej przyszłości.

– A ty znalazłeś kogoś takiego?

– Mam takich na pęczki, po pensie za tuzin! Suchoty, pijaństwo, wrzody... W Londynie można wykitować na wiele sposobów.

– A jakie to ostatnie zadanie miał wypełnić?

Mężczyzna milczał.

Crowe wzmocnił uścisk.

– Jeszcze odrobinę – mruknął – a ostatnie, co usłyszysz, to będzie trzask twego karku. Dusilem już pumy i aligatory, a swego czasu nawet byka. Ty nie jesteś szczególnym wyzwaniem, wierz mi.

– Miał pójść do klubu w Whitehall – rzekł pośpiesznie brodacz – i spotkać się z kimś na osobności. Znaczący w cztery oczy. Z człowiekiem o nazwisku Mycroft Holmes. Miał posłużyć się wizytówką, którą wydrukowaliśmy. Tylko jedną. Później prysnąć temu gościowi czymś w twarz, takimi perfumami. Mówili, że będzie wyglądał, jakby zasnął. Na końcu musiał włożyć mu w rękę prawdziwy nóż, a sam przebić się innym, zrobionym z lodu. Jak w jakimś teatryku.

– Skąd wzięły się te noże?

– Powiedzieli mi, że kiedy już będziemy koło klubu, podbiegnie do nas chłopiec i da nam walizkę z nożami. Musieliśmy tak to zrobić, bo inaczej nóż z lodu by się rozpuścił, nawet mimo tego, że był w wyscielanej walizce.

Crowe uśmiechnął się.

– Nie wydawało ci się to trochę dziwne?

– Robiłem już dziwniejsze rzeczy – przyznał brodacz – i dobrze mi za nie płacili.

– A ten, kto cię wynajął? Wiesz, jak się nazywa? Możesz go opisać?

– Czy ja mówiłem, że to był facet?

Crowe uniósł brwi w zdumieniu.

– W istocie. Mój błąd. Zatem wynajęła cię kobieta?

Brodacz skinął głową na tyle, na ile był w stanie z ramieniem Crowe'a oplecionym wokół szyi.

– Tak, kobieta.

– Jak wyglądała?

– Młoda. Szczupła. Dobrze ubrana.

Crowe prychnął.

– Twarz, człowieku. Opisz mi jej twarz.

– Nie widziałem jej. Miała na głowie wielki kapelusz z woalką.

– A kolor włosów?

– Nie widziałem, były schowane pod kapeluszem.

– Ale szedłeś za nią? Po tym jak cię wynajęła?

Sherlock zobaczył, że w oczach mężczyzny zabłysło zdumienie.

– Skąd wiesz? – syknął.

– Znam ja was, gagatki. Kobieta z plikiem gotówki! Oczywiście, że za nią poszedłeś. Chciałeś się dowiedzieć, gdzie mieszka, żeby później się do niej włamać i ukraść resztę pieniędzy, które zapewne trzyma w domu. Ludzie tacy jak ty zawsze wietrzą okazję. Więc dokąd poszła?

Mężczyzna wzruszył ramionami, lekko unosząc łokcie Crowe'a.

– Nie poszła do domu. Poszła do muzeum w Bow, które nazywa się Muzeum Passmore'a Edwardsa. Kiedyś to był pałac. Czekałem kilka godzin, ale nie wyszła. Nie wiem, czy tam mieszka, czy jest stamtąd inne wyjście, ale więcej jej nie zobaczyłem.

– To wszystko? Masz nam coś jeszcze do powiedzenia?

– Nie, nie! Przysięgam!

Crowe gwałtownie puścił mężczyznę, który upadł na kolana, krztusząc się i łapiąc za gardło.

– Chyba wydobyłem z niego wszystko, co się dało – powiedział do Sherlocka. – Jeśli masz ochotę, udajmy się do jakiejś kawiarni i napijmy się czegoś. – Obrzucił krytycznym spojrzeniem zabłocone spodnie i buty chłopca oraz jego ubrudzoną ceglanym pyłem marynarkę. – Albo lepiej najpierw kupmy ci jakieś ubranie. W tym stanie nie robisz najlepszego wrażenia.

Zanim Sherlock zdążył odpowiedzieć, brodacze gwałtownie poderwał się z ziemi i zamachnął ręką, mierzając kastetem w twarz Amyusa Crowe'a. Warczał, twarz ściągnęła mu się w grymasie furii.

– Chciałeś mnie udusić? – wrzasnął.

Crowe uchylił się przed szpikulcami, które śmignęły o cal od jego oczu. Potem zrobił krok naprzód, skrzył ciało w lewo i kopnął prawą nogą, trafiając butem w kolano tamtego. Sherlock usłyszał, jak coś trzasnęło. Brodacz z krzykiem zwałił się na ziemię.

– Chodźmy – rzekł Crowe i kiwnął na Sherlocka. – Czuję, że gdzieś czekają na mnie kawa i ciastko z kremem. Muszę je znaleźć.

Poprowadził Sherlocka do wyjścia ze stacji. Brodacz, skulony na ziemi, ścisnął strzaskane kolano.

– Czy nie powinniśmy zawiadomić policji? – zapytał Sherlock. – Nie powinni go aresztować?

Crowe chrząknął.

– Przyznaję, jeśli to ci poprawi humor, że pewnie moglibyśmy to zrobić, ale nie mamy żadnych dowodów, a jedynym trwałym uszkodzeniem jest to, którego on doznał z mojej ręki. Każdy szanujący się policjant pewnie aresztowałby mnie zamiast niego. Ewentualnie zatrzymałby nas obu, a później dochodził, co się naprawdę stało.

– Ale gdzie tu sprawiedliwość! – głośno zaprotestował Sherlock.

– Może jej tu nie ma, ale tak działa wymiar sprawiedliwości. Jeśli nie rozumiesz różnicy między jednym a drugim, powinienes jak najszybciej to nadrobić.

Crowe powiódł ich z powrotem uliczkami, zaułkami i tunelami w okolicach dworca Waterloo.

– Jak pan mnie znalazł? – zapytał Sherlock.

– Odpowiedź jest prosta: szedłem za tobą.

– Ale przecież ja pana nie widziałem – zdziwił się Sherlock.

– Tak to zwykle jest, kiedy kogoś śledzę. W przeciwieństwie do ciebie umiem schować się w cieniu albo w tłumie, albo za rogiem.

– Dlaczego pan za mną szedł?

– Kiedy już sprawdziłem adres na wizytówce, który, nawiasem mówiąc, był fałszywy, pomyślałem, że cię dogonię. Wstępowałem do drukarzy w odwrotnej kolejności niż ty; zacząłem od ostatniego. Widziałem, jak wychodzisz od drugiego, do którego wszedłem, dla ciebie to był trzeci. Próbowałem cię dogonić, ale szedłeś bardzo szybko. A potem zatrzymałeś się i obserwowałeś gospodę. Domyślałem się, że wpadłeś na jakiś trop, ale wciąż nie chcąc, żeby ktoś zwrócił na nas uwagę, przysiadłem w jakiejś bramie, aby zobaczyć, co się będzie działo. Po jakimś czasie ruszyłeś za tym

brodaczem, więc poszedłem za wami. Widziałem, jak przyparł cię do muru w tunelu, ale uciekłeś, zanim zdążyłem interweniować. Przez następną godzinę krążyłem na zewnątrz, próbując ustalić, w którym miejscu możesz wyjść na powierzchnię.

– Och – powiedział udobruchany Sherlock – to ma sens.

Byli przed wejściem na dworzec. Crowe spostrzegł niewielki zakład krawiecki, a kawałek dalej warsztat szewski. W ciągu dziesięciu minut kupili Sherlockowi nowe spodnie, nową marynarkę i koszulę oraz buty. Crowe zapłacił bez słowa. Sherlock uznał, że później rozliczy się z Mycroftem – pod warunkiem że jego brat wyjdzie na wolność.

Następnie Crowe zaprowadził Sherlocka do pobliskiej herbaciarni należącej do firmy Aerated Bread Company. Usiedli przy stoliku pod oknem. Sherlock czuł się dziwnie oderwany od rzeczywistości. Przed niecałą godziną walczył o życie w ciemnych tunelach, a teraz siedział w słońcu i czekał, aż podadzą mu ciastko. Życie czasem bywa dziwne. Właściwie bardzo często jest dziwne, uznał po chwili.

– I co dalej? – zapytał, kiedy kelner przyniósł im to, co zamówili.

– Zbierzmy wszystko, czego dowiedzieliśmy się dotychczas. – Crowe ukroił kawałek biszkopta. – Między zleceniodawcą a ludźmi, którzy wypełniają jego rozkazy, są co najmniej dwa ogniwa pośrednie.

Sherlock zmarszczył brwi.

– Co pan ma na myśli?

– Chodzi mi o to, że człowiek, który zginął w klubie Diogenes, nigdy nie poznał kobiety w woalce. Ona wynajęła brodacza, a on mężczyznę, który był gotów się zabić, żeby zapewnić utrzymanie swojej rodzinie.

– Tę kobietę także mógł ktoś wynająć. Wtedy istniałoby jeszcze jedno ogniwo.

– To możliwe. – Crowe zastanowił się. – Ktokolwiek za tym stoi, jest bardzo ostrożny. Stara się, żeby nie było łatwo do niego trafić. Wiemy tak dużo tylko dzięki dwóm zbiegom okoliczności. Po pierwsze twój drukarz rozpoznał brodacza, a po drugie brodacz był na tyle chciwy i zepsuty, że poszedł za swoją mocodawczynią do muzeum, o którym wspomniał. Nigdy nie można lekceważyć przypadku.

– Ale po co to wszystko? – dociekał Sherlock. – Co oni właściwie próbują osiągnąć?

Crowe głośno odłożył widelczyk.

– Wydaje się, że przede wszystkim chcą skompromitować twojego brata albo w jakiś sposób wykluczyć go z gry. Ale jaka jest tego przyczyna? Nie jestem pewien. Trzeba nam więcej informacji.

Sherlock westchnął. Wydawało mu się, że jest głodny po tym całym bieganiu, ale wcale nie miał ochoty na ciastka.

– Co możemy zrobić? – zapytał.

– Moim zdaniem – rzekł Crowe – mamy trzy możliwości. Pierwsza jest taka, żeby powiedzieć policji wszystko, co wiemy, wrócić do Farnham i mieć nadzieję, że prawnik klubu Diogenes zdoła wydobyć Mycrofta z więzienia oraz przywrócić mu dobre imię.

– A jakie są szanse powodzenia?

– Marne. Policja nie będzie skłonna przeprowadzać śledztwa w sprawie, w której ma wyraźne dowody przeciwko komuś, kto przebywa już w areszcie. Nawet przy wyjątkowo dobrej woli w naszą wersję wydarzeń dość trudno uwierzyć. A narzędzie zbrodni się rozpuściło.

– Ale mamy przecież fiolkę z laudanum!

Crowe nie wydawał się przekonany.

– Tak jak powiedział twój brat, laudanum można używać jako lekarstwa. I co z tego, że pokażemy fiolkę policji. Mogliśmy ją przecież kupić w aptecze za rogiem.

– A druga możliwość?

– Zostajemy w Londynie i przedstawiamy sprawę przełożonym twojego brata w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, żeby zaczęli działać i pomogli Mycroftowi.

Sherlock się skrzywił.

– To chyba nie może się udać.

– W istocie. Całkiem prawdopodobne, że Ministerstwo Spraw Zagranicznych zostawi Mycrofta na pastwę losu. Ostatnie, czego by sobie życzyli, to kłopoty i rozgłos.

– W takim razie pozostaje nam trzecia możliwość – stwierdził Sherlock.

Crowe uśmiechnął się.

– Przecież jeszcze nie wiesz, co to takiego.

– Domyślam się.

Sherlock spojrzał w zwodniczo dobrotliwe oczy Crowe'a.

– Sami zbierzemy dość dowodów, by oczyścić Mycrofta z zarzutów. Pójdziemy do tego muzeum na Bow Street i spróbujemy znaleźć kobietę w woalce.

Crowe skinął głową.

– Z grubsza. I szczerze mówiąc, nie mam wielkich nadziei, że nam się uda. Ryzyko porażki jest bardzo duże.

– Dlaczego nie ma kogoś, do kogo moglibyśmy się zwrócić? – wybuchnął Sherlock. – Kogoś, kto badałby sprawy, którymi policja nie chce albo nie może się zająć? Jakichś niezależnych detektywów doradców, którzy rozwiązaliby nasz problem, czegoś takiego jak Agencja Pinkertona w Ameryce, o której mi pan opowiadał?

– Taki ktoś musiałby mieć cały zestaw interesujących cech, to na pewno – rzekł Crowe z dziwnym wyrazem twarzy. – Ale tu w Anglii jest to nisza, której dotychczas nikt jeszcze nie wypełnił. – Sprawiał wrażenie, jakby z trudem odrywał się od jakichś myśli, które nagle go pochłonęły. – Dobrze, na razie może weźmy dorożkę, żeby zawiozła nas do muzeum w Bow.

Dość szybko znaleźli kabriolet, choć Sherlock zauważył, że Crowe celowo przepuścił dwa puste powozy, a trzeci wybrał w ostatnim momencie, gdy już miał ich minąć.

– Dlaczego nie pojechaliliśmy tym pierwszym? – zapytał Sherlock, gdy wsiedli.

– Stąpamy po obrzeżach utkanej przez kogoś sieci – odpowiedział Crowe – i chciałem się upewnić, że powóz wybierzemy my sami, a nie ktoś inny.

– A co było nie tak z drugim?

Crowe uśmiechnął się.

– Koń kulał. Wątpię, czy dowiózłby nas do Bow. I nie podobały mi się wąsy woźnicy.

Usiedli, a w okienku nad nimi pojawiła się twarz fiakra.

– Dokąd panów zawieźć?

– Wiesz, gdzie jest Muzeum Passmore'a Edwardsa? – zapytał Crowe.

Jechali mniej więcej pół godziny. Sherlock przez ten czas obserwował życie codzienne Londynu: rozwieszane nad ulicą sznury z suszącym się praniem; ulicznych sprzedawców z tacami słodczy, owoców i kwiatów; ostrzycieli noży, którzy chodzili z wózkami z umieszczonymi na nich obrotowymi ośłkami na pedał, głośno zachwalając swoje usługi.

Muzeum mieściło się w budynku z rdzawobrazowego kamienia z wystającymi narożnikami i ozdobnym gankiem z kolumnami. Od ulicy było oddzielone wąskim trawnikiem oraz niewysokim metalowym parkanem. Na kamiennej płycie wmurowanej w ścianę obok wejścia

wyryto nazwę „Muzeum Osobliwości Przyrodniczych Passmore’a Edwardsa”.

– Przejdź dalej! – zawołał Crowe do woźnicy. – Wsiądziemy za rogiem.

Woźnica zatrzymał konia w miejscu, które wskazał Crowe. Guwerner zapłacił i wraz z Sherlockiem wysiedli z powozu.

– Nie patrz wprost na budynek – polecił Crowe. – Stańmy tutaj i pogawędźmy przez chwilę, zbierając wszelkie spostrzeżenia.

– Może pan uznać mnie za głupca – powiedział cicho Sherlock – ale moja pierwsza obserwacja jest taka, że to naprawdę jest muzeum. Nie wygląda na to, żeby było przykrywką dla czegoś innego.

– Być może to po prostu wygodne miejsce spotkań wybrane przypadkowo – zastanawiał się Crowe – a nie główna kwatera spiskowców. Jeżeli tak, to niczego się tu nie dowiemy i nie znajdziemy nowych tropów, za którymi moglibyśmy podążać.

– Możemy się przynajmniej rozejrzeć – stwierdził Sherlock. – Może coś zobaczymy albo usłyszymy, może ktoś zapamiętał tę kobietę w woalce.

– Słuszna uwaga – uznał Crowe.

Ruszyli w kierunku drzwi frontowych. Postronny obserwator mógłby pomyśleć, że to ojciec z synem, którzy postanowili wybrać się na wycieczkę do muzeum.

Weszli do pustego hallu, gdzie zaczynały się schody na piętro, prowadzące powyżej na prawo i na lewo. Pomieszczenie wyglądałoby zupełnie jak wnętrze każdej innej dużej kamienicy, gdyby nie wielka szklana gablota stojąca pośrodku na wykafelkowanej podłodze. Wewnątrz znajdował się dość wiernie odtworzony fragment lasu zamieszkanego przez rozmaite wypchane zwierzęta. Były tam liczne myszy, szczury oraz nornice, kilka gronostajów, jeden lis, a także dość sfatygowana wydra, która zupełnie tam nie pasowała. Zwierzęta ustawiono w czujnych, pełnych napięcia pozach, tak jakby właśnie usłyszały jakiś hałas. Ich szkliste, czarne oczy wydawały się spoglądać we wszystkich kierunkach jednocześnie.

Podszedł do nich mężczyzna w niebieskim uniformie i czapce z daszkiem.

– Dwa bilety, sir? – zapytał. – Jedynie dwa pensy za bilet, a może pan zostać tak długo, jak tylko pan chce. Akurat jest zupełnie pusto.

– Dziękuję – odrzekł Crowe, wręczając strażnikowi kilka monet. – Które eksponaty szczególnie pan poleca?

Mężczyzna zastanowił się przez chwilę.

– Zwiedzający często chwalą galerię małych ssaków, na górę i w prawo, mówią, że zwierzęta są jak żywe. Z kolei na wystawie płazów i gadów, na górę i w lewo, jest dużo niezwykłych okazów, które uwielbiają dzieci.

– Rozdzielimy się – powiedział Crowe, gdy strażnik się oddalił. – Ja pójdę do płazów i gadów, ty do ssaków. Spotkajmy się tu za pół godziny. Jeśli okaże się, że nie znaleźliśmy niczego interesującego, pójdziemy do kolejnej galerii.

– A co to znaczy coś interesującego?

– Tak samo jak w klubie Diogenes: cokolwiek, co nie pasuje. Co odstaje od reszty.

– W muzeum wypchanych zwierząt?

Crowe zdobył się na uśmiech.

– Chodzi o okoliczności. Kiedy na ulicy przechodzi obok ciebie pies, nie ma w tym nic dziwnego. Ale w muzeum pełnym wypchanych zwierzątków owszem.

– No dobrze – powiedział z powątpiewaniem Sherlock.

Weszli razem na podest, po czym rozdzielili się tam, gdzie schody się rozchodziły. Sherlock udał się w prawo, Crowe w lewo.

Schody prowadziły na galerijkę, która biegła wokół hallu i była otoczona sięgającą człowiekowi do pasa kamienną balustradą. Znajdowały się tam drzwi do kolejnych sal wystawowych. Pośrodku sufitu wisiał żyrandol z paciorkami z rżniętego szkła i ze świecami.

Sherlock otworzył pierwsze drzwi i wkroczył do długiej sali, w której stał szereg szklanych gablot, tak że nie widział jej końca. Przez świetlik w dachu wpadało jasne światło. Słyszał w pomieszczeniu jakieś głosy, ale nie mógł nikogo dostrzec.

Ruszył przed siebie, przyglądając się pobieżnie gablotom. Tak jak powiedział strażnik, była to galeria małych ssaków. Wśród suchych traw buszowała dziarska fretka, nieco dalej duży brązowy kot o kosmatych uszach siedział na piasku. Borsuk w czarno-białe pasy ostrożnie wychylał się z nory tuż obok lisa o absurdalnie wielkich uszach, który już na wieczność truchtał przez sztuczny zimowy krajobraz. Może dla kogoś to wszystko miało sens.

Zatrzymał się na chwilę przed borsukiem. Przypomniał sobie, jak niegdyś w Farnham użył martwego zwierzaka, by odciągnąć uwagę psa

barona Maupertuisa. Wydawało mu się wtedy, że w gorszym położeniu już nie może się znaleźć. Gdyby tylko wiedział...

Mijał gablotki z różnymi myszami, kotami i miniaturowymi psami, aż dotarł do końca. Wydawało mu się, że wypchane zwierzęta odprowadzają go beznamietnym, szklanym spojrzeniem. Po wyjściu z sali znalazł się w małym hallu, gdzie było dwoje następnych drzwi. Wybrał jedno na chybił trafił i wszedł do kolejnego pomieszczenia.

Nagle wychylna przed nim jakaś postać z uniesionymi ramionami i złowrogimi kolcami sterczącymi z dłoni. Odskoczył w tył, tak że prawie się przewrócił, po czym zdał sobie sprawę, że to tylko eksponat, a kolce na dłoniach są w istocie pazurami. To nie był brodac z dworca Waterloo. Sherlock wyprostował się i otrzepał marynarkę. Przed nim w gablocie stał niedźwiedź ze splątaną brązową sierścią. Jego pysk czymś posmarowano, tak żeby wydawał się mokry. Niedźwiedź przewyższał wzrostem Amyusa Crowe'a, a to już było nie byle co.

W sali, której strzegł niedźwiedź, ustawiono kilka większych gablot. Był tu łoś o rozłożystym, podobnym do konarów porożu, cała rodzina dzików o ostrej szczecinie i wystających kłach oraz coś jakby krowa, ale o tak gęstej i długiej brązowej sierści, że nie było jej widać oczu.

Na końcu Sherlock zobaczył kolejne drzwi. Zaczynał się czuć trochę jak w labiryncie. Gabloty stały tutaj nie tylko pod ścianami, ale i pośrodku. We wszystkich znajdowały się ptaki i wyglądało na to, że każdy z nich był drapieżny.

Najbliższym eksponatem był siedzący w pełnej godności pozie samotny orzeł na tle namalowanego błękitnego nieba z zarysem gór w oddali.

Sherlock zapuścił się głębiej. Usłyszał jakiś ruch, jakby szuranie buta po podłodze. Najwyraźniej był tu ktoś oprócz niego, chociaż nie słyszał żadnych rozmów. Może to jakiś samotny zwiedzający.

Minął kilka gablot z sowami różnych gatunków. Przysiadły na gałęziach – może prawdziwych, a może z gipsu; trudno było ocenić. Mocnymi łapami obejmowały gałęzie, Sherlock widział ostre, zabójcze szpony obleczone łuskowatą skórą, którymi za życia przebijały ciało ofiary, by zanieść ją do swego gniazda i tam ucztować.

Idąc, kątem oka zauważył jakiś ruch. Odwrócił się szybko. Wszystkie ptaki patrzyły na niego. Przecież kiedy wchodził, głowy miały obrócone w stronę drzwi. Teraz spoglądały na środek sali. A może po prostu z sowami jest tak, że trudno powiedzieć, w którą stronę patrzą?

Coś zatrzepotało po drugiej stronie sali. Czy wpadł tu jakiś żywy ptak i teraz nie może się wydostać? Wróbel, gołąb albo coś podobnego?

W kilku następnych gablotach były kolejne drapieżniki. Sherlock zauważył jastrzębie, sokoły, rybołowy i wiele innych gatunków, których nie potrafił nawet nazwać.

Choć ptaki były martwe, czuł się przy nich dziwnie, dziwniej niż przy małych ssakach czy większych zwierzętach. Może pióra wydawały się bardziej realistyczne niż sierść. A może kształt czaszek i brak tkanki tłuszczowej sprawiały, że nawet po wypchaniu wyglądały, jakby mogły w każdej chwili obrócić głowę i zacząć czyścić sobie pióra albo rozpostrzeć skrzydła, żeby przeciągnąć mięśnie. Choć ich oczy były ze szkła, Sherlockowi wydawało się, że spoglądają zimno i złowrogo. Myszy i nornice patrzyły na zwiedzających jak na drapieżniki, ptaki w tej sali spoglądały na ludzi raczej jak na swoje ofiary.

Znów sobie coś wyobraża. To mu na pewno w niczym nie pomoże. To tylko wypchane zwierzęta! – przekonywał sam siebie. Nie są prawdziwe. Nie mogą się ruszać.

Ponownie usłyszał jakiś ruch w odległym kącie sali. Być może czyjeś kroki. Materiał ocierający się o drewnianą krawędź gabloty. To nieważne, pewnie prędzej czy później natknie się na innych zwiedzających.

Podskoczył, gdy dobiegło go głośne: łup! Przeraził się, po czym zdał sobie sprawę, że to zatrzasnęły się drzwi na drugim końcu sali. Może zrobił się przeciąg.

W kolejnej gablocie siedział sęp – łysa głowa, okrutny zagięty dziób, rozpostarte skrzydła. Wyglądał, jakby chciał zagrozić chłopcu drogę.

Sherlock spojrzał w górę i zobaczył następnego ptaka, to był chyba sokół. Ale ten nie był za szkłem. Siedział na szczycie gabloty, jakby właśnie na niej wylądował.

W powietrzu rozległ się żałosny gwizd, melodyjka złożona z trzech smutnych dźwięków.

Sherlock patrzył wciąż na sokoła, który odwrócił głowę, żeby go lepiej widzieć, po czym nachylił się, jakby miał zamiar sfrunąć z wysoka prosto ku jego twarzy.

ROZDZIAŁ 7



Uwagę Sherlocka przykuł jakiś błysk. Do łap sokoła coś przyczepiono: metalowe ostrza, które sterczały niczym dodatkowe szpony. Kiedy ptak przesuwiał się po krawędzi gabloty, zdierał nimi drobne drzazgi z lakierowanego drewna.

Nagle rozpostarł skrzydła i jednym machnięciem zanurkował ku Sherlockowi. Pazury wyciągał sztywno przed siebie, rozkładając szeroko srebrne ostrza. Sherlock odskoczył, ale zaplątały mu się nogi i stracił równowagę. Miał wrażenie, że wszystko dzieje się w zwolnionym tempie. Zobaczył, jak sokół zbliża się do niego, wyciągając szpony do jego oczu. Ptak był tak blisko, że chłopiec widział najdrobniejsze piórka na jego piersi. Poczul na twarzy podmuch, gdy sokół znów machnął skrzydłami i wzbił się w górę. Czas jakby się rozciągnął, tak że Sherlock miał wrażenie, że zatrzymał się w powietrzu w połowie upadku, ale nagle uderzenie, gdy padł plecami na podłogę, z głośnym świstem wypchnęło mu oddech z płuc i sprawiło, że zobaczył wszystkie gwiazdy.

Przeturlał się i wcisnął w kąt, tam gdzie drewniana podstawa gabloty stykała się z podłogą, po czym poczołgał naprzód, spodziewając się w każdej chwili ptasich szponów na swoim karku. Poczul bolesny skurcz mięśni na plecach. Kątem oka dostrzegł rozmazaną masę brązowych piór i rzucił się w bok, ale ponieważ nic się nie ruszało, przyjrzał się bliżej i zobaczył, że to tylko wypchana pustułka za szkłem. Był tak blisko, że widział szwy na jej szyi i kurz na szklanych, czarnych oczach.

Ostrożnie podniósł głowę.

Ani śladu sokoła.

Wstał i rozejrzał się, starając się sprawdzić wszystkie ciemne kąty i zakamarki. Nic. Sokół zniknął.

Gdzieś w oddali usłyszał łopot skrzydeł, ale dźwięk odbijał się echem od gołych ścian, tak że nie mógł się zorientować, skąd dochodzi.

Przycisnął się plecami do jednej z gablot. Czuł chłód szyby przez koszulę i marynarkę.

Co ma teraz zrobić? Mógł iść dalej, ale wtedy znalazłby się na nieznanym terytorium. Może więc powinien się wycofać z powrotem do głównego wejścia i poczekać tam na Amyusa Crowe'a albo pójść go poszukać w dziale płazów i gadów.

Gdy Sherlock o tym pomyślał, przyszło mu do głowy, że tak samo jak on walczył z sokołem w sali z ptakami, Amyus Crowe być może walczy teraz o życie z krokodylem albo innym wielkim jaszczurem, podobnym do tych, z którymi on, Matty i Virginia zetknęli się w Ameryce. Była to oczywiście idiotyczna myśl – wypchane zwierzęta nie mogą przecież nagle ożyć i wyjść ze swoich gablot – ale uruchomiła lawinę gorączkowych pytań. Co żywy sokół robi w muzeum? I w ogóle w Londynie? I dlaczego jego pazury pokrywają ostre jak brzytwa stalowe ostrza?

Na wszystkie te pytania była ta sama odpowiedź: ptak najwyraźniej należał do kogoś; kogoś, kto miał gwizdek i chciał, by sokół zranił lub zabił Sherlocka. Może jakiś człowiek szedł za nim i Amyusem Crowe'em do muzeum albo – co bardziej prawdopodobne – ma tu swoją kwaterę i zauważył ich, gdy wchodzili.

Jakby na potwierdzenie jego domysłów głuchą ciszę znów przerwał krótki gwizd – trzy dźwięki, sygnał dla sokoła. Sherlock natychmiast usłyszał łopot skrzydeł. Pod sufitem, w świetle wpadającym przez świetlik i odbijającym się od szklanych gablot, przemknęła ciemna sylwetka ptaka.

I ponownie zapadła cisza.

Sherlock na paluszkach podszedł do drzwi, którymi wkroczył do sali. Ukradkiem rozejrzał się na wszystkie strony, starając się przewidzieć, skąd tym razem nastąpi atak.

Od kurzu zakręciło go w nosie. Czuł, że zaraz kichnie. Ścisnął mocno czubek nosa, dopóki łaskotanie nie przeszło. Za żadne skarby nie chciałby teraz zwrócić na siebie uwagi sokoła.

Rozglądając się, zdał sobie sprawę, że nie wie, gdzie jest. Nie poznawał ptaków w gablotach. To chyba były orły, ale pióra miały głównie białe, a wokół szyj kryzy.

Nie przechodził tędy wcześniej. Musiał niechcący ominąć jakąś alejkę.

Iść dalej czy się cofnąć?

Postanowił iść dalej. Przy odrobinie szczęścia znajdzie inne wyjście.

Ale jeśli będzie miał pecha, to sokół znajdzie jego. Albo jego właściciel.

Przyglądał się mijanym gablotom. W pierwszej zaraz po lewej siedział brązowy ptak drapieżny z ostrym dziobem. Sherlock minął go, lecz coś w jego umyśle próbowało podnieść alarm. Myślał, że to tylko podobieństwo ptaka w gablocie do sokoła, który niemal wydrapał mu oczy, ale potem drapieżnik obrócił głowę, żeby na niego spojrzeć, a on zdał sobie sprawę, że gablota jest pusta, a to, co widzi, znajduje się za nią. Na gzymsie z tyłu siedział sokół.

Ptak wzbił się w powietrze potężnymi uderzeniami skrzydeł. Na chwilę zawisł nieruchomo w górze, po czym runął ku Sherlockowi.

Chłopiec odruchowo uniósł ręce, krzyżując ramiona nad twarzą. Ptak uderzył w niego niczym kłęb piór i pazurów. Ubrojonymi w ostrza szponami próbował wczepić się w jego ramiona, ale udało mu się tylko rozciąć rękawy marynarki. Mocnymi skrzydłami młócił Sherlocka po głowie niemal jak bokser, a jednym ze szponów przeciął jego marynarkę i koszulę. Sherlock poczuł, jak kreśli mu na lewym ramieniu bolesną szramę i jak zaraz wypływa z niej strumień krwi, mocząc tkaninę. Kiedy ptak zaatakował, Sherlock odruchowo zamknął oczy, ale teraz, kiedy je otworzył, zobaczył, że głowa drapieżnika jest tuż przy jego twarzy. Sokół cofnął się, balansując łapami, i gotował się, by uderzyć ostrym dziobem prosto w prawe oko swojej ofiary. Wściekły i przerażony jednocześnie, Sherlock machnął gwałtownie prawą ręką. Trafił knykciami w pierś ptaka i odrzucił go od siebie. Sokół zatrzepotał skrzydłami, ale zamiast się wycofać, znów ruszył do ataku.

Sherlock osłonił twarz jedną ręką, a drugą uderzył. Gdyby trafił, pewnie złamałby ptakowi skrzydło, ale sokół był zbyt szybki. Zrobił zwrot w powietrzu i uniknął zaciśniętej pięści. Odleciał, szybując przejściem między gablotami na rozpostartych skrzydłach, po czym szybko wzniósł się łukiem, żeby ominąć gablotę, która znalazła się na jego drodze.

Sherlock pochylił się na kilka sekund, opierając ręce na kolanach i oddychając chrapliwie. Krew pulsowała mu w żyłach i tętno łomotało w skroniach.

Wciąż stojąc pochylony, poczuł, jak jeżą mu się włoski na karku. Wyprostował się gwałtownie i rozejrzał dookoła. Patrzyło na niego wiele oczu, ale wszystkie były szklane. Spojrzał w ciemne kąty pod sufitem, lecz ptaka nigdzie nie było. Jednak sokół go widział. Czuł to.

Właściciel drapieżnika spodziewa się pewnie, że znów wycofa się ku drzwiom, tak samo jak wcześniej. Poszedł więc naprzód, w tym samym kierunku, w którym poleciał sokół. W ten sposób może przynajmniej zaskoczy przeciwnika.

Dotarł do wielkiej gabloty, za którą zniknął ptak. Umieszczono w niej stadko małych ptaszków. Były zawieszane na drucikach i miały rozpostarte skrzydła, tak jakby latały. Dalej przejście rozwidłało się na dwie alejki, wiodące w prawo albo w lewo. Na chybił trafił wybrał tę w prawo i przeszedł obok mew. Na końcu alejka skręcała w prawo. Zatrzymał się i wyjrzał za róg.

Przed nim była otwarta przestrzeń kończąca się wielkimi, drewnianymi drzwiami prowadzącymi być może do następnej sali. Przez wysokie okna po obu stronach wpadało jasne światło. Na tle jednego z nich rysowała się ciemna sylwetka jakiegoś człowieka, stojącego pośrodku pomieszczenia tyłem do drzwi. Sherlock nie mógł dostrzec jego twarzy, widział tylko potężną postać o szerokich ramionach. Mężczyzna opierał się na lasce, a na drugim, wyciągniętym ramieniu trzymał sokoła. Ptak był wyraźnie zdenerwowany: kręcił łebkiem i jakby przestępował z nogi na nogę. Mężczyzna przemawiał do niego kojącym tonem, aż w końcu ptak uspokoił się i znieruchomiał, ale pozostał czujny.

Nieznamy obrócił głowę, najpierw w prawo, potem w lewo. Ptak uczynił to samo. Sherlock schował się, żeby go nie dostrzegli.

Co robić?

Nie mógł podejść do drzwi, które miał przed sobą, bo po drodze stał człowiek z sokolem. Musiał wracać do tych samych drzwi, przez które wszedł.

Pojawiła mu się w głowie pewna myśl. Zsunął buty i włożył je do kieszeni. W skarpetkach będzie robił dużo mniej hałasu na parkiecie. Cofnął się, po czym odwrócił i pobiegł przejściem między gablotami. Nie pamiętał dokładnie drogi powrotnej, ale przecież to było muzeum, nie labirynt. Dopóki szedł we właściwym kierunku, wszystko musiało być dobrze.

Skręcił w lewo, potem w prawo. Wszędzie były ptaki patrzące na niego zimnymi oczami. Może widział je wcześniej, a może nie. Wszystkie zlewały mu się w jedną masę.

Pusta gablota! To tutaj zobaczył przez szkło sokoła siedzącego na gzymisie. Wydawało mu się, że stąd już pamięta drogę. Jeszcze dwa

zakręty...

Coś uderzyło go między łopatkami tak mocno, że się przewrócił. Szpony wbiły się w jego plecy, rozdierając materiał marynarki i koszuli niczym bibułę. Spodziewał się, że za chwilę poczuje na karku dziób sokoła, i aż się skulił na tę myśl. Przetoczył się, chcąc przygnieść ptaka swoim ciężarem, ale on był szybszy. Zwolnił uchwyt, odskoczył kilka stóp po posadzce, po czym wzbił się w powietrze, zostawiając parę piór.

Sherlock chwiejnie podniósł się na nogi. Gdy pomyślał, że dłużej tego nie wytrzyma, usłyszał, jak potężny mężczyzna, właściciel ptaka, znów dmie w gwizdek.

Na końcu alejki sokół wzleciał prosto w górę, po czym zawisł na chwilę w powietrzu, a następnie przekoziółkował skomplikowanym machnięciem skrzydeł.

A potem niczym pierzasty pocisk znów poszybował ku Sherlockowi.

Chłopiec zrobił krok w tył i oparł się plecami o pustą gablotę. Szklane drzwi przesunęły się lekko pod naporem ciała. Były otwarte. Pewnie jakiś pracownik muzeum chciał tu umieścić kolejnego ptaka i poszedł po eksponat oraz elementy krajobrazu, nie zamknąwszy drzwiczek.

Sokół był już w połowie drogi. Zniżył nieco lot, ale potężne uderzenie skrzydłami wystarczyło, żeby przyspieszył i znów wzniósł się wyżej.

Celował w gardło chłopca.

Sherlock złapał za framugę drzwiczek. Nie było czasu, żeby oszacować najlepszy moment, musiał kierować się intuicją.

Kiedy ptak był sześć stóp od niego, mocno szarpnął za drzwiczki.

Tafla szkła znalazła się dokładnie na torze lotu sokoła. Ptak zderzył się z nią i oszołomiony spadł na podłogę wśród deszczu odłamków. Sherlock patrzył, jak potrząsa głową i próbuje wstać. Nie było widać krwi, chyba też nie uszkodził sobie skrzydeł, ale wydawało się, że przez jakiś czas nie będzie w stanie latać.

Ścigany królik nagle się odwrócił i ugryzł lisa.

Sherlock spojrział w alejkę. Na jej drugim końcu stał potężny mężczyzna z laską. Wciąż wyglądał jak czarna cień, bo światło miał za plecami, ale Sherlock czuł na sobie jego przeszywające spojrzenie, tak samo jak wcześniej spojrzenie ptaka.

Uniósł rękę i pomachał nią w niby swobodnym geście, po czym odwrócił się i ruszył do drzwi, przez które tu wszedł. Nieważne, że są zamknięte.

Pokonał przecież sokoła zabójcę, przy czymś takim zatrzaśnięte drzwi to fraszka.

Kiedy się do nich zbliżył, ktoś po drugiej stronie zaczął w nie łomotać i coś wołać. Chwilę później usłyszał zgrzyt obracającego się w zamku klucza i drzwi otworzyły się gwałtownie. Mężczyzna w uniformie wpadł do środka.

– Co tu się dzieje? – zapytał. – Kto zamknął te drzwi?

– Niech pan mi powie. To pan ma klucz.

Strażnik spojrział na rozdarte, zakrwawione ubranie Sherlocka.

– Co się stało? Usłyszałem, że coś się stłukło.

Sherlock już miał powiedzieć strażnikowi o wszystkim, ale ugryzł się w język. Mężczyzna uznałby pewnie, że zmyślił całą tę historię, żeby nie przyznać się, że to on stłukł gablotę. Kto by uwierzył, że zaatakował go tu żywy sokół? Musiałby tłumaczyć się godzinami, a powinien przecież znaleźć Amyusa Crowe'a i zdać mu relację ze wszystkiego, co się stało.

– Drzwiczki jednej z gablot otworzyły się, kiedy przechodziłem – powiedział znużonym głosem. – Szkło się stłukło, a ja się skaleczyłem. Do kogo mam się zwrócić w tej sprawie?

– Jak to: zwrócić się? – powtórzył strażnik.

– Pokaleczyłem się i chciałbym rozmawiać z kimś w sprawie odszkodowania.

Strażnik cofnął się, skonsternowany.

– Myślę, że powinien pan zobaczyć się z kierownikiem – odparł dużo ciszej niż wcześniej.

– Gdzie go znajdę?

– W jego gabinecie. Między pawianami a kopytnymi.

– Dziękuję – odparł Sherlock, po czym z całą godnością, na jaką tylko mógł się zdobyć, wyszedł z sali.

Szedł przez rozmaite galerie, zmierzając ku głównemu wyjściu. Musi znaleźć Amyusa Crowe'a i powiedzieć mu, co się wydarzyło. Zakładając oczywiście, że Crowe nie padł ofiarą jakiegoś innego ataku.

Znalazł go w niewielkiej herbaciarni znajdującej się po drugiej stronie głównego wejścia. Siedział na pomalowanym na biało krzeselku z kutego żelaza i sączył herbatę z porcelanowej filiżanki, która w jego potężnej dłoni wyglądała jak element zestawu dla lalek. Ze ścian wystawały ozdobione liśćmi z materiału gipsowe gałęzie, wśród których zmyślnie rozmieszczono wypchane papugi i rajskie ptaki. Ich jaskrawozielone, czerwone, błękitne

i żółte pióra lśniły jak klejnoty. W herbaciarni było prawie pusto, tylko w kącie siedział samotny mężczyzna czytający gazetę, a przy oknie gawędziły dwie starsze panie. Młody człowiek w czarnych spodniach i pasiastej kamizelce chodził między stolikami, strzepując z obrusów ledwo widoczne okruchy.

– Wyglądasz, jakbyś miał ochotę na kawałek biszkopta z marcepanem – zauważył dobrotliwie Crowe, jednym rzutem oka oceniając stan swego podopiecznego. – A ja chyba napiłbym się jeszcze lemoniady.

– Nie chce pan wiedzieć, co się stało? – jęknął Sherlock, osuwając się na krzesło po drugiej stronie stolika.

– Wystarczy spojrzeć na ciebie, żeby odtworzyć całą historię – odrzekł Crowe. – Zaatakowało cię jakieś zwierzę. Udało ci się je pokonać, ale nie wyszedłeś z tego bez szwanku. Co to było? – Urwał. – Nie, nie mów mi. – Zmarszczył brwi. – Jakiś ptak? Orzeł? Nie, coś mniejszego. To był sokół, sądząc po rozdarciach na twoim ubraniu.

– Byłem w dziale ptaków drapieżnych i rzucił się na mnie jeden z nich.

– Ale nie wypchany, jak się domyślam.

– Żywy ptak! – warknął poirytowany Sherlock.

– Oczywiście – zadudnił przyjaźnie Crowe. – Tylko się przekomarzam.

Sherlock przyjrzał się uważnie swemu nauczycielowi. Biały garnitur Crowe'a, zazwyczaj w nienagannym stanie, miał pogniecione klapy, tak jakby ktoś za nie szarpał, brakowało też guzika przy lewym mankiecie. Jego włosy były w nieładzie, jakby rozwiane przez wiatr.

– Pan też nie wygląda zbyt szykownie – powiedział Sherlock. – Co się stało?

Crowe skrzywił się.

– Zastanawiałem się, czy cokolwiek zauważysz. Znalazłem drzwi prowadzące do jakichś biur i postanowiłem rozejrzeć się po zapleczu. Wymyśliłem sobie historyjkę, że niby szukam toalety. Ale nikt nie zadawał mi natrętnych pytań, co tam robię, a jedynie ktoś próbował od tyłu uderzyć mnie pałką w głowę. Na szczęście dostrzegłem jego cień, gdy brał zamach, i zdążyłem się uchylić. Doszło do przepychanki, podczas której wpadłem na futrynę drzwi, ale napastnik musiał uznać, że skoro zniknął element zaskoczenia, to tak łatwo mu ze mną nie pójdzie, więc się wycofał, podczas gdy ja usiłowałem się pozbierać. – Prychnął. – Ten, kto mnie zaatakował, był wysokim mężczyzną bieglą w posługiwaniu się pałką, ale nie mogę ci o nim powiedzieć wiele więcej.

– Więc obu nas napadnięto – rzekł Sherlock. – Z czego płynie wniosek, że jesteśmy na właściwym tropie.

– Nie byłem pewien, czy napaść na mnie ma jakiś związek z naszym śledztwem, czy to po prostu nieudana próba grabieży, ale ponieważ zaatakowano również ciebie, musimy uznać, że ktoś przejrzał nasze zamiary.

Sherlock omiół wzrokiem salę.

– Myśli pan, że ktoś nas obserwuje w tej chwili?

– Nie zdziwiłbym się. – Rozejrzał się ukradkiem po restauracji, spojrzął na dżentelmena pogrążonego w lekturze, dwie plotkujące damy oraz kelnera w pasiastej kamizelce. – Ale chyba nie stali klienci tego przybytku. Nie byłbym za to pewien tego elegancika, który przyjmuje zamówienia.

– Chodzi o to, że niczego się nie dowiedziałem – powiedział Sherlock. – W każdym razie niczego zbytnio interesującego.

– Zastanów się – odrzekł Crowe. – Jestem pewien, że po drodze zauważyłeś różne szczegóły, które mogą nam pomóc.

– A czy pan coś odkrył? Zanim pana zaatakowano?

Crowe wzruszył ramionami.

– Rozejrzałem się tu i ówdzie, również tam, gdzie nie wpuszczają zwiedzających, ale muszę przyznać, że nic z tego nie wynikło. Jeśli cokolwiek się tu dzieje, to musiałem przegapić ślady.

– Czy wiemy wystarczająco dużo, żeby opowiedzieć o tym policji? – zapytał Sherlock. – Nie możemy sami przeszukiwać tego miejsca. Nie teraz, kiedy Komnata Paradoru wie, że tu jesteśmy.

Nauczyciel skinął głową.

– Obaj zostaliśmy napadnięci. To wystarczający powód, żeby włączyć w to policję, a jeśli będziemy mieli szczęście, może mundurowi znajdą coś istotnego, kiedy będą tu szukać tych, którzy nas zaatakowali. – Uderzył dłonią w stół, aż jego filiżanka podskoczyła na talerzyku. – O mały włos, a byśmy ich mieli!

Zerwał się na nogi.

– Będiesz musiał tym razem obejść się bez biszkoptu – oświadczył. – Wracajmy na posterunek na Bow Street i złożmy oficjalną skargę.

ROZDZIAŁ 8



– Panie Crowe – zapytał Sherlock. – Co się stało z Mycroftem? Co się dzieje z moim bratem?

Był następny ranek po ich przygodzie w muzeum i siedzieli przy śniadaniu w hotelu Sarbonnier, w którym mieszkali także podczas ostatniego pobytu w Londynie. Crowe zniknął gdzieś, zanim Sherlock się obudził, ale gdy chłopiec zszedł na śniadanie, jego nauczyciel właśnie wchodził z powrotem do hotelu.

– Dobra wiadomość jest taka, że zwolniono go za kaucją – odparł Crowe.

– Co to znaczy?

– To znaczy, że ktoś, w tym przypadku klub Diogenes, wyłożył trochę forsy, którą zdeponowano w sądzie. To sąd decyduje, ile pieniędzy trzeba wpłacić, zależnie od tego, jak duża suma jego zdaniem powstrzyma podejrzanego od ucieczki przed wymiarem sprawiedliwości. Gdyby twój brat zniknął przed procesem, jeśli do niego dojdzie, pieniądze uległyby konfiskacie. – Roześmiał się. – Ostatecznie gdyby wystarczyło pięć szylingów, żeby wyjść za kaucją, każdy złodziejasek, co ma trochę zaskórniaków, byłby na wolności w ciągu pięciu minut i większość z nich natychmiast by zbiegła.

– A ile trzeba było zapłacić, żeby wydostać Mycrofta?

– Wydaje mi się, że wspomniano o kwocie pięciu tysięcy funtów.

Sherlock skrzywił się.

– Więc gdzie on jest teraz?

– Rozmawia ze swoim prawnikiem przy obfitym śniadaniu w klubie Diogenes. Wysłałem mu telegram z wiadomością, że jesteś bezpieczny i że zatrzymaliśmy się w hotelu Sarbonnier. Być może później do nas dołączy.

– W jaki sposób Diogenes zebrał tyle pieniędzy? – zapytał Sherlock.

– Najwyraźniej mają fundusz, na który składają się wszyscy członkowie, dzięki czemu w razie potrzeby mogą sobie zapewnić pomoc prawną. – Crowe zrobił melancholijną minę. – Co dziwne, nie zauważyłem, żeby jego przełożeni pospieszyli mu z pomocą. Nie pisnęli ani słówkiem w tej sprawie. Pewnie nie chcą, by uznano, że się wtrącają, są przecież częścią rządu, a zatem mają powiązania ze służbą policyjną.

Sherlock zastanowił się przez chwilę.

– Ale ten człowiek, którego znaleźliśmy, ten, który zaatakował mnie pod stacją Waterloo, przyznał, że Mycroft został wciągnięty w intrygę. Morderstwo popełnił kto inny.

– To prawda, jednak minie trochę czasu, zanim policja zbierze dowody oczyszczające twojego brata. Ważne, że prawnik z klubu może wskazać im właściwy kierunek działania. – Crowe zmarszczył brwi. – Teraz martwi mnie to, że ludzie, którzy wymyślili ten podstęp, pozostają nieuchwytni, że nie znamy ich motywów ani nie wiemy, jaki może być ich następny ruch.

– Myśli pan, że mogą próbować go wplątać w kolejne morderstwo?

Crowe odchylił się na krześle.

– Nie można tego wykluczyć. Ale jeśli zostanie oczyszczony z jednego zarzutu, wątpię, by ktoś próbował go zrobić po raz drugi. Podczas wojny secesyjnej było u nas takie powiedzenie: za pierwszym razem to przypadek, za drugim działanie wroga. Nawet policja doszłaby do takiego wniosku. Sądzę jednak, że musimy być gotowi na co innego. Jakiś inny spisek.

– Więc co mamy robić? Jak pomóc Mycroftowi?

Crowe patrzył przez chwilę na Sherlocka. Spojrzenie jego niebieskich oczu było z pozoru łagodne, ale Sherlock wiedział, że nic się przed nim nie ukryje.

– Skoczyłbyś w ogień za swoim bratem, prawda? Niektóre dzieciaki w twoim wieku uznałyby, że starsi powinni radzić sobie sami, ale nie ty. Ty chcesz go chronić.

Sherlock odwrócił twarz, żeby Crowe nie zobaczył łez w jego oczach.

– Ojciec jest w Indiach – rzekł w końcu. – Mama jest chora. A nasza siostra... Cóż, ona nie byłaby w stanie nikomu pomóc. Mam tylko Mycrofta, a on ma tylko mnie. Musimy dbać o siebie nawzajem. – Uśmiechnął się z trudem. – A jak pan pewnie zauważył, mój brat nie jest zbyt energicznym człowiekiem. Bez pomocy nie przedostanie się nawet z jednej części miasta do drugiej. – Roześmiał się. – Słyszałem, że kiedyś został

zaproszony na obiad gdzieś za miastem. Zazwyczaj nie przyjmuje takich zaproszeń, ale właściciel domu miał wyjątkową piwniczkę z winami i zatrudniał kucharza znanego ze znakomitych deserów, więc Mycroft postanowił zadać sobie ten trud. Na dworzec jechał dorożką, potem godzinę pociągiem, następnie znalazł powóz, którym udał się do domu, gdzie go oczekiwano, oddalonego od stacji o pięć mil. Na sam koniec musiał podejść pod niewielką górkę, żeby dotrzeć do drzwi frontowych, ale gdy tylko na nią spojrział, odwrócił się i powiedział woźnicy, że ma go zawieźć z powrotem na dworzec. Taki już jest mój brat. Fenomenalnie inteligentny, ale nie ma ani krzty zmysłu praktycznego.

– A ty go kochasz.

– To mój brat. Oczywiście, że go kocham. – Sherlock poczuł się nieswojo, ponieważ rozmowa niebezpiecznie schodziła na tematy osobiste. Zerknął na Crowe'a i zapytał: – A czy pan ma brata?

Twarz nauczyciela zastygła niczym kamienna maska.

– Nie poruszajmy tego zagadnienia – odparł głosem, który zabrzmiał jak chrzest żwiru.

Przez chwilę jedli w milczeniu. Wreszcie Crowe rozejrzał się i wskazał młodego kelnera, który podawał śniadanie siedzącej obok rodzinie.

– Zobaczymy, jak dobrze przyswoiłeś sobie to, czego cię ostatnio uczyłem. Co możesz mi o nim powiedzieć?

Sherlock podniósł wzrok znad talerza.

– Pamiętam go z naszej poprzedniej wizyty tutaj. – Przyjrzał się kelnerowi. – Uniform ma trochę za krótki, spodnie wielokrotnie łatane. Najwyraźniej nosi je od dawna. Albo mało mu płacą, albo wydaje pieniądze na inne rzeczy. Ale jego buty są nowe i starannie wyczyszczone, co przeczyłoby wnioskowi, jakie można wyciągnąć na podstawie ubrania. – Sherlock zlustrował uważniej twarz i włosy kelnera. – Używa pomady do włosów marki Macassar. – Pociągnął nosem. – Tak, czuję zapach jaśminu, pomarańczy i kokosa. Ta pomada nie jest tania, myślę więc, że przeznaczając większość swojej pensji na różne rzeczy, dzięki którym bardziej podoba się paniom: pomadę, buty i ubrania, które wkłada po pracy. Co by sugerowało, że jest kawalerem. – Zamilkł. – To mniej więcej wszystko.

– A gdybym ci powiedział, że był trzykrotnie skazany za kradzieże kieszonkowe? – powiedział Crowe. – I siedział w więzieniu? Zdradził mi to odźwierny. Kierownik hotelu przyjął go, bo chłopak jest synem jego siostry.

Sherlock jeszcze raz przyjrzał się kelnerowi.

– On rzeczywiście kręci się w pobliżu jednego mężczyzny – stwierdził. – Być może szuka okazji, żeby zwędzić mu coś z kieszeni.

Kelner upuścił nóż. Mruczając przeprosiny, schylił się, by go podnieść.

– Niech pan zobaczy! – powiedział Sherlock z przejęciem. – Myślę, że zrobił to celowo. Kiedy wszyscy będą zajęci nożem, wsadzi rękę do kieszeni tego pana!

– Tak naprawdę – przyznał Crowe – on wcale nie był skazany za kradzieże. Zmyśliłem to. Śpiewa w chórze w opactwie westminsterskim. Ale rzeczywiście jest siostrzeńcem kierownika.

Zmieszany Sherlock przyjrzał się znów scenie przy stole. To, co przed chwilą wyglądało podejrzenie, teraz było czymś zupełnie niewinnym: kelner podniósł upuszczony nóż i wyprostował się.

– Czy to prawda? – zapytał.

– Nie – odrzekł Crowe. – To także zmyśliłem. Tak naprawdę rok temu podczas bójki w domu publicznym zadźgał nożem człowieka, ale sprawę umorzono, ponieważ nie było świadków gotowych zeznawać przeciwko niemu.

Ta sama scena – stół, siedząca wokół niego rodzina, kelner pochylony nad mężczyzną – znów wyglądała w oczach Sherlocka zupełnie inaczej. Kelner wydawał się grozić ojcu rodziny nożem trzymanym nad jego karkiem.

– To także nieprawda? – zapytał zirytowany.

– Oczywiście – przyznał Crowe. – W istocie nie wiem o tym kelnerze nic więcej, niż można wywnioskować z jego ubrania, włosów i dłoni. Nie wiem nic o jego przeszłości. Chodziło mi o to, że wszyscy widzimy co innego, w zależności od etykietek, jakie przyczepiamy różnym rzeczom, a one powstają na podstawie tego, co wiemy albo co nam się wydaje, że wiemy. Wyszkolony umysł odrzuca wygodne etykietki i kieruje się rzeczywistymi i wydedukowanymi faktami. Potrafi także korzystać z tego, że ludzie przyjmują różne założenia, by skierować ich sposób myślenia na określone tory i sprawić, by robili pożądane w danej sytuacji rzeczy.

Fakt, że jedna osoba może manipulować myśleniem innej jedynie poprzez dobór słów, był dla Sherlocka interesującym odkryciem i chętnie zadałby Crowe'owi kilka pytań na ten temat, ale w tym momencie w restauracji zabrzmiał znajomy głos.

– Sherlocku, panie Crowe, czy mogę do was dołączyć?

– Mycroft! – zawołał Sherlock.

Jego brat zbliżył się niespiesznie przez salę restauracyjną do stolika, przy którym siedzieli. Wyglądał równie nieskazitelnie jak zawsze – idealnie odprasowana marynarka i kamizelka, kapelusz wyszczotkowany tak, że nie było na nim ani jednego pyłka. Jednak cerę miał ziemistą, a oczy zdradzały, że niedawno widział rzeczy, o których wolałby zapomnieć.

– Panie Holmes – odezwał się Crowe, podnosząc się z krzesła – proszę usiąść. Czy zamówić dla pana kawę, czy może herbatę?

– Bardzo chętnie napiję się herbaty – odrzekł Mycroft, siadając na krześle, które wydawało się zupełnie nieprzystosowane do dźwigania takiego ciężaru. – I nie odmówię śniadania.

– Myślałem, że już jadłeś śniadanie ze swoim prawnikiem – zauważył Sherlock.

Mycroft spojrzał na niego poważnie.

– Jeśli wprowadzono przepis zakazujący więcej niż jednego śniadania podczas jednego poranka, to nic mi o tym nie wiadomo – powiedział. – W rzeczy samej, moje poprzednie śniadanie ledwo zasługiwało na to miano. Grzanki były wilgotne, bekon miękki, a kaszanka zbyt wysmażona. O marmoladzie nie warto nawet wspominać. Wystarczy, że jeden dzień mnie nie ma i klub schodzi na psy. Ten posiłek sprawił jedynie, że nabrałem apetytu na prawdziwe śniadanie, które, mam nadzieję, tutaj zostanie mi podane.

Crowe dał znak kelnerowi, żeby przyniósł kolejną tacę z jedzeniem oraz imbryk herbaty. Mycroft spojrzał tam, gdzie on, i przez chwilę przyglądał się kelnerowi.

– Norwegia? – zapytał Crowe’a.

– Finlandia – odrzekł tamten.

– Tak, oczywiście. – Mycroft pokiwał głową. – Krótki pobyt w areszcie nadwerężył moją zdolność logicznego myślenia.

Crowe pochwylił spojrzenie Sherlocka.

– Tak, mówiłem, że nic o nim nie wiem – przyznał. – Ale jego fryzura świadczy o tym, że rodzina tego mężczyzny pochodzi z Finlandii.

– Dlaczego znów pan kłamie? – Sherlock oburzył się.

– To dziwna sprawa – rzekł Crowe. – Jeśli jakiś Anglik przyłapie kogoś na kłamstwie, raz albo nawet dwa czy trzy razy, zakłada, że ten ktoś potem już będzie mówił mu prawdę. Podejrzewam, że ma to coś wspólnego z tym dziwnym brytyjskim imperatywem fair play. Tymczasem jeśli ktoś skłamał raz, to bardzo prawdopodobne, że będzie to robił częściej.

Mycroft spojrział na Sherlocka.

– Rozumiem, że miałeś jakieś... nieprzyjemności – powiedział. – Coś, co miało związek z drapieżnym ptakiem. Czy nic ci się nie stało?

– Nic mi nie jest. A tobie?

Mycroft wzruszył ramionami.

– Przynajmniej zobaczyłem, jak żyje druga połowa ludzkości, chociaż nie powiem, by było to szczególnie budujące doświadczenie. Mój prawnik spodziewa się, że zarzuty zostaną wycofane jeszcze dziś po południu.

– Czy domyślasz się, dlaczego znalazłeś się na celowniku? – zapytał Crowe.

– Możliwości jest stosunkowo mało – odparł Mycroft. – Być może ktoś chciał się na mnie zemścić, ale nie mam pojęcia kto i za co. Bardziej prawdopodobne jest to, że ktoś próbował odwrócić moją uwagę od czegoś, co ma się wydarzyć, albo odsunąć mnie od jakiejś sprawy, którą miałem się zająć. – Zerknął na Sherlocka. – Wiesz, że pracuję dla Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Rząd ma wielu specjalistów od różnych dziedzin, ale ja uważam się za kogoś, kto patrzy na całość z szerszej perspektywy. Docierają do mnie fakty i domysły wszelkiego rodzaju, a ja szukam reguł, powiązań między pozornie odrębnymi sprawami. Polityka zagraniczna często opiera się na takich zależnościach.

– Czy zauważył pan coś szczególnego? – zapytał Crowe.

– Nie powinienem rozmawiać o sprawach rządowych poza murami Whitehall – mruknął Mycroft. – Ach, oto i moje śniadanie.

Kelner postawił przed nim talerz i zdjął metalową pokrywę. Mycroft rozpromienił się na widok obfitości jedzenia.

– Wspaniale – rzekł. – Doskonała kompozycja, świetnie przygotowana. Wyrazy uznania dla kucharza. – Kiedy kelner odszedł, Mycroft wrócił do przerwane go wątku: – Tak jak już mówiłem, naprawdę nie powinienem rozmawiać o sprawach rządowych poza Whitehall, zwłaszcza z kimś lojalnym wobec zupełnie innego kraju, ale na podstawie naszej długiej znajomości sądzę, panie Crowe, że potrafi pan dochować tajemnicy. – Nadział na widelec kawałek grzyba i ugryzł. – Wyśmienite. – Żuł chwilę, przymykając powieki. – Tak – powiedział, otwierając oczy – o czym to ja mówiłem? Wiele międzynarodowych wydarzeń mogłoby wiązać się z ostatnimi nieprzyjemnościami, które mnie spotkały, ale przypuszczam, że chodzi o sprawę, która dotyczy niedawnej sprzedaży sporego kawałka ziemi pańskiemu krajowi, panie Crowe.

Crowe odchylił się na oparcie krzesła i splótł ręce na piersiach.

– Nie jestem na bieżąco, panie Holmes.

– Nie dziwi mnie to, gazety niewiele o tym pisały. Mówiąc w skrócie, w zeszłym roku sprzedano rządowi amerykańskiemu ogromny obszar za sumę siedmiu milionów dwustu tysięcy dolarów, płatną w złocie. Szmata ziemi za górę pieniędzy, można by rzec. Obszar był tak wielki, że cena wyniosła około dwóch centów za akr, co jak dla mnie jest właściwie ceną okazijną. Ziemia ta leży na północno-zachodnim krańcu Ameryki Północnej, od wschodu graniczy z Kanadą, od północy z Oceanem Arktycznym, a od południa i zachodu z Pacyfikiem.

– Kto był poprzednio jej właścicielem? – zapytał Sherlock.

– Bardzo trafne pytanie. Imperium Rosyjskie, położone po drugiej stronie Cieśniny Beringa, jak nazywa się tę część Pacyfiku, było wcześniej w jej posiadaniu, chociaż żyło tam i nadal żyje wiele tubylczych plemion.

– Jak się nazywa ta kraina?

– Rosjanie mówią na nią: Aljeska – odparł Mycroft – ale rząd amerykański najwyraźniej nadał jej nazwę: Departament Alaski.

– Mamy więc sprzedaż ziemi – powiedział Crowe. – Nic nadzwyczajnego w Ameryce. Sam posiadam spory kawałek ziemi w Albuquerque, którym pod moją nieobecność zarządzają moi znajomi. Wielka mi rzecz.

Mycroft westchnął.

– To nie jest taka błahostka, panie Crowe, jak się panu wydaje. Ta sprzedaż być może nie była do końca legalna.

Gdy do Sherlocka i Amyusa dotarło znaczenie tych słów, przy stole na chwilę zapadła cisza.

– Jak to możliwe? – zapytał w końcu Sherlock. – Chyba rząd rosyjski i amerykański mają prawników, którzy sprawdzili szczegóły umowy?

– Chodzi nie tyle o prawomocność umowy, ile o to, że zapłata nie została dotychczas uiszczona, przez co cała transakcja staje się wątpliwa pod względem prawnym.

– Co nasuwa pytanie – rzekł z namysłem Crowe – czy ktoś inny ostrzy sobie zęby na Alaskę? Jeśli nie, nie ma sprawy, Rosjanie będą musieli po prostu zażądać swoich pieniędzy.

Mycroft uniósł do ust kawałek kaszanki na grzance. Dłuższą chwilę przeżuwał z błogim uśmiechem na twarzy.

– Tutaj właśnie cała sprawa robi się delikatna i raczej osobista – odezwał się wreszcie. – Od jakiegoś czasu mam swojego człowieka w Moskwie. Tak

go nazywam, ponieważ choć jego pensję i koszty utrzymania pokrywa Ministerstwo Spraw Zagranicznych, odpowiada bezpośrednio przede mną i nikim innym.

– Jak sądzę, masz na myśli to, że oficjalnie zajmuje tam jakieś stanowisko, a w rzeczywistości jego zadania są zupełnie inne? – zapytał Crowe.

– Jest tam jako dziennikarz, i to dość dobry, ale dodatkowo dostarcza mi wiadomości o poczynaniach cara i jego dworu. – Mycroft westchnął i odsunął opróżniony talerz. – Kiedy przeglądałem dziś najświeższe raporty, które dotarły do mojego biura, kiedy tkwiłem na posterunku przy Bow Street, znalazłem dwa pisma związane z tym człowiekiem. Pierwszym z nich był list właśnie od niego, w którym donosił mi, że ma potwierdzone informacje, iż ambasador Hiszpanii na dworze cara Aleksandra II złożył kontrofertę, proponując dziesięć milionów dolarów, płatne w złocie natychmiast po podpisaniu umowy. Drugie pismo nadeszło od jednego z brytyjskich dyplomatów przebywających w Moskwie. Poinformował mnie, że mój agent zniknął. – Uniósł filiżankę do ust, po czym odstawił ją na spodek. – Car ma nie tylko zwyczajną policję, ale też policję tajną. Zwana jest Trzecim Oddziałem Kancelarii Osobistej Jego Cesarskiej Mości. Może to niezbyt zręczna nazwa, ale bardzo rosyjska. Jej szefem jest hrabia Piotr Andriejewicz Szuwałow. Poznałem go we Francji kilka lat temu i nawet się polubiliśmy. Ale to nieważne. Departament pierwszy Trzeciego Oddziału zajmuje się przestępstwami politycznymi, departament trzeci natomiast cudzoziemcami. Podejrzewam, że mój agent zadarł z jednym z nich i pewnej nocy został aresztowany.

– Czy car – Sherlock przerwał ciszę, która zapadła po słowach Mycrofta – to ktoś taki jak król albo cesarz?

– Mniej więcej – odparł Mycroft, otrząsając się z ponurych myśli. – Chociaż to właściwie nieprzetłumaczalne. Co ciekawe, samo słowo „car” wywodzi się od łacińskiego „cezar”. – Potrząsnął głową. – Rosjanie są osobiście formalni, jeśli chodzi o nazwy godności i tak dalej. Chyba jeszcze bardziej niż my w Anglii. Jeden z ostatnich listów dyplomatycznych z carskiego dworu zaczynał się, jeśli dobrze pamiętam – przymknął oczy – my, Aleksander II, z łaski Bożej cesarz i władca Wszechrusi, Moskwy, Kijowa, Włodzimierza, Nowogrodu, car Kazania, car Astrachania, król Polski, car Syberii, car Chersonezu Taurydzkiego, car Gruzji, pan Pskowa, wielki książę Smoleńska, Litwy, Wołynia, Podola i Finlandii, książę Estonii,

Liwonii, Kurlandii i Semigalii, Żmudzi, Białegostoku, Karelii, Tweru, Jugry, Permu, Wiatki, Bułgarii i innych ziem, pan i wielki książę Niżnego Nowogrodu, suweren Czernihowa, Riazania, Połocka, Rostowa, Jarosławia, Białoozerska, Udorii, Obdorii, Witebska, Mścislawia i wszystkich terytoriów północnych, suweren Iberii Kaukaskiej, Kabardo-Balkarii i ziem armeńskich, dziedzic i władca Czerkiesów, księstw kaukaskich i innych, pan Turkiestanu, dziedzic Norwegii, książę Szlezwika-Holsztynu, Stormarnu, Dithmarschen, Oldenburga i tak dalej, i tak dalej, i tak dalej. – Otworzył oczy i wziął głęboki oddech. – Formuła powitalna była dłuższa niż sam list. Nie zdziwi was chyba to, że większość dyplomatów nie cieszy się na wieść o wyjeździe do Moskwy. Muszą wtedy nauczyć się tego na pamięć.

– Jednak ty się nauczyłeś – zauważył Sherlock.

– Rzeczywiście – powiedział zaskoczony. – Ale ja jestem Mycroft Holmes.

– Wróćmy do sprawy – przerwał im Crowe. – Co będzie, jeśli nie dojdzie do sprzedania Alaski Stanom i dostanie ją Hiszpania? Dlaczego mielibyśmy się tym martwić?

– To zaburza równowagę w tym rejonie świata – odrzekł Mycroft bez zastanowienia. – Kanada to nowy i nieokrzesany jeszcze kraj. Francja już ma silne wpływy w rejonie Quebecu, a Wielka Brytania nadal kontroluje Kolumbię Brytyjską. Jeśli Hiszpania zdobędzie władzę nad Alaską, przeniesiemy na inny kontynent wszystkie problemy, jakich doświadczyliśmy w Europie. Pomyślcie o wojnach między Francją, Anglią i Hiszpanią w szesnastym i siedemnastym wieku. Nie możemy dopuścić, żeby to się powtórzyło. Chce pan wiedzieć, co się stanie, jeśli pozwolimy Hiszpanii przejąć kontrolę nad Alaską, panie Crowe? Dojdzie do wojny. Wojny, która rozedrze Amerykę na stronnictwa różnych aliantów.

Crowe powoli pokiwał swą potężną głową.

– Rozumiem – powiedział. – Kilka krajów na kupie oznacza problemy. To jak trzy albo cztery rodziny pod jednym dachem. Na pewno zaczną drzeć ze sobą koty.

– Stabilna sytuacja jest jak najbardziej w naszym interesie – stwierdził Mycroft. – I mam tu na myśli i Wielką Brytanię, i Amerykę. Wielka Brytania, jak wiemy, w ciągu ubiegłej dekady stopniowo traciła rozmaite kolonie. Nasze terytoria w Kanadzie stały się autonomicznym krajem, zapewne niebawem również Kolumbia Brytyjska zyska niepodległość.

Robimy wszystko, co w naszej mocy, aby zapewnić stabilność w tym regionie. Jeśli wtrąca się Hiszpanie, Francuzi albo ktokolwiek inny, mogą rozchwiać ten polityczny i geograficzny krajobraz na wiele lat.

– Wszystko to – rzekł Crowe – wykracza poza moje kompetencje. Nie jestem politykiem i nie mam najmniejszego zamiaru nim zostać.

– Może to i lepiej – mruknął Mycroft. – Widziałem, jak pan negocjuje. Pięści generalnie nie uważa się za instrumenty dyplomacji.

– No nie wiem – odparł cicho Crowe. – Czy Clausewitz nie powiedział, że wojna to tylko dalszy ciąg polityki?

– Tak – odrzekł cierpko Mycroft. – Ale on był Niemcem.

– I co to wszystko dla nas znaczy? – zapytał Crowe. – Myśli pan, że ludzie, którzy uwikłali pana w morderstwo, działają na zlecenie Hiszpanii?

– To możliwe, ale mało prawdopodobne. – Mycroft potrząsnął głową. – Dlaczego hiszpański dwór miałby ukrywać fakt, że złożył kontrofertę? Chyba że negocjacje były akurat na jakimś delikatnym etapie. Ale nie rozumiem, dlaczego Hiszpanie mieliby z tego powodu popełniać morderstwo. Mogliby to zrobić sami Rosjanie. Ale znów, po co ukrywaliby, że toczą się negocjacje? – zastanawiał się przez chwilę, gładząc palcami podbródek. – Chyba że car nie chce, aby amerykański rząd wiedział o jego rozmowach z Hiszpanami, ponieważ amerykańska Izba Reprezentantów nagle mogłaby się zgodzić na wypłacenie siedmiu milionów dolarów w złocie i w ten sposób udaremniłaby jego plany wyciągnięcia większych pieniędzy od kogoś innego. Wszystko polega na tym, że sytuacja z pierwotną transakcją jest co najmniej niejasna i nic się nie zmienia, dopóki nie wpłynie zapłata.

– Jest jeszcze inna możliwość – zadudnił Crowe.

– Owszem – zgodził się Mycroft. – Ktoś w waszym rządzie może próbować zatuszować wiadomość o tym, że warunki umowy nie zostały spełnione.

Crowe wzruszył ramionami.

– Nie zamierzam bronić mojego rządu. Przez ostatnie lata podjął wiele dziwnych decyzji.

– Albo – odezwał się Sherlock, czując, że powinien coś wtrącić – być może jest ktoś jeszcze.

– Ktoś trzeci? – zapytał Crowe.

– Czwarty – sprostował Mycroft. – Oprócz Rosjan, Amerykanów i Hiszpanów.

– A właściwie piąty – zauważył Sherlock. – Bo ty także jesteś w to wmieszany, a zatem i Wielka Brytania.

– Już rozumiem, dlaczego dyplomacja jest taka skomplikowana – rzekł Crowe z uśmiechem. – Ale to wszystko chyba nie ma dla nas znaczenia? Wie pan już, co się dzieje, i podejmie pan jakieś kroki dyplomatyczne. Jest mało prawdopodobne, by ktoś znów próbował zaszkodzić panu, Sherlockowi czy nawet mnie. Ktokolwiek usiłował pana zrobić, będzie musiał założyć, że wrócił pan do swojego biura, zobaczył raporty i wyciągnął właściwe wnioski.

Mycroft powoli potrząsnął głową.

– To nie takie proste. Po pierwsze moi przełożeni w tak poważnej sprawie nie będą polegać tylko na moim słowie. Zaczną sami wszystko sprawdzać, co zajmie miesiące albo nawet lata. A ja straciłem swoje główne źródło informacji w Rosji – rzekł zafrasowany. – Muszę się dowiedzieć, co się stało. Jestem to winien memu agentowi. Jeśli znalazł się w kazamatach Trzeciego Oddziału, muszę przynajmniej spróbować go stamtąd wydostać. A jeśli zginął, muszę sprawić, by jego morderców dosięgła sprawiedliwość. Albo to, co uchodzi za sprawiedliwość na dworze cara.

– Ma pan chyba w Moskwie innych tajnych agentów? – zapytał Crowe. – Oni mogą się tym zająć.

– Nie mam w Moskwie nikogo, komu mógłbym zaufać. Będę musiał sam tam pojechać, gdy tylko zarzuty wobec mnie zostaną wycofane.

ROZDZIAŁ 9



Przy stole zapadło pełne zdumienia milczenie.

– Masz zamiar pojechać do Moskwy? – zapytał osłupiały Sherlock. – Do Rosji?

– Obawiam się, że tak – odparł Mycroft.

– Ale ty dostajesz zawrotów głowy, jeśli tylko wybierzesz się poza Oxford Street!

Mycroft uśmiechnął się, lecz uśmiech ten tylko maskował zgrzyotę.

– To, że nie mam na to ochoty, jest bez znaczenia. Powiniennem tam pojechać. Muszę tam pojechać. Kwestia mojej osobistej wygody jest nieistotna.

– Nie rozumiem – parsknął Sherlock.

– Ale ja tak – powiedział spokojnie Amyus Crowe. – Nie można oczekiwać, że podwładni będą komuś ufać, słuchać jego poleceń, jeśli obawiają się, że zostawi ich na pastwę losu, gdy tylko wpadną w kłopoty.

– W tym rzecz. Moi agenci na całym świecie muszą wiedzieć, że wspieram ich w każdej sytuacji. Jeśli przyjdzie burza, a niechybnie przyjdzie, będę stał w deszczu razem z nimi. – Wzdrygnął się. – Choćby to było bardzo nieprzyjemne.

– Poza tym jesteś ciekawy – zaryzykował Sherlock.

– Ciekawy?

– Chcesz dowiedzieć się prawdy. Chcesz wiedzieć, kto tak naprawdę próbował wmieszać cię w morderstwo i jak wygląda sytuacja ze sprzedażą ziemi.

Mycroft wydawał się niewzruszony.

– Istotnie życzylibym sobie poznać prawdziwy stan rzeczy. Nie lubię niepewności. To jak ćmiący ząb.

Kilka stolików dalej rodzina, którą Sherlock obserwował wcześniej, skończyła posiłek i zbierała się do wyjścia. Popatrzył na nich przez chwilę. Matka sprawdzała, czy dzieci są czyste i mają zapięte guziki, a ojciec się temu przyglądał. Czy przyjechali obejrzyć miasto, czy odwiedzić krewnych? A może tylko zatrzymali się w Londynie po drodze do jakiegoś innego miejsca i właśnie wybierali się na jeden z dworców, żeby wsiąść do pociągu? Jakikolwiek mieli plany, ogarnęła go zazdrość. Nie pamiętał, by jego rodzina kiedykolwiek taka była. Zwyczajna, normalna. Jego ojciec przez większość czasu był zajęty sprawami wojska, a matka przykuta do łóżka. Chyba nigdy nie zdarzyło się, żeby siedzieli razem przy stole i byli po prostu... rodziną.

– Więc nie zobaczę cię przez jakiś czas, tak samo jak ojca – wyszeptał.

– Chyba że pojedziesz ze mną.

Po raz drugi tego dnia Sherlock osłupiał.

– Ja? – wyskrzeczwał w końcu. – Mam jechać z tobą? Do Rosji?

Mycroft tęsknie zerknął na pozostałości śniadania na talerzu.

– Może pan mu wytłumaczy – mruknął do Crowe'a. – Ja chyba zrobiłem to zbyt pobieżnie.

– Obawiam się, że sam nie do końca to zrozumiałem. – Crowe miał poważną minę. – Może mógłby pan wyjaśnić to nam obu.

– Dobrze. Sherlock już został wmieszany w tę sprawę. Jeśli wyjadę do Rosji, najlepszym sposobem, żeby odwrócić moją uwagę, sprawić, bym wrócił, będzie zagrozić mojemu bratu. Gdyby został porwany i gdyby przysłano mi w paczce, powiedzmy, kawałek jego ucha albo mały palec, nie byłbym zdolny prowadzić dalszego dochodzenia. Muszę zapewnić Sherlockowi bezpieczeństwo, zatem musi pojechać ze mną.

Sherlock dotknął dłonią swojego ucha. Wizja tego, że ktoś mógłby mu je obciąć i wysłać pocztą Mycroftowi, nie była przyjemna.

– Nie jest pan raczej człowiekiem czynu – zauważył Crowe. – Ma pan pewność, że poradzi sobie w razie napaści?

– Nie będę sam – odrzekł Mycroft kąśliwie. – Miałem zamiar zabrać ze sobą jednego z moich agentów. Dla ochrony, ale także dla kamuflażu. Pojedziemy we trójkę.

– Co to znaczy: dla kamuflażu? – zapytał Sherlock, wciąż jeszcze pod wrażeniem niesłuchanej wiadomości, że jego starszy brat chce, żeby wybrał się z nim do Rosji. Nie był pewien, co było bardziej nadzwyczajne: wyprawa do Rosji czy to, że jedzie z Mycroftem.

– To znaczy, że będziemy podróżować incognito. W przebraniu, jeśli wolałbyś tak to ująć. Dość wysoko postawiony urzędnik Ministerstwa Spraw Zagranicznych nie może tak bez zapowiedzi pojechać sobie do Rosji, nie powodując zamieszania na skalę międzynarodową. Musimy użyć pseudonimów, to znaczy fałszywych nazwisk, a także wymyślić sobie życiorysy. Stać się częścią jakiejś większej całości, żeby nikt nie zwrócił na nas uwagi.

– Czy postanowił już pan, co to będzie? – zapytał Crowe.

– Owszem. Obmyśliłem cały plan, jadąc do was powozem z klubu Diogenes.

– Wzięłeś kabriolet? – obruszył się Sherlock. – Przecież to dziesięć minut spaceru! Dwie minuty jazdy powozem!

– Właśnie. Akurat chwila na zastanowienie. Gdybym szedł pieszo, byłbym tak zajęty omijaniem przechodniów, koni i innych przeszkód, że w ogóle nie miałbym czasu na myślenie.

– Jaki więc jest plan? – dopytywał Crowe.

Mycroft nadział na widelec kawałek serdelka.

– Kilka tygodni temu poproszono mnie o wydanie zgody na wyjazd angielskiej trupy teatralnej do Moskwy, gdzie miała wystąpić przed rosyjską arystokracją, pokazać sztuki Szekspira, Marlowe’a, Bena Jonsona i tak dalej. Wydałem zezwolenie, ponieważ o ich wyjazd zabiegała ambasada rosyjska, a poza tym to może przyczynić się do rozwoju wymiany kulturalnej między naszymi krajami, jeśli oczywiście przedstawienia są tak dobre, jak to wynikało z raportów. W zeszłym tygodniu dotarła do mnie wiadomość, że wszystko zostanie odwołane, ponieważ dyrektor teatru zachorował na serce i znalazł się w szpitalu, a pierwszego skrzypka w orkiestrze aresztowano za pijaństwo i awanturnictwo. Wydaje mi się, że obowiązki dyrektora nie są bardzo uciążliwe, chodzi tylko o to, żeby wszyscy byli na swoich miejscach i żeby rachunki były płacone na czas.

– A skrzypek? – spytał Crowe. – Skąd weźmiesz skrzypka?

– Jeden z moich agentów całkiem niezłe gra na skrzypkach – rzekł Mycroft, nadal, jak się wydawało, skupiony na swoim talerzu. – Zabiorę go ze sobą.

– A ja? – zapytał Sherlock.

– Będziesz pomocnikiem i chłopcem na posyłki. Podczas takiego objazdu przyda się każda para rąk za kulisami.

– Ale... – Sherlock myślał gorączkowo. – Ale kiedy? I jak?

Mycroft włożył do ust kawałek kielbaski i przeżuł.

– Jeśli chodzi o to, kiedy wyruszymy – powiedział w końcu – sugerowałbym, żebyśmy wyjechali jak najszybciej, gdy tylko uda się ustalić wszystko z trupą teatralną. Myślę, że aktorzy będą wdzięczni, że Ministerstwo Spraw Zagranicznych troszczy się o nich do tego stopnia, że zapewnia im kogoś na miejsce brakujących członków ekipy. Poczyniono już wszelkie przygotowania do podróży. Jeśli dobrze pamiętam, planowali wyjechać za parę dni i mieli lada chwila wysłać do swoich gospodarzy w Moskwie list z wiadomością, że odwołują wyjazd. Miejmy nadzieję, że jeszcze tego nie zrobili, inaczej będę musiał wymyślić inną strategię. Jeśli chodzi o to, jak się tam dostaniemy, popłyniemy do Francji, a stamtąd pojedziemy pociągiem do Moskwy. Podróż zajmie nam, jak sądzę, od czterech do pięciu dni. – Sięgnął po grzanekę i zabrał się do smarowania jej masłem. – Zawiadomię stryja i stryjenkę, że wyjeżdżasz na kilka tygodni do Europy. Jestem pewien, że okażą zrozumienie. Podróże kształcą. Zajmę się wszelkimi przygotowaniami, a tobie, Sherlocku, radzę, byś tymczasem wybrał się na Charing Cross Road i poszukał książek o historii i kulturze Rosji. Rosjanie bardzo się od nas różnią, z pewnością bardziej niż Amerykanie. – Skinął głową Crowe’owi. – Pozwól jednak, że podam ci kilka użytecznych faktów – ciągnął. – Rosja to największy kraj na świecie. Gdyby zmierzyć jej powierzchnię, okazałoby się, że zajmuje niemal jedną siódmą wszystkich lądów, ale większość tych ziem to wiecznie zamrożone trawiaste obszary, tak zwana tundra. Według naszych szacunków car ma około sześćdziesięciu pięciu milionów poddanych. Jest to liczba, która ledwo mieści się w głowie, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę, że ludzie ci należą do stu sześćdziesięciu różnych ras i plemion mówiących ponad setką różnych języków i dialektów, a także wyznających około trzydziestu pięciu różnych religii. Rosja to, praktycznie rzecz biorąc, cały odrębny świat. Taki właśnie jest kraj, do którego się wybieramy.

– Ale... – zaczął Sherlock. – Przecież ja nawet nie mówię po rosyjsku!

– To żaden problem – odrzekł uspokajająco Mycroft. – Z tego co mi wiadomo, w większości zamożnych domów, a także na dworze cara, znajomość francuskiego jest czymś oczywistym. Ja mówię płynnie po francusku, a twój francuski, jak sądzę, także się poprawił w ciągu tych kilku miesięcy od powrotu z Francji. Myślę, że to wystarczy.

Sherlock zerknął na Amyusa Crowe’a.

– Ale co z panem Crowe’em? On chyba wcale nie zna francuskiego?

– Tak, a jego angielski też jest nieco podejrzanym – mruknął Mycroft. W jego pełnym emocji spojrzeniu Sherlock dopiero po chwili dostrzegł współczucie. – Obawiam się, że pan Crowe nie będzie nam towarzyszył. W tę podróż pojedziemy we trzech: ja, ty i skrzypek, którego zamierzam zatrudnić.

– Ale dlaczego?

– Jak sam zauważyłeś, pan Crowe nie mówi ani po francusku, ani tym bardziej po rosyjsku. Nie ma żadnych umiejętności, które byłyby przydatne podróżującej trupie teatralnej. W dodatku albo musiałby zabrać uroczą Virginie ze sobą, a wtedy byłoby nas już pięcioro, albo znaleźć kogoś, kto by się nią opiekował, i to na kilka tygodni. Poza tym wyróżnia się w tłumie, a skoro zamierzamy podróżować incognito, stanowiłoby to problem.

– Nie przejmuj się – powiedział Crowe. – Nie oczekiwałem, że wybiorę się na tę wycieczkę. Jedź i baw się dobrze.

Sherlock poczuł, jak coś go ściska w żołądku.

– Ale ja chcę, żeby pan pojechał z nami.

– Problem polega na tym – zauważył Mycroft – że życie rzadko daje nam to, czego chcemy czy potrzebujemy. Jak mówią, Bóg nie zsyła nam niczego, czego byśmy nie udźwignęli. Wedle moich doświadczeń to nie jest prawda, tylko rozpowszechnione przekonanie, które pomaga pobożnym ludziom pogodzić się z tym, z czym pogodzić się nie da. Życie jest ciężkie i nie możemy nawet mieć nadziei, że je przetrwamy.

– Jak widzę, lekcje trwają – rzekł cicho Crowe.

Mycroft zerknął na niego.

– Chłopak musi się czasem czegoś nauczyć.

Crowe nabrał powietrza. Najwyraźniej najchętniej zmieniłby temat.

– A co z muzeum? Czy policja będzie tam prowadzić jakieś dalsze dochodzenie?

– Już zawiadomiłem o wszystkim policję, wszcząłem także bardziej... tajne śledztwo prowadzone przez pewne organy rządowe, mam jednak poważne podejrzenia, że niczego tam nie znajdziemy. Nasi przeciwnicy albo traktowali muzeum jako wygodny punkt kontaktowy, a wtedy wystarczy, że wyjdą przez drzwi frontowe, i ślad po nich zaginie, albo mieli tam jakieś biuro, ale w takim przypadku z pewnością się stamtąd wynieśli, kiedy tylko wpadliście tam z Sherlockiem. W każdym razie nie sądzę,

byśmy trafili w tym miejscu na jakieś wskazówki. Mamy do czynienia z profesjonalistami.

– Nie sądzisz, że całe to muzeum służy jako przykrywka dla ludzi, którzy cię wrobili? – zapytał Sherlock.

– Szczerze w to wątpię. Muzeum to instytucja użyteczności publicznej o nieskazitelnej reputacji. Z pewnością okaże się, że to ślepy zaułek. – Wrzucił do ust ostatni kawałek grzanki, chrupał przez chwilę, po czym westchnął z zadowoleniem. – Teraz dopiero czuję, że mogę zacząć dzień. – Wydobył zegarek z kieszonki kamizelki. – Lunch dopiero za godzinę. To daje mi dość czasu, żeby udać się do klubu i zacząć przygotowania do podróży, a następnie wrócić tu na przyzwoity posiłek. Sherlocku, panie Crowe, proponuję, abyśmy spotkali się tutaj ponownie około pierwszej po południu. – Z pewnym trudem podnosząc się z krzesła, dodał: – Czy któryś z was mógłby być tak miły i przywołać mi dorożkę?

Podczas gdy Crowe i Mycroft rozmawiali na chodniku, Sherlock odszedł nieco dalej. W głowie huczało mu od różnych informacji i nowych perspektyw i musiał zostać na chwilę sam, żeby dojść z tym wszystkim do ładu.

– Och, Sherlocku!

Odwrócił się. Mycroft machał do niego.

– O co chodzi? – zapytał, zbliżając się do nich.

– Pewnie będziesz potrzebował trochę pieniędzy. – Wręczył mu kilka monet. – Masz tu trzy gwinee, dobrze ich pilnuj. Kup sobie jakąś odzież zdatną na mrozy, jeśli uda ci się coś takiego znaleźć.

Sherlock poszedł sam przez Piccadilly Circus i Leicester Square aż na Charing Cross Road. Na chodnikach tłoczyli się ludzie, a ulicami jeździło mnóstwo rozmaitych powozów. Jeśli tutaj były tylko setki ludzi, a on i tak czuł się, jakby zaraz miał zostać rozdeptany, to jak mieszka się w kraju, gdzie jest sześćdziesiąt pięć milionów mieszkańców? A jeśli w samej Rosji jest tyle, to ile ludzi żyje na całym świecie? Od tej skali aż kręciło mu się w głowie.

Księgarnie, sklepy ze starzyzną i lombardy ciągnęły się po obu stronach ulicy i przez dobrą godzinę szperał w pudłach wystawionych na zewnątrz oraz na półkach i regałach w środku. Pozwolił myślom płynąć swobodnie, nie nadawał im żadnego określonego kierunku.

Udało mu się znaleźć kilka książek o Imperium Rosyjskim, kupił dwie najbardziej rzeczowe. Zaciekała go także skrzynia pełna zamków, kłódek

i kluczy, jak ostrzegł go właściciel sklepu, pomieszanych ze sobą. Kupujący nie mieli żadnej gwarancji, że jakiś klucz będzie pasował do któregoś z zamków; właściciel sprzedawał je tak po prostu, niekompletne. Sherlock zastanawiał się, czy gdyby miał pod ręką wiele różnych zamków, żeby się nimi bawić i z nimi eksperymentować, nauczyłby się, jak otwierać je wytrychem. Taka umiejętność mogłaby się okazać przydatna w przyszłości. Właściwie przydałaby mu się już wcześniej, w ciągu ostatnich kilku miesięcy.

W końcu porzucił jednak skrzynię z zamkami, uznawszy, że zawsze może wrócić w to miejsce.

Ruszył dalej Charing Cross Road, przeciął Cambridge Circus i dotarł aż do początku Tottenham Court Road. Mieściło się tu jeszcze więcej sklepów, ale ulica była szersza, więc było więcej miejsca dla powozów i koni. Zajrzał do jednego z lombardów, wiedząc, że właściwie powinien już wracać, jeśli chciał zdążyć do hotelu na czas. Jego uwagę przyciągnął futerał na skrzypce leżący na półce w głębi.

Ostrożnie zdjął go na dół i zdmuchnął z niego kurz. Otworzył pokrywę i aż wstrzymał oddech, kiedy zobaczył leżące w środku skrzypce. Były stare – stare i piękne. Ciemnoczerwoną okleinę pokrywała gęsta siatka pęknięć, a wycięte w pudle rezonansowym otwory w kształcie litery „f”, zwane „efami”, wydawały się nieco skrzywione, ale było w tym instrumencie coś, co do niego przemawiało. Wzywało go. Uniósł skrzypce prawą ręką, trzymając je za szyjkę i opierając ich ciężar na dłoni. Wydawały się lepiej wyważone niż skrzypce Rufusa Stone’a, na których próbował grać na pokładzie S/s „Scotia”, kiedy płynęli do Nowego Jorku. Oparł pudło skrzypiec na przedramieniu i szarpnął struny. Wnętrze sklepu wypełniły przeciągłe, melancholijne tony. Skrzypce były okropnie rozstrojone, ale w ich dźwięku była głębia, która przeniknęła go dreszczem. Nie był to w żadnym razie czysty dźwięk, był jednak ciepły i wyrazisty. Przesunął palcem po krawędzi między wierzchem a bokiem skrzypiec. Była w dotyku jak aksamit.

– Masz dobre oko – zaszeleścił czyjś głos z tyłu sklepu.

Sherlock odwrócił się. Widok przesłaniał mu regał, obszedł go więc i zobaczył człowieka, który wydawał się tak stary i kruchy, że mógłby go zdmuchnąć silniejszy powiew wiatru. Siedział za biurkiem, na którym piętrzyły się stosy książek i innych przedmiotów. Na głowie miał czarną

myckę i spoglądał na Sherlocka przez zatknięte na nosie okulary, które łańcuszek założony na szyję zabezpieczał przed upadkiem.

– Słucham?

Mężczyzna nachylił się nieco, wylaniając z mrocznego zakamarka. Był teraz w smudze światła, w której wirowały drobinki kurzu.

– Wiele lat temu przywiozłem te skrzypce z Krakowa. Mój ojciec wygrał je w karty, dałbyś wiarę? Przejechały ze mną prawie całą Europę, a teraz muszę je sprzedać, żeby kupić jedzenie i drewno na opał. Wolałbym je zatrzymać.

– To piękny instrument.

– Jest piękny, tak jak moja żona, i brzmi jak marzenie, jak mówili mi ci, co się na tym znają. Ja sam gram na pianinie i na akordeonie, ale tylko wtedy, kiedy za dużo wypiję.

Sherlock zajrzał do futerału.

– Czy jest też smyczek?

– Dla ciebie się znajdzie – odrzekł starzec. Pogrzebał na biurku, przesuwając kilka książek. – Niektórzy uważają, że smyczek jest równie ważny jak same skrzypce. Ja nie byłbym tego taki pewien. Instrument to dzieło sztuki, a smyczek to tylko końskie włosie. Może ważne jest to, od jakiego konia. O! – Wyciągnął smyczek z jakiegoś kąta i wręczył go Sherlockowi. – Proszę, spróbuj!

Sherlock przypomniał sobie lekcje z Rufusem Stone'em. Nie ćwiczył od czasu powrotu z Ameryki, bo nie miał skrzypiec, ale brakowało mu dyscypliny powtarzających się gam i tego, jak harmonia muzyki umiała uspokoić jego wciąż kłębiące się myśli.

Szybko nastroił instrument, brzdąkając na strunach i dokręcając kołki na końcu szyjki, aż dźwięki brzmiały poprawnie. Oparł go na swoim ramieniu i przycisnął do niego policzek. Czuł, że skrzypce pasują do niego tak, jakby miał je od zawsze.

Przyłożył smyczek do strun i zagrał po kolei dźwięki każdej z nich: g, d, a, e. Przywodziły mu na myśl ludzki głos śpiewający w niebie. Spróbował zagrać kilka gam i był zdziwiony, jak szybko jego palce przypomniały sobie, co mają robić.

Kiedy opuścił skrzypce, zdumiał się, widząc łzy w oczach staruszka.

– Już od bardzo dawna nikt na nich nie grał – powiedział sprzedawca. – Bałem się, że mijające lata i przebyte podróże stępiły ich dźwięk, ale

brzmia piękniej niż kiedykolwiek. Czego nie można powiedzieć o mojej uroczej żonie, która ma głos jak wrona.

– Jak to jest – zapytał Sherlock – że różne skrzypce brzmia... mają tak różny dźwięk? Chodzi mi o to, że na przykład powóz to powóz. Każdy ma cztery koła i jedzie, kiedy ciągnie go koń. Trudno znaleźć między nimi jakąś różnicę. A skrzypce... wszystkie wyglądają mniej więcej tak samo, ale brzmia zupełnie inaczej.

Starzec wzruszył ramionami.

– Zapytaj trzech skrzypków, a dostaniesz trzy różne odpowiedzi. Niektórzy mówią, że znaczenie ma drewno, z którego są zrobione. Podobno lepsze jest bardziej zwarte. Inni twierdzą, że drewno spławiane przez Adriatyk niedaleko Wenecji ma słodszy dźwięk. Zdaniem jeszcze innych ważny jest lakier i różne tajne składniki, które dodają do niego lutnicy. A ja myślę, że to ma związek z miłością. Instrument wykonany dla pieniędzy będzie brzmiał – dla efektu zakolysał dłonią – znośnie, ale instrument zrobiony z czystej miłości do instrumentów... ten będzie grał pięknie.

– Czy wie pan, kto zbudował te skrzypce?

– Nie wiem. Znalazły się w mojej rodzinie niespodziewanie. Ale stworzono je z miłością, miłość jest w ich drewnie, kleju i lakierze. To widać.

– Ile... – Sherlock przełknął ślinę. – Ile kosztują?

– Siedemdziesiąt szylingów – odparł szybko starzec. – Ale ponieważ ty potrafisz docenić porządny instrument, sprzedam ci je za sześćdziesiąt pięć.

– Mogę zapłacić czterdzieści pięć szylingów – odrzekł Sherlock niepewnie. Wiedział, że w kieszeni ma trzy funty i trzy szylingi. To dawało sześćdziesiąt trzy szylingi, ale wolałby, żeby zostało mu trochę pieniędzy.

Starzec przechylił głowę na bok.

– Czy wspominałem już, że muszę kupić dla mojej rodziny jedzenie i drewno na opał?

– Tak. Czterdzieści pięć szylingów – powtórzył Sherlock stanowczo.

– Masz serce z kamienia, chłopcze. Pięćdziesiąt siedem. To moje ostatnie słowo.

– Pięćdziesiąt – odrzekł. Zdał sobie sprawę, że oddech mu przyspieszył.

Starzec westchnął.

– Może kupno opału odłożę na później, a dziś zjemy zimne mięso i zimną zupę.

– Pięćdziesiąt pięć.

– Zgoda.

Z powagą uścisnęli sobie dłonie i Sherlock odłożył skrzypce do futerału. Wręczył sprzedawcy trzy gwinee, a ten oddał mu pięć szylingów reszty.

– Dbaj o nie – rzekł starzec. – A jeśli uda ci się czegoś o nich dowiedzieć, przyjdź i powiedz mi o tym. Jestem ciekaw.

– Dobrze.

Drzwi do sklepu otworzyły się i jakiś cień padł na podłogę. Regał oddzielał zaplecze sklepu od jego frontowej części, więc ani Sherlock, ani staruszek nie wiedzieli, kto wszedł, ale zanim sprzedawca zdążył się odezwać, usłyszeli, jak ktoś mówi:

– Tu wszedł! Sam widziałem!

– To czemuś nie poszedł za nim i nie zwinął go od razu? – odezwał się drugi głos, brzmiący, jakby ktoś tarł o siebie cegły. – Nie musiałeś na mnie czekać.

– A jakby się okazało, że to nie ten?

– To jakaś inna rodzina miałaby dziś powód do płaczu.

ROZDZIAŁ 10



Dłoń starca zacisnęła się na ramieniu Sherlocka.

– Z tyłu są drugie drzwi – wyszeptał. – Wychodzą na zaułek. Idź i niech Bóg ma cię w opiece.

– Może jest na zapleczu? – powiedział pierwszy głos.

Sherlock szybko skinął głową w podziękowaniu, a staruszek, powłócząc nogami, wysunął się zza półek.

– Czy szuka pan jakiejś książki? Zapewne o boksie, jak wnoszę z wyglądu pańskich uszu. A może chciałby pan kupić rękawice, żeby ochronić kostki?

– Szukamy chłopaka, co tu wszedł – rzekł właściciel niższego, bardziej chrapliwego głosu.

– Chłopców w ogóle tu nie wpuszczam – odparł starzec. – Bo kradną. To złodziejaszki, co do jednego.

– Ale ja widziałem, jak wchodził...

Sherlock słyszał ich cichnące głosy, gdy przemykał się przez magazyn na tyłach sklepu. Znalazł drzwi wychodzące na zaśmieconą uliczkę, prostopadłą do ulicy po drugiej stronie. Rozejrzył się. Nikogo nie było w pobliżu. Pobiegł więc ile sił w nogach z powrotem na Charing Cross Road. Serce łomotało mu w piersi, a skrzypce obijały się o nogi.

Cóż, miał więc odpowiedź przynajmniej na jedno pytanie. Ktokolwiek próbował zaszkodzić Mycroftowi, wciąż się nimi interesował.

Kryjąc się w tłumie, nieustannie czujny na to, kto idzie obok, Sherlock przedostał się ulicami Londynu do hotelu Sarbonnier. Płuca paliły go od wysiłku. Na miejscu okazało się, że Mycroft rozmawia właśnie z jakimś zwalistym mężczyzną, który w obszernym płaszczu wydawał się jeszcze potężniejszy. Był tak szeroki w ramionach, że wyglądał niemal jak kredens.

Gęste, rude włosy porastały mu nie tylko głowę; miał także obfite baczki, bujny wąs i szeroką jak łopata brodę.

– To jest pan Kyte – rzekł Mycroft, przerywając rozmowę. – Aktor i kierownik Trupy Teatralnej Kyte’a. Panie Kyte, to jest mój protégé... Scott Eckersley. – Spojrzał ostrzegawczo na brata, ale Sherlock już się zorientował, że obaj będą teraz występować pod fałszywymi nazwiskami.

– Miło mi pana poznać, sir – rzekł Sherlock, podając mężczyźnie rękę. Dłonie pana Kyte’a pokrywały rudawe włoski, a ich wnętrza łaskotały, tak jakby tam również było owłosienie.

– Mnie także jest miło, chłopcze – głos pana Kyte’a był niski i chrapliwy.

– Pan Sigerson powiada, że dobrze sobie radzisz ze sznurami i dekoracjami.

– To prawda, sir – odparł Sherlock dziarsko, zastanawiając się, o czym ten człowiek mówi. Przyjrzał się jego twarzy. Było w niej coś dziwnego: dostrzegł mnóstwo drobnych blizn wokół oczu, na nosie i policzkach. Skąd się wzięły?

– To dobrze, to bardzo dobrze. Przyjdź później do teatru, żeby poznać aktorów i personel. – Odwrócił się do Mycrofta, czyli pana Sigersona, jak Sherlock miał go teraz nazywać. – Jeszcze raz dziękuję, że zechciał pan dołączyć do naszej zbieraniny. Jestem pewien, że to będzie przygoda z rodzaju tych, o których opowiada się wnukom!

– W rzeczy samej – powiedział Mycroft. – Mało prawdopodobne, że będę miał wnuki, ale na wszelki wypadek poczynię obszernie zapiski.

Pan Kyte wyszedł, a Sherlock odwrócił się do Mycrofta.

– Pan Sigerson? Nie wpadłeś na nic lepszego?

– Musiałem coś wymyślić na stojąco – odpowiedział Mycroft. – To niezbyt wygodna pozycja. – Zerknął na futerał, który Sherlock niósł pod pachą. – Co to jest?

– To... skrzypce.

– Widzę. To było pytanie retoryczne. Chyba miałeś retorykę na lekcjach greki, prawda? W istocie chciałem skłonić cię do zastanowienia się nad następującą kwestią: dlaczego sprawiłeś sobie skrzypce, chociaż poleciłem ci kupić ciepłe ubrania?

Sherlock namyślał się chwilę.

– Szło za mną dwóch ludzi – powiedział. – Więc wszedłem do sklepu, a oni za mną. Musiałem uciekać przez zaplecze. Skrzypce kupiłem pod wpływem impulsu, bo...

– ... chciałeś zmienić swój wygląd – dokończył za niego Mycroft. Sherlock słyszał w jego głosie powątpiewanie. – Zmartwiła mnie ta wiadomość. To znaczy, że wciąż cię szukają, a zatem szukają również pana Crowe’a i mnie. Tym bardziej powinniśmy opuścić Londyn, a właściwie kraj, tak szybko, jak to tylko możliwe.

Sherlock czuł się nieswojo. Właściwie nie okłamał Mycrofta, zmienił tylko kolejność wydarzeń, tak żeby wyglądało na to, iż miał inny powód, by kupić skrzypce, niż ten prawdziwy – że zafascynował go ten instrument.

– Myślę, że jeśli będzie taka potrzeba, skrzypce zawsze można spalić, żeby się przy nich ogrzać – ciągnął Mycroft. – Ile za nie zapłaciłeś? – Uniósł dłoń. – Nie, nie mów mi. Wolę pozostać w błogiej nieświadomości. Idź do swojego pokoju odłożyć tę... rzecz, a potem zjemy razem lunch.

– Ale dopiero co skończyłeś śniadanie.

– Sherlocku, gdybym chciał słuchać napomnień, wróciłbym do swego mieszkania i porozmawiał z gospodynią.

Sherlock pobiegł czym prędzej na górę, do pokoju, który Amyus Crowe dla niego zarezerwował, i położył skrzypce na łóżku. Wychodząc, zauważył, że drzwi apartamentu obok, w którym zatrzymał się Crowe, są otwarte. Zajrzał do środka, spodziewając się, że znajdzie tam swego nauczyciela, ale zobaczył tylko pokojówkę zajętą słaniem łóżka. Torba Crowe’a zniknęła.

– Przepraszam, co się stało z panem, który wynajął ten pokój?

– Wymeldował się, sir – odrzekła pokojówka i dygnęła.

– Wymeldował się?

– Tak, sir. Tak ni stąd, ni zowąd.

– Rozumiem, dziękuję.

Zszedł pospiesznie na dół, żeby powiedzieć o tym Mycroftowi, ale Crowe stał w hotelowym lobby z płaszczem na ramieniu i torbą u stóp.

– Sherlocku, miałem nadzieję, że jeszcze się zobaczymy.

– Wyjeżdża pan?

– Nie mam tu już nic do roboty. Teraz twój brat bierze cię pod swoje skrzydła. Powinienem wracać i zająć się Ginny.

– Ale... – Sherlock umilkł. Wiedział, że Crowe ma rację.

– Właśnie. Nie ma sensu kopać się z koniem. Nie przydałbym się na nic w tej podróży. To nie problem, jestem dużym chłopcem i jakoś sobie z tym poradzę.

– Żałuję, że pan nie jedzie.

Crowe miał ponurą minę.

– Ja też. Ta cała sprawa jest mocno podejrzana. Nieomylny umysł twego brata chyba zaćmiło to, że siedział przez chwilę w więzieniu jak zwykły przestępca i że w sprawę wmieszani są jego najbliżsi. Czuję przez skórę, że gdzieś popełnił błąd, ale nie umiem wskazać gdzie. Jestem przekonany, że ta ekspedycja do Rosji to złe posunięcie, lecz nie zdołam go namówić, żeby z niej zrezygnował. Wcześniej odbyliśmy rozmowę na ten temat. Uparł się, żeby jechać. Sądzę, że zniknięcie jego moskiewskiego agenta wytrąciło go z równowagi bardziej, niż jest skłonny przyznać. – Potrząsnął głową. – Nigdy nie jest łatwo, gdy traci się kogoś z drużyny. Doświadczyłem tego wiele razy. Ale mimo to nie rozumiem, dlaczego chce wlec cię tam ze sobą.

– Proszę... pozdrowić ode mnie Virginie.

– Jasna sprawa. – Crowe wyciągnął dłoń. Sherlock uścisnął ją z powagą, a jego palce zniknęły zupełnie w potężnej pięści guwenera. – Trzymaj się i pilnuj Mycrofta. Znajdzie się poza swoim żywiołem.

Jeden z tragarzy hotelowych podszedł, by wziąć torbę Crowe'a, ale ten odprawił go machnięciem ręki.

– Poproszę o pomoc, kiedy będę zbyt stary, żeby sam unieść własny bagaż. – Chwycił torbę i zarzucił ją sobie na ramię.

– Wpadnij do nas, jak tylko wrócisz. Opowiesz nam o wszystkim.

– Dobrze.

Crowe wyszedł z hotelu, nie oglądając się za siebie. Sherlock miał wrażenie, jakby ktoś obciął mu jakąś kończynę. Czuł się bezbronny i samotny.

W końcu poszedł do restauracji, gdzie zastał Mycrofta nad smażonym w całości turbotem, skrupulatnie usuwającego ości za pomocą noża i widelca.

– Gdybym to ja był Panem Bogiem – odezwał się swobodnym tonem, kiedy niepokieszony Sherlock usiadł za stołem – zadbałbym o to, żeby wszystkie ryby jadalne były łatwe do spożycia. To jakiś błąd konstrukcyjny, kiedy z czegoś, co jest tak smaczne, tak trudno usunąć ości. Albo coś jest przeznaczone dla człowieka do jedzenia, albo nie, nie powinno być niczego pośrodku. – Podniósł wzrok znad talerza. – Czy pan Crowe wyjechał?

– Tak.

– To dobrze. – Mycroft uniósł na nożu kawałek ryby i ostrożnie przeniósł go na widelec. – Był przeciwny moim zamiarom, by zabrać cię do Rosji.

– Powiedział, że się sprzeczałście.

– W istocie. On jest przekonany o słuszności swoich racji. I chciałby za wszelką cenę cię chronić.

– Przez ostatni rok dużo razem przeszliśmy.

– Nie przeczę. – Mycroft włożył rybę do ust i żuł przez chwilę z przymkniętymi oczami. – Doskonale przyrządzona. Sos pietruszkowy wyśmienity. Muszę zapamiętać to miejsce. Jest dość blisko mojego biura, więc mógłbym regularnie jadać tu lunch.

– Mycroftie, jesteś pewien, że powinniśmy jechać do Rosji w przebraniu?

– Przemyślałem dokładnie tę sprawę i nie widzę innego wyjścia. – Zerknął na zegarek. – Za chwilę powinien się tu zjawić trzeci członek naszej ekspedycji. Wysłałem mu wcześniej telegram. – Spojrzał na Sherlocka. – Muszę cię o czymś uprzedzić. Powiedziałem, że ten człowiek to jeden z moich agentów i że jest skrzypkami.

– Tak?

– Ale nie powiedziałem ci, że już go znasz.

Sherlock usłyszał te słowa, jednak ich nie zrozumiał.

– Ale przecież nigdy nie spotkałem żadnego z twoich agentów, może poza panem Crowe'em, ale on się chyba do nich nie zalicza.

– Oczywiście, że nie. – Mycroft miał minę kogoś, kto zamierza przekazać złą wiadomość. – Sherlocku – powiedział, kiedy podniósł wzrok, by spojrzeć w jakiś punkt ponad głową swego brata – poznałeś już, jak sądzę, Rufusa Stone'a.

Sześć słów. Sześć prostych słów, które spadły niczym kamienie do głębokiej studni umysłu Sherlocka. Fale, jakie wzbudziły, czuł jeszcze długo po tym, gdy przebrzmiał głos jego brata. Odwrócił głowę, żeby zobaczyć, na kogo patrzy Mycroft, ale analityczna część jego umysłu już to wiedziała. Ta druga część – emocjonalna, należąca przecież do czternastoletniego chłopca – wciąż miała nadzieję, że to nieprawda, że człowiek, który za nim stoi, to ktoś zupełnie obcy.

Ale tak nie było. Emocjonalna część umysłu Sherlocka skurczyła się jeszcze odrobinę bardziej niż dotychczas.

Za jego plecami stał Rufus Stone. Z rozczochranymi kasztanowatymi włosami, nieogolonym podbródkiem, w zielonej, aksamitnej marynarce. W uchu miał złoty kolczyk. Wyraźnie czuł się nieswojo, tak jakby bardzo chciał być teraz gdzie indziej. Sherlock odczuwał to samo.

– Niech pan siada – powiedział Mycroft. – Tylko robi pan zamieszanie. Niech pan nie zwraca uwagi na kelnerów; pewnie nieczęsto widują tu cygańskich skrzypków. Dobrze im zrobi, jak sobie jednego obejrzą.

– Dzień dobry, Sherlocku – odezwał się Stone, gdy usiadł.

– Pracuje pan dla mojego brata? – zapytał Sherlock. – Dlaczego nigdy mi pan o tym nie powiedział?

– Bo mu zakazałem – odparł Mycroft. – Kiedy kilka miesięcy temu postanowiliśmy, że ty i pan Crowe wyruszyście do Ameryki, martwiłem się, że jakieś sprawy mogą odciągnąć jego uwagę od opieki nad tobą. Obawiałem się też, czy nagle nie odkryje, że kocha ojczyznę tak bardzo, iż nie może wrócić do Anglii. Postarałem się, aby pan Stone dostał bilet na ten sam statek. Jego zadanie polegało na tym, aby cię pilnować. W Nowym Jorku także miał cię śledzić i dbać o twoje bezpieczeństwo. – Prychnął. – Co, oczywiście, nie ułożyło się tak, jak tego oczekiwałem, ponieważ postanowiłeś ścigać porywaczy małego Matthew Arnatta i wsiadłeś do pociągu jadącego nie wiadomo dokąd.

– Pracuje pan dla mojego brata! – powtórzył Sherlock. Ta myśl tkwiła niczym przeszkoda w samym środku jego umysłu, zbyt wielka, żeby przez nią przeskoczyć.

– Nie muszę chyba dodawać – ciągnął Mycroft – że jego instrukcje nie obejmowały lekcji gry na skrzypcach.

– Tak, to była moja decyzja – rzekł Stone. – I wielka przyjemność.

– Ale co pan robi dla Mycrofta? – zapytał Sherlock.

Rufus Stone wzruszył ramionami.

– Głównie podróżuję, wolny jak ptak, i tak samo biedny. Nie zwracając niczyjej uwagi, mogę bez przeszkód przemieszczać się po niemal całej Europie. Nikt nie zaczepia wędrownego skrzypka takiego jak ja. Gromadzę plotki, słucham rozmów w gospodach i donoszę o wszystkim panu Holmesowi.

– O stanie gospodarki narodowej często można dowiedzieć się więcej, słuchając, co mówią rolnicy nad kuflem piwa, niż czytając gazety – powiedział Mycroft. – Mam na całym świecie wielu takich ludzi, których jedynym zadaniem jest zbieranie tego, co opowiadają inni ludzie, odsiewanie plew i dostarczanie mi uzyskanych w efekcie ziaren prawdy.

– A przeprowadzka do Farnham? – Sherlockowi trzęsły się ręce i musiał ścisnąć je nogami pod stołem, żeby nikt tego nie spostrzegł. Czuł się zdradzony. – Czyj to był pomysł?

Stone spojrział na Mycrofta. Ponieważ brat Sherlocka milczał, skrzypek powiedział:

– Kiedy wróciłem do Anglii, pan Holmes poprosił mnie, żebym na jakiś czas został w kraju i sprawdził, jakie nastroje panują w społeczeństwie. Zaproponowałem, że mógłbym zacząć w Hampshire. – Umilkł, zdenerwowany. – Chciałem się przekonać, czy robisz jakieś postępy w grze.

– Kupiłem nowe skrzypce – powiedział cicho Sherlock.

– Chętnie je zobaczę.

Mycroft kaszlnął.

– Pan Stone będzie nam towarzyszył w podróży do Rosji. Bywał już w tym kraju, a poza tym orkiestrze teatralnej brakuje skrzypka. – Urwał na chwilę, po czym mówił dalej łagodniejszym tonem: – Sherlocku, wierz mi, nigdy bym tego nie zrobił, gdyby nie chodziło o twoje dobro, i nie pozwoliłbym, żebyś się o tym dowiedział, gdyby to nie było absolutnie konieczne.

– To nie załatwia sprawy. – Sherlock wstał. – Wychodzę.

– Przyjdź do King's Theatre w Whitechapel o czwartej po południu – polecił mu Mycroft. – Mamy tam poznać naszych towarzyszy podróży.

Sherlock bez słowa skierował się do wyjścia. Za plecami usłyszał jeszcze słowa Mycrofta:

– Nie, niech idzie. Za jakiś czas zrozumie, że to, jak postąpiłem, było logiczne i niezbędne dla jego bezpieczeństwa.

Wyszedł z hotelu na ulicę. Zaczęło padać, czuł na twarzy zimne krople, ale nie dbał o to. Wszystko wokół było szare i nieciekawe. Bez sensu.

Skręcił w lewo i ruszył przed siebie, nie zastanawiając się, dokąd idzie. Stanowczo stłumił wszelkie myśli o bracie, Rufusie Stonie czy podróży do Ameryki, która okazała się w dużej mierze fikcją. Po prostu szedł i obserwował. Niczym jakaś ruchoma maszyna licząca wchłaniał fakty z otoczenia i pozwalał, by jego umysł znajdował powiązania między nimi. Stojący w bramie mężczyzna w fularze w czerwone kropki zaraził się jakąś chorobą, zapewne w Indiach, i umrze w ciągu tygodnia, sądząc po wyglądzie jego skóry. Zegarek, na który spoglądał dżentelmen w cylindrze, nie należał do niego; najprawdopodobniej ukradł go komuś przed kilkoma dniami. Żebrak na rogu ulicy, siedzący na wózku, z tabliczką na szyi głoszącą, że ma sparaliżowane nogi, przemierzał codziennie wiele mil, o czym świadczyły jego zniszczone buty. Wszystko to udało się

Sherlockowi wywnioskować na podstawie obserwacji i żaden z tych faktów nie miał dla niego najmniejszego znaczenia.

Podczas tej wędrówki stracił poczucie czasu i kiedy spojrzął na zegarek, okazało się, że jest prawie czwarta i że znalazł się w pobliżu Whitechapel. Jego mózg bez udziału świadomości poprowadził go we właściwym kierunku.

Teatr ukryty był w małej alejce odchodzącej od głównej ulicy. Miał fronton z czerwonej cegły podparty białymi kolumnami, do drzwi wiodły cztery schodki.

Sherlock wszedł po nich ospale i znalazł się w foyer. Nikogo tam nie było – okienko kasy przesłaniała roleta – ale wyczuwał esencję tłumów, które musiały regularnie tędy przepływać: woń dymu tytoniowego, wody toaletowej i perfum, którymi przesiąknięte były zdobione stiukami ściany i sufit.

Po obu stronach foyer znajdowały się schody wiodące zapewne na balkon. Zauważył też drzwi, którymi, jak sądził, wchodziło się na parter. Natomiast mniejsze przy kasie prowadziły prawdopodobnie na zaplecze, tam gdzie były garderoby i pokój dla aktorów oraz wejście na scenę.

Sherlock stał przez chwilę, wdychając teatralne aromaty, słuchając westchnień i jęków budynku, błędząc wzrokiem po starych plakatach za szkłem wiszących na ścianach. To miejsce było w pewnym sensie żywe. Był już w wielu budynkach publicznych, ale nigdy wcześniej nie czuł się tak jak tu; w tym teatrze pozostało coś dobrego po ludziach, którzy w nim przebywali. Szkoła dla chłopców w Deepdene cuchnęła rozpaczą, w klubie Diogenes panowała nadęta, drażliwa atmosfera, za to w King's Theatre czuł się jak w domu, w którym nigdy dotąd nie był.

Podszedł do głównych drzwi na widownię i je otworzył.

Przestrzeń wewnątrz była mniejsza, niż się spodziewał. Po obu stronach ciągnęły się łukiem rzędy foteli obitych wytartym, zielonym pluszem, opadające ku scenie. Balkon wisiał nad widownią niczym ciemna, niska chmura. Opierał się na artystycznie kutych żelaznych kolumnach, pomalowanych na brązowo, zielono i czerwono i przypominających smukłe, kwitnące drzewka. Po obu stronach znajdowały się łoże o tylnej ścianie przesłoniętej kotarą, gdzie wydzielono miejsca dla tych, których było na nie stać. Sherlock wiedział, że ceny biletów są różne: parter był najtańszy, balkon trochę droższy, a najwięcej kosztowały miejsca w łożach,

choć pewnie i tak były stosunkowo tanie, biorąc po uwagę, że był to mały teatr na uboczu. Między fotelami było przejście prowadzące do sceny.

Stała na niej grupa ludzi, wśród których dostrzegł Mycrofta. Wyglądał olśniewająco w płaszczu, cylindrze i z laseczką. Przez chwilę Sherlock widział go jako człowieka, nie jako swego brata, i był to człowiek obdarzony naturalnym autorytetem i władzą.

Z boku, nieco z tyłu, zobaczył Rufusa Stone'a. Rudowłosy, niedźwiedziowaty mężczyzna, którego Sherlock widział już wcześniej – pan Kyte – stał obok Mycrofta, nadal w swym wielkim płaszczu, a naprzeciwko nich była grupa ludzi, jak sądził Sherlock, aktorów i personelu. Większość z nich miała na sobie staromodne stroje: panie były w bogato zdobionych aksamitnych sukniach, panowie zaś w koszulach obszytych koronkami i w bufiastych spodniach.

– O, Scott – powiedział Mycroft, a jego głos zahuczał na widowni. – Chodź tu do nas.

Sherlock zszedł na dół. Tuż przy pierwszym rzędzie foteli znajdowała się jeszcze niewielka ogrodzona przestrzeń przeznaczona zapewne dla orkiestry towarzyszącej przedstawieniom. Spojrzał w prawo i w lewo. Po obu stronach z widowni na scenę wiodło pięć schodków. Wybrał te z prawej.

Kiedy wszedł na scenę, stwierdził ze zdziwieniem, że jest lekko pochyła. Jej przód znajdował się mniej więcej o stopę niżej niż tył. Przypuszczał, że dzięki takiemu nachyleniu publiczność lepiej widzi spektakl, zwłaszcza widzowie zajmujący najtańsze miejsca, którzy czasem muszą zadzierać głowę, by dojrzeć aktorów. Na skraju sceny ustawiono szereg lamp gazowych z reflektorami, a pośrodku była zapadnia.

Zbliżył się do Mycrofta i reszty.

– Już przedstawiałem państwu Rufusa Stone'a, który będzie grał na skrzypcach – rzekł wyniośle Mycroft. – Teraz pozwólcie, że przedstawię wam mego protégé, pana Scotta Eckersleya. Za łaskawą zgodą pana Kyte'a Scott dołączy do trupy jako pomocnik. – Odwrócił się do Sherlocka. – Scott, oto aktorzy i personel. – Wskazał wysokiego mężczyznę o długich blond włosach zaczesanych do tyłu i szerokim czole, ubranego w kostium. – To jest pan Thomas Malvin, główny aktor zespołu.

Malvin skinął Sherlockowi głową, ledwo zaszczycił go spojrzeniem.

– A to – ciągnął Mycroft, pokazując zamasztyłym ruchem ręki piękną, bladą kobietę o zielonych oczach i kruczoczarnych włosach, która

uśmiechnęła się do Sherlocka – to jest panna Aiofe Dimmock. Gra rolę amantek w parze z panem Malvinem.

Sherlock odwzajemnił jej uśmiech. Aiofe była co najmniej dziesięć lat od niego starsza, ale coś w jej zielonych oczach sprawiło, że serce zabiło mu szybciej.

Oderwawszy od niej wzrok, powiódł spojrzeniem za dłońią Mycrofta.

– Pan William Furness i pani Diane Loran są nieocenionym wsparciem dla dwojga głównych aktorów – powiedział.

William Furness był zażywnym mężczyzną z wianuszkami farbowanych czarnych włosów okalającym tył głowy, od ucha do ucha. Miał nos spuchnięty i gruzłowaty, a policzki z widocznymi czerwonymi żyłkami dopełniały wyglądu opoja. Być może na czas występów dawało się to zamaskować makijażem, ale nic nie mogło ukryć kalafiorowatego nosa, chyba że ktoś siedział wystarczająco daleko. Furness uniósł dwa palce do czoła w żartobliwym salucie. Pani Loran była damą o matczynym wyglądzie, z włosami upiętymi w kok. Sprawiała wrażenie, jakby pewniej czuła się w kuchni niż na scenie. Posłała Sherlockowi serdeczny uśmiech. Podejrzał, że gdyby stał bliżej, pewnie by go uściskała.

– Wraz z panem Kyte'em – kontynuował Mycroft – który nie tylko kieruje zespołem, lecz także często występuje na scenie razem z panem Malvinem i panią Dimmock, jest to piątka głównych aktorów. Pozostali są statystami w scenach zbiorowych albo grają pomniejszych role, albo zajmują się zmianą dekoracji. Oto, od lewej do prawej, Rhydian, Judah, Pauly i Henry.

Sherlock skinął głową czterem chłopcom mniej więcej w jego wieku, którzy stali tuż za głównymi aktorami. Rhydian był chudy i smagły, o ostrym podbródku i gęstych brwiach. Judah także miał szczupłą sylwetkę, ale włosy – tak jasne i delikatne, że prawie białe i zdające się unosić wokół jego głowy, oczy zaś o lekko różowawym odcieniu. Bliźniacy Pauly i Henry byli muskularni i piwnoocy. Jedyna różnica między nimi polegała na tym, że Pauly'emu – Sherlock zakładał, że to właśnie on, bo stał bliżej Mycrofta – brakowało małego palca lewej dłoni, który musiał stracić w jakimś wypadku.

Z pograżonych w półmroku kulis dobiegł odgłos czyjś kaszlu. Sherlock dostrzegł tam wysokiego mężczyznę, którego usta przesłaniały gęste, czarne wąsy. Stał z rękami w kieszeniach, jakby odchylony lekko do tyłu, i przyglądał się ludziom na scenie. Oczy błyskały mu w półmroku.

– A tak, byłbym zapomniał – powiedział Mycroft. – Pozostali muzycy dołączą do nas później, a to jest pan Eves. Dyrygent i aranżer.

– Panie Eves – przywitał się z nim Sherlock.

– Panie... Eckersley – powiedział dyrygent sucho. – Miło mi pana poznać.

– Panie Kyte, drodzy państwo – oświadczył Mycroft, a raczej pan Sigerson – dziękuję za okazane zaufanie, jestem wdzięczny, że przyjęliście nas do swego zespołu i mam nadzieję, do swych serc. Pan Kyte widział moje referencje, wie zatem, że będę odpowiedzialnie służył zespołowi, podobnie jak służyłem innym zespołom w przeszłości. Zobowiązuję się jako dyrektor starać się ze wszystkich sił, by ten teatr rozwijał się i rozkwitał. Aby to się udało, musimy przede wszystkim zadbać, by nasza nieodległa podróż do Moskwy przebiegła bez zakłóceń. Zapewniam, że wszelkie sprawy formalne załatwione zostaną szybko i bez kłopotu, tak byście mogli skupić się na działaniach artystycznych. Zaufajcie mi, a was nie zawiodę.

Po tych słowach dało się słyszeć skąpe brawa.

– A teraz – zagrzemiał pan Kyte – wracajmy do prób. Za pięć minut widzę wszystkich na scenie. Pamiętajcie, za trzy dni jedziemy do Moskwy!

ROZDZIAŁ 11



Następny tydzień minął im niczym w gorączkowym śnie. Po kilku dniach w Londynie, kiedy Sherlock zapoznawał się z ekipą teatralną, a Mycroft załatwiał ostatnie sprawy związane z ich wyjazdem, wszyscy wsiedli do pociągu na dworcu Charing Cross. Sherlock denerwowałby się bardziej, gdyby to był dworzec Waterloo, bo wciąż pamiętał pościg w podziemnych korytarzach, ale stacja Charing Cross była mniejsza i nie budziła żadnych złych skojarzeń. Pociąg zawiózł ich przez znajomy angielski krajobraz do Dover, gdzie weszli na pokład statku płynącego przez kanał La Manche do Francji. W Dunkierce złapali kolejny pociąg i za trzy dni mieli znaleźć się w Moskwie. W trzy dni przez całą Europę! Nie do wiary!

Członkowie trupy teatralnej musieli zadowolić się bardzo skromnym wyposażeniem przedziałów. Siedzenia były skąpo wyściełane, brakowało łóżek. Wszyscy spali więc tam, gdzie siedzieli, w miarę możliwości wyciągnięci na siedzeniach.

Muzycy, których Sherlockowi nie przedstawiono, trzymali się razem i stale albo spali, albo grali w warcaby na małym, rozkładanym stoliku. Tylko Mycroft i pan Kyte mieli osobne kuszetki, stosownie do zajmowanych stanowisk – dyrektora oraz kierownika Trupy Teatralnej Kyte’a. Większość czasu spędzali samotnie.

Sherlock całą podróż przesiedział z nosem przyklejonym do szyby, przyglądając się migającemu za oknem krajobrazowi. Nazwy, które dotychczas widywał tylko w atlasach, nagle na jego oczach nabierały konkretnych kształtów: kraje takie jak Belgia i Prusy; miasteczka i wielkie miasta: Bruksela, Kolonia, Berlin, Warszawa i Mińsk...

Gdy pociąg przejeżdżał akurat przez wielkie połacie lasów jodłowych, obok Sherlocka usiadła pani Loran.

– Wydajesz się samotny – powiedziała. – Pomyślałam sobie, że może chciałbyś porozmawiać.

– Wszystko w porządku. Tylko... fascynuje mnie to, że niektóre rzeczy się zmieniają, gdy podróżujemy, na przykład języki i jedzenie, a inne, takie jak rośliny i zwierzęta, pozostają mniej więcej takie same. Na przykład zawsze są ptaki i koty.

– I kiełbaski – zauważyła. – Chyba nie ma takiego miejsca na świecie, gdzie nie byłoby kiełbasek. – Przez chwilę patrzyła na niego współczująco. – Twój mentor, pan Sigerson, chyba nie ma dla ciebie zbyt wiele czasu – rzekła w końcu.

– Jest bardzo zajęty – odparł. Czuł, że powinien stanąć w obronie Mycrofta.

– Ale skoro już wziął cię pod swoje skrzydła, powinien chyba trochę się tobą zająć, a nie zostawiać samemu sobie. – Spojrzała na niego z ukosa. – Nie bardzo się przejmuję, czy wszystko u ciebie dobrze.

– Ma dużo rzeczy na głowie. – Sherlock poczuł, że lepiej zmienić ten niewygodny temat. – Czy od dawna gra pani w teatrze?

Wyjrzała przez okno i zapatrzyła się gdzieś w dal.

– Och, czasem mam wrażenie, jakbym grała przez całe swoje życie – mruknęła.

W miarę jak posuwali się coraz dalej na wschód, krajobraz się zmieniał. Kawalek Francji i sporą część Belgii, przez którą jechali, pokrywały ciemnozielone lasy na zmianę z jasnozielonymi polami. Gdy minęli Prusy i znaleźli się w Rosji, pojawiło się więcej trzęsawisk i bagien, a temperatura gwałtownie spadła, tak że mniejsze sadzawki były zamarznięte, a na ziemi leżał śnieg. Ludzie wydawali się niżsi i bardziej smagli, ale może to było tylko złudzenie wywołane przez niskie chmury wiszące stale nad ziemią.

W pewnym momencie Sherlock przeszedł się korytarzem wagonu, żeby zobaczyć, co robi Mycroft. Jego brat siedział w przedziale, wsparty na poduszkach, i był wyraźnie niezdrów. Wszędzie wokół niego leżały otwarte książki, a on pisał coś w małym notatniku. Gdy Sherlock zapukał i otworzył drzwi, Mycroft podniósł wzrok.

– Tak?

– Chciałem sprawdzić, czy dobrze się czujesz.

– Nie, nie czuję się dobrze. Piekielny stukot tego pociągu zaburza mój system trawienny. Staram się skupić na książkach, ale nie na wiele się to zdaje.

– Czy mogę coś dla ciebie zrobić?

– Zostaw mnie samego, żebym mógł cierpieć w spokoju – odparł ostro Mycroft. – W tej chwili nie mam ochoty na pogawędkę.

Sherlock wycofał się na korytarz i zamknął za sobą drzwi. Przez chwilę stał przed przedziałem brata, nie wiedząc, co począć. Tak samotny i nikomu niepotrzebny nie czuł się chyba od czasu, kiedy po raz pierwszy znalazł się w domu stryjostwa w Farnham.

Odwrócił się, żeby odejść, ale wtedy dostrzegł coś kątem oka. Leżało pod drzwiami przedziału pana Kyte'a: niewielki brązowy przedmiot, wielkości mniej więcej kciuka, z przyczepionym kawałkiem cienkiego sznurka lub nici. Pochylił się, by go podnieść. Kiedy ujął to coś w palce, lekko ugięło się pod naciskiem, i wtedy zdał sobie sprawę, że to jest mysz. Martwa. Coś, co uznał za kawałek sznurka, było w istocie jej ogonem.

Zdechła mysz? Może w pociągach są myszy, tak samo jak w domach. Rozejrzał się, zastanawiając się, co z nią zrobić, a wtedy drzwi do przedziału pana Kyte'a uchyliły się i potężny, rudowłosy brodacz wyjrzał przez szparę.

– Tak? – zapytał chrapliwie. – O co chodzi?

– Nic takiego – odparł Sherlock. – Zajrzałem tylko do pana Sigersona.

Zdechłego gryzonia wsunął do kieszeni. Z jakiegoś powodu, którego sam nie rozumiał, nie chciał mówić panu Kyte'owi o swoim znalezisku.

– Jeśli się nudzisz – sapnął pan Kyte – idź pogadać z chłopakami. Będziesz musiał pracować z nimi przy tłach i rekwizytach. Powinieneś się z nimi zapoznać.

Po czym zamknął Sherlockowi drzwi przed nosem.

Podczas ostatnich dni w Londynie, kiedy uczył się, jak za pomocą sznurów podciągać tła i przesuwac rekwizyty na scenie, Sherlock całkiem nieźle poznał czterech najmłodszych członków trupy teatralnej. Aby zabić czas, w końcu uległ ich zachętom, żeby zagrał z nimi w ich ulubione gry. W ciągu jednego dnia nauczyli go zasad wista, tryktraka i bakarata, a dzięki swojemu matematycznemu zacięciu – nie wspominając o chłonnej pamięci typowej w rodzinie Holmesów – Sherlock szybko pojął niuanse poszczególnych gier.

Fascynowało go to, jak bliźniacy radzą sobie z kartami. Posługiwali się talią niczym wytrawni bywalcy kasyna; tasowali z łatwością, rozdawali płynnie i precyzyjnie. W końcu oczywiście zapytał ich, jak to robią, pokazali mu więc różne techniki tasowania: przełożenie, metodę

hinduską, przeplataną, przekładanie w rękę i na stole. Jak mu powiedzieli, to kwestia zręczności i wprawy. Rufus Stone mówił to samo o grze na skrzypcach, więc kiedy skończyli rozgrywkę, pożyczył talię i przez następnych kilka godzin cierpliwie próbował opanować różne techniki tasowania. Dzięki smukłym palcom oraz wytrwałości szybko się tego nauczył i potem tasował niemal tak samo dobrze jak Henry i Pauly.

Trzeciego dnia wyglądanie przez okno straciło już swój urok. Sherlock zajął się za to obserwowaniem aktorów i aktorek – pana Malvina, pana Furnessa, pani Dimmock oraz pani Loran. Korzystając z umiejętności wpojonych mu przez Amyusa Crowe’a, próbował wywnioskować coś na temat ich dotychczasowego życia i charakterów, ale szybko poczuł się zdezorientowany. Gdy tylko wydawało mu się, że czegoś już się dowiedział o którymś z nich, pojawiała się coś, co podważało jego konkluzje. Może miało to związek z umiejętnościami aktorskimi tych ludzi – może w istocie obserwował różne postacie ujawniające się w nich nawet bez ich świadomości.

W pewnym momencie, gdy pociąg z turkotem toczył się przez szczególnie bagnisty i nudny krajobraz, Sherlock zauważył, że pan Furness – starszy, korpulentny aktor z widocznymi na skórze żyłkami i nosem jak kalafior – trzyma na kolanach skrzyneczkę, w której coś przekłada. Gdy spostrzegł, że Sherlock go obserwuje, zachęcił chłopca, żeby podszedł bliżej.

– Przybory do charakteryzacji – powiedział. Jego oddech pachniał dżinem. – Chyba już widziałeś coś takiego?

– Ale nie z bliska – wyznał Sherlock. – Zwykle jestem za kulisami.

– Ten zestaw mam od lat – kontynuował pan Furness. – Są tu szminki robione z pszczelego wosku i baraniego łoju, z dodatkiem cynku, ołowiu, sadzy, koszenili, ultramaryny, ochry albo błękitu pruskiego, które nadają im barwę. Jest też spalony korek oraz sadza do rzęs i brwi, spalony papier do robienia cieni, mastyks do przyklejania peruk oraz sztuczne włosy do udawania bród i wąsów. Jeśli zręcznie się nimi posłużysz, możesz całkowicie zmienić kształt twarzy, tak że będzie nie do rozpoznania, przynajmniej dla kogoś, kto patrzy z daleka.

Widząc pełen niedowierzania wzrok Sherlocka, ciągnął:

– Jeśli zaznaczysz kości policzkowe i nos jaśniejszym barwnikiem, twoje rysy staną się przesadnie podkreślone. Jeśli nałożysz trochę cieni w zagłębienia, doda to twarzy wyrazu. Zmieniając miejsca jaśniejsze

i ciemniejsze, możesz uzyskać obwisłe policzki, zmarszczki na czole, worki pod oczami i wystające żyły. A kiedy wszystko inne zawiedzie – wyjął ze skrzynki metalową puszkę – jest jeszcze kit.

– Kit? – zapytał Sherlock ze zdziwieniem.

– Za jego pomocą możesz zmienić kształt nosa, podbródka, każdej części, która się zanadto nie rusza. Kit nie jest elastyczny, więc jeśli nałożysz go na policzki, szybko się pokruszy, ale nie uwierzyłbyś, jak bardzo inny kształt nosa i podbródka może zmienić twój wygląd. Nawet najlepszy kumpel cię nie pozna!

W końcu, kiedy Sherlock stracił już rachubę godzin i dni, a podróż złała mu się w jedną beczasową plamę, pociąg dojechał do Dworca Kurskiego w Moskwie.

Wysoki mężczyzna w czarnym fraku, czarnym, obszytym futrem płaszczu oraz czarnym cylindrze stał tuż za barierką przy wejściu na peron. Miał krótko przystrzyżoną brodę i wąsy oraz cerę jasną jak porcelana. Wyglądał, jakby kogoś wypatrywał, i kiedy tylko dostrzegł całą ich grupę, uśmiechnął się i uniósł dłoń.

Pan Kyte pierwszy przeszedł przez barierkę. Wyciągnął rękę, ale wtedy mężczyzna zrobił krok do przodu i uściskał go serdecznie. Mycroft, który szedł tuż za panem Kyte'em, cofnął się szybko.

Brodacz rozmawiał przez chwilę z panem Kyte'em i Mycroftem, po czym odwrócił się do pozostałych.

– Nazywam się Morodow – powiedział po francusku, z silnym akcentem.
– Piotr Iljicz Morodow. Mam przyjemność i zaszczyt reprezentować księcia Jusupowa, który jest mecenasem waszej wizyty w naszej ukochanej ojczyźnie. Chciałbym państwa zapewnić, że dopracowaliśmy każdy szczegół, aby wasz pobyt był nie tylko przyjemny, lecz także owocny pod względem artystycznym. Teraz proszę za mną. Zawiozę państwa do hotelu Słowiański Bazar, w którym zarezerwowałem dla was pokoje.

Pstryknął palcami, a wtedy tragarze, ubrani w niechlujnie uszyte, niedopasowane uniformy z zielonej serży, skoczyli, by zabrać torby i walizy, które przywiozła ze sobą trupa. Wyszli przed dworzec, gdzie czekały już na nich powozy.

Było zimno, a na ziemi leżał śnieg. Nie było to jednak brązowe błoto, które powstawało na angielskich ulicach, kiedy wozy i karety mieszały śnieg z nawozem i słomą, lecz głęboki, biały puch. Chrząścił im pod

stopami, gdy zmierzali do trzech powozów, które miały zawieźć ich do hotelu.

Sherlock wraz z resztą trupy przyglądał się ze zdumieniem rozmaitym środkom transportu zapełniającym ulicę przed dworcem. Przywykł do płaskich, wiejskich wozów w Farnham oraz dorożek i powozów w Londynie, a tutejsze pojazdy były zupełnie inne. Przypominały raczej sprzęt gimnastyczny, z którym miał do czynienia w szkole w Deepdene, niż coś, na czym ktokolwiek chciałby dobrowolnie jechać. Były to długie, wąskie deski, z pochyłymi bokami i podpórką pod nogi. Pasażerowie siedzieli na nich okrakiem, tak jakby jechali konno, a nie pojazdem zaprzężonym w konia. Całość poruszała się na czterech kołach, woźnica siedział na przedzie. Ten środek transportu wyglądał na niewygodny dla panów i zupełnie nieodpowiedni dla dam w sukniach.

Aktorzy patrzyli, jak tragarze ładują ich torby i walizki na tyły powozów, po czym wsiedli do środka. Jazda ulicami Moskwy była krótka, ale Sherlocka zdążyły zafascynować ogromne i bardzo stare budynki. Wszystko tu wydawało się większe niż w Anglii – przy tych budowlach ludzie wyglądali niemal jak karły przemykające się w ich cieniu i zgarbione z zimna albo jak myszy biegające pod ścianami. A kolory! Przyzwyczał się do budynków barwy kamienia albo cegły, albo drewna, ale w Moskwie co drugi budynek był pomalowany. Niektóre na różowo, inne na niebiesko albo zielono, wiele z nieznanym Sherlockowi przyczyn było żółtych. Może Rosjanie mieli za dużo żółtej farby.

Kiedy przyjechali do hotelu i Piotr Iljicz Morodow wszystkich zameldował, po czym pożegnał się i odjechał, Mycroft i pan Kyte zebrali cały zespół w hallu.

– Przygotowałem harmonogramy – oświadczył Mycroft – z opisem tego, co będzie się działo w ciągu kilku następnych dni. – Zakaszłał, przesłaniając dłonią usta. – Za chwilę je wam rozdaję, ale pozwólcie, że przedstawię wszystko w skrócie. Po pierwsze jesteśmy tu na zaproszenie księcia Jusupowa. Jest to znany mecenas sztuki i od dawna pragnął ujrzyć na scenie angielską trupę teatralną. Na najbliższe trzy dni oddał do naszej dyspozycji Teatr Mały. Jest to niewątpliwie jeden z najlepszych teatrów w Moskwie, a to znaczy, że i w całej Rosji.

– Ile jest tam miejsc? – zapytał pan Malvin, główny aktor, donośnym głosem, jakby już stał na scenie. – Jestem szanowanym aktorem. Nie występuję dla garstki ludzi.

– Na widowni sceny głównej mieści się dziewięćset pięćdziesiąt osób, a na widowni drugiej sceny siedemset pięćdziesiąt.

– A my na której z nich gramy? – wtrąciła się panna Aiofe Dimmock, główna aktorka.

– Na drugiej – odparł bez zająknięcia Mycroft. – Ponieważ jest ona mniejsza, wydaje się bardziej stosowna do naszych kameralnych przedstawień.

Pan Kyte wysunął się naprzód:

– Nie chciałem, aby subtelności waszej gry aktorskiej utonęły w gwarze tłumu – wyjaśnił.

Panna Dimmock skinęła głową i skromnie odsunęła się na bok.

– Rada jestem, że pan o tym pomyślał – powiedziała. – Dziękuję.

– Chcę koniecznie wypróbować wcześniej tę scenę – rzekł głośno pan Malvin. – Nie mogę grać na deskach teatru, w którym nigdy wcześniej nie stała moja stopa. Muszę ocenić akustykę, tak by mój głos docierał do najbardziej oddalonych miejsc.

– Oczywiście. Zaraz do tego dojdziemy. – Mycroft urwał, spoglądając na członków trupy. – Jak wicie, zostaliśmy zaangażowani do trzech przedstawień podczas trzech kolejnych wieczorów. Na pierwszy dzień książę Jusupow rozesłał zaproszenia do samej śmietanki rosyjskich elit. Jestem pewien, że będzie to wydarzenie towarzyskie sezonu.

– Czy przyjdzie car? – zapiszczała pani Loran zza ramienia Sherlocka. – Och, mam nadzieję, że przyjdzie! – Zerknęła na Sherlocka i dodała poufnym tonem: – Kiedy byłam małą dziewczynką, najbardziej na świecie pragnęłam poślubić księcia. Teraz już na to za późno, ale wciąż mogę mieć marzenia.

– Niestety car jest zajęty sprawami państwowymi. – Mycroft rozłożył ręce w przepaszającym geście. – Ale może być pani pewna, że na widowni zasiądzie mnóstwo utytułowanych osób: książęta i księżniczki, hrabiowie i hrabiny, baronowie i baronessy. Rosyjska arystokracja jest bardzo liczna i pierwszego wieczoru będzie tu obecna większość ludzi tej sfery. Przybędzie również brytyjski ambasador na dworze cara wraz z małżonką.

– Och, cudownie! – wykrzyknęła pani Loran, klaszcząc w dłonie. Nachyliła się ku Sherlockowi. – Może któryś z nich ulituje się nad damą w średnim wieku i uczyni ze mnie uczciwą kobietę – wyszeptwała. Uśmiechnął się do niej. Podejrzewał, że pani Loran byłaby aż za dobrą żoną dla każdego rosyjskiego arystokraty.

Mycroft zwrócił się teraz do reszty zespołu.

– Podczas każdego z trzech wieczorów przedstawicie wybór scen ze sztuk wielkich brytyjskich dramaturgów: Williama Szekspira, Bena Jonsona, Christophera Marlowe’a i Johna Webstera. Panie Kyte – odwrócił się do stojącego za nim zwalistego rudzielca – rozumiem, że będzie pan zapowiadał sceny i objaśniał ich kontekst publiczności.

– Taki mam zamiar – zapewnił pan Kyte. – Będę mówił po francusku, chociaż gramy po angielsku.

– Znakomicie. – Mycroft odwrócił się ku młodszym członkom zespołu: ciemnowłosemu Rhydianowi, blademu Judah oraz bliźniakom Henry’emu i Pauly’emu. – Jeśli chodzi o scenografię i dekoracje, zapewniano mnie, że teatr posiada rozmaite tła, dzięki którym można przedstawić dowolne scenerie, od zamku Elsynor do Lasu Ardeńskiego, a także mnóstwo mebli i innych rekwizytów, które mogą okazać się przydatne. Proponuję, żebyśmy z samego rana udali się wszyscy do teatru, a kiedy aktorzy będą wykonywać ćwiczenia głosowe, aby sprawdzić właściwości akustyczne sali, wy, chłopcy, z pomocą pana Kyte’a zorientujecie się we wszystkim. Ustalcie, których dekoracji będziecie chcieli użyć, a personel teatru przygotuje je po południu i zapozna was ze sposobami podnoszenia i opuszczania tła.

– To tylko sznurki – stwierdził Henry. – Ostatecznie chodzi tylko o sznurki i o to, jak za nie pociągać.

– Dziś po południu, kiedy obsługa teatru będzie przygotowywać scenografię, odbędziemy, jak rozumiem, pełną próbę z udziałem całego zespołu. – Przeniósł spojrzenie na wysokiego, wąsatego pana Evesa i gromadkę muzyków stojących za jego plecami. Był tam także Rufus Stone, najwyraźniej już w dobrej komitywie z innymi członkami orkiestry.

– Próba obejmie także numery muzyczne będące częścią przedstawienia, więc obecność wszystkich muzyków jest niezbędna.

Pan Eves skinął głową.

– Przybędziemy, niechże się pan nie troska.

– Nie mam wątpliwości. – Mycroft przesunął wzrokiem po innych członkach trupy. – Drugiego wieczoru na widowni zasiądą raczej reprezentanci sfer artystycznych niż utytułowanych. A trzeciego bilety będą sprzedawane szerokiej publiczności. Możemy chyba założyć, że będziecie występować przed przedstawicielami wyższej klasy średniej tego pięknego miasta. – Urwał i założył ręce na wystającym brzuchu. –

Pamiętajcie, że jesteście ambasadorami sztuki swojego kraju. – Klasnął w dłonie. – A teraz na kolację, a potem do łóżek. Widzimy się jutro o ósmej na śniadaniu, a potem ruszamy do teatru!

Członkowie trupy ruszyli w kierunku restauracji. Opiekuńcza pani Loran przystanęła obok Sherlocka i zmierzwiła mu ręką włosy.

– Scotcie, może spotkamy się w hotelowym lobby po kolacji? – zapytała.
– Liczyłam na to, że pomożesz mi z moją rolą, czytając na głos partie innych postaci.

Sherlock już miał się zgodzić, bo coraz bardziej lubił panią Loran, ale zanim odpowiedział, zerknął na Mycrofta. Jego brat najwyraźniej usłyszał jej propozycję i dyskretnie pokręcił głową.

– Wielka szkoda – odparł więc Sherlock – ale muszę się wcześniej położyć do łóżka, żeby się wyspać.

– Wobec tego może jutro po śniadaniu – powiedziała, uśmiechając się, i odeszła.

Mycroft skinął na Sherlocka i Rufusa Stone'a, żeby do niego dołączyli.

– Wybaczcie, że psuję wam wieczór – powiedział do nich – ale im więcej czasu poświęcimy na pogawędki z tymi ludźmi, tym bardziej prawdopodobne, że coś nam się wymysknie, a oni zorientują się, że nie jesteśmy tymi, za których się podajemy. Najlepiej być uprzejmym, ale zachować dystans. – Popatrzył na Stone'a, a potem na Sherlocka. – Mielśmy męczącą podróż – rzekł cicho – i nie widzę powodu, aby nadweręzać siły dziś wieczór. Odpocznijcie. Jutro, kiedy reszta zespołu będzie w teatrze, Sherlock pójdzie ze mną do mieszkania mojego agenta. Chciałbym dowiedzieć się, co właściwie się z nim stało. – Spojrzał na Stone'a. – Obawiam się, że pan powinien udać się do teatru z resztą muzyków. Jest pan pierwszym skrzypkim, więc pana nieobecność nie pozostanie niezauważona.

– Ale może mnie pan potrzebować – powiedział Stone. – Jeśli coś pójdzie nie tak.

– Jeśli coś pójdzie nie tak, to myślę, że nic nam nie pomoże – odrzekł ponuro Mycroft. – Jesteśmy w obcym kraju, w którym jakakolwiek myśl lub działanie wbrew carowi są bezlitośnie dławione zarówno przez oficjalną, jak i tajną policję. Ale musimy zrobić to, co należy.

– Więc czemu zabiera pan Sherlocka? – Stone nie ustępował. – Jeśli to niebezpieczne, powinien pójść razem ze mną do teatru.

Mycroft potrząsnął swą dużą głową.

– To logiczny argument, ale mogę potrzebować bystrych oczu i błyskotliwego umysłu Sherlocka oraz jego sprawnych mięśni. Być może trzeba będzie wejść do mieszkania przez okno, do którego to zadania zupełnie się nie nadaję. A gdy już znajdziemy się w środku, być może zauważy jakąś poszlakę, której ja bym nie dostrzegł. A w każdym razie będzie mógł pilnować, czy nie nadchodzi policja, kiedy ja będę w środku. A jeśli coś mi się stanie, wróci i pana ostrzeże.

Stone przytaknął z wahaniem.

– A zatem dobrze. Jeśli to wszystko...

Gdy Mycroft skinął głową, Stone odszedł w kierunku restauracji.

Mycroft spojrział krytycznie na Sherlocka.

– Widzę, że coś cię dręczy.

Sherlock wzruszył ramionami.

– To nieważne.

– Ależ owszem. Masz do mnie pretensje, bo nie powiedziałem ci, że Rufus Stone dla mnie pracuje, i masz żal do Stone'a, że nie zdradził ci, że jest moim agentem. Uważasz, że obaj cię zawiedliśmy i że nie możesz nam ufać.

Sherlock uparcie odwracał wzrok, nie chcąc spojrzeć Mycroftowi w oczy.

– Sherlocku, czy ci się to podoba, czy nie, moim obowiązkiem jest się tobą opiekować. Powierzenie cię opiece Rufusa Stone'a, kiedy ja nie mogłem cię pilnować, było tego częścią.

– Myślałem... – odezwał się Sherlock, sam zaskoczony własnymi słowami – myślałem, że jest moim przyjacielem.

– Ludzie mogą występować w wielu rolach jednocześnie – zauważył Mycroft. – Jestem twoim bratem, ale jednocześnie urzędnikiem brytyjskiego rządu. Amyus Crowe to tropiciel przestępców, ale też twój guwerner. Pan Stone jest skrzypkiem, ale też od czasu do czasu moim agentem. Co, nawiasem mówiąc, nie przeszkadza mu być twoim przyjacielem. – Położył dłoń na ramieniu Sherlocka i uściśnął je lekko. – Jeśli to cię pocieszy, kiedy pan Stone wrócił z Ameryki, powiedział mi, że zaczął cię darzyć niemal braterskim uczuciem. Lubi twoje towarzystwo. Zapytał mnie, czy uważam to za problem. Powiedziałem mu, że nie. Wolałbym, żeby dbał o twoje dobro dlatego, że sam tego chce, a nie dlatego, że ja mu tak kazałem.

Supel, od wielu dni zaciśnięty w piersi Sherlocka, zaczął się nieco rozluźniać. Nie całkowicie, ale jednak.

– A teraz – powiedział Mycroft – popróbujmy przysmaków tutejszej kuchni. Mówiono mi, że rosyjscy kucharze niemal dorównują francuskim.

Poszli do restauracji o wysokim, łukowato sklepionym suficie. Jej ściany obwieszono obrazami przedstawiającymi żołnierzy w jaskrawych mundurach – błękitnych, zielonych i czerwonych – którzy jeździli konno i walczyli ze sobą na szable.

Mycroft spostrzegł, że Sherlock im się przygląda.

– Wojna krymska – powiedział. – Walczyły w niej Wielka Brytania, Francja i Turcja przeciwko Rosji. Osobliwy i dość bezcelowy konflikt. I oto, zaledwie dwanaście lat później, jemy kolację w stolicy kraju naszych wrogów. Dyplomacja tworzy dziwne alianse. – Urwał, gdy jego potężne ciało przebiegł dreszcz. – Sherlocku, myślę, że to będzie moja ostatnia podróż poza granice Anglii. A zapewne również poza granice Londynu. Podróże być może kształcą, ale to samo czynią gazety i książki, z którymi można się zapoznać, siedząc w wygodnym fotelu z butelką dobrej brandy pod ręką. W przyszłości raczej będę się starał, by to różne rzeczy przychodziły do mnie, zamiast wybierać się im na spotkanie.

– Chyba bardzo chcesz się dowiedzieć, co się stało z twoim agentem, skoro jesteś tutaj – rzekł cicho Sherlock.

Gdy podeszli do kontuaru, kierownik sali podniósł głowę znad książki rezerwacji.

– Stolik dla panów? – zapytał doskonałą francuszczyzną.

– Gdyby był pan tak miły – odparł Mycroft.

Kiedy kierownik prowadził ich przez restaurację, Mycroft rzekł cicho:

– Nazywa się Wormersley. Robert Wormersley. Studiowaliśmy w Oxfordzie. Mieszkaliśmy razem na stacji i często długo w noc rozmawialiśmy o naszych nadziejach i planach na przyszłość. Po zakończeniu nauki nasze drogi się rozeszły. Ja zatrudniłem się w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, on przemierzał świat w poszukiwaniu przygód i pisał znakomite relacje z podróży. Wciąż jednak korespondowaliśmy. Wreszcie nasze ścieżki znów się skrzyżowały i został moim najbardziej zaufanym agentem za granicą. – Urwał. – Byliśmy przyjaciółmi, Sherlocku. Bliskimi przyjaciółmi. Znajomych można mieć na pęczki, ale szansa na prawdziwą przyjaźń nie zdarza się zbyt często. Kiedy się pojawia, należy ją cenić. Właśnie dlatego musiałem tu przyjechać. Jestem mu to winien.

– Rozumiem – rzekł Sherlock, gdy usiedli. – A przynajmniej tak mi się wydaje.

– Oczywiście, że rozumiesz. Pojechałeś przecież aż do Nowego Jorku, żeby uratować Matty’ego Arnatta. A teraz – powiedział Mycroft, biorąc do ręki menu podane mu przez kierownika sali – co byś zjadł? Mają tu podobno znakomite owoce morza.

Kolacja była wyborna. Na tyle dobra, by zadowolić nawet Mycrofta, który pozwolił Sherlockowi na kieliszek wina. Rozmawiali o błahostkach. O gatunkach winogron, z których robi się wino; o tym, że brandy, sherry czy porto wytwarza się albo destylując wino, albo wzmacniając jego moc; i o tym, że wino musujące zaczęli produkować benedyktyni w szesnastym wieku.

Sherlock czuł, że jego rozgoryczenie powoli ustępuje. Wciąż był zły, że Mycroft i Rufus Stone działali za jego plecami, ale w końcu zdał sobie sprawę, że tak naprawdę jest zdenerwowany po części sam na siebie – za to, że się tego nie domyślił.

Postanowił jednak zapamiętać tę lekcję i nigdy więcej tak szybko nie brać niczego za dobrą monetę.

Kiedy zjedli, a Mycroft odpoczywał ze szklaneczką whisky i cygarem, Sherlock powiedział:

– Idę spać. Do jutra.

– Śpij dobrze. Jutro czeka nas ciężki dzień. – Mycroft zachmurzył się. – Mam wrażenie, że umknęło mi coś ważnego. To nie jest miłe uczucie. Jestem pewien, że gdybym był w Londynie, w zaciszu klubu Diogenes, natychmiast stwierdziłbym, co to takiego, ale tutaj, kiedy rozprasza mnie tyle rzeczy... – Westchnął. – Może jeśli wyśpię się w wygodnym łóżku, zacznę myśleć jaśniej. Dobranoc, Sherlocku.

Pokój Sherlocka był niewielki i znajdował się na wyższym piętrze, ale to nie miało znaczenia. Wydawał mu się wygodniejszy niż jego izdebka we dworze Holmesów i zasnął niemal natychmiast, gdy się rozebrał. Jeśli coś mu się śniło, nic z tego nie pamiętał.

Następny ranek był jasny i rześki. Na ziemi nadal leżał śnieg, ale na bezchmurnym, błękitnym niebie świeciło słońce. Sherlock umył się i ubrał, po czym poszedł do tej samej restauracji, w której jedli z Mycroftem kolację.

Jego brat siedział z panem Kyte’em. Skinął Sherlockowi głową, po czym wrócił do rozmowy.

Sherlock rozejrzał się. Pan Malvin i panna Dimmock siedzieli razem, pani Loran zajęła miejsce sama przy osobnym stoliku. Dostrzegła Sherlocka i uśmiechnęła się do niego. Także się do niej uśmiechnął. Polubił ją, a ona traktowała go coraz bardziej jak syna. Ciekawiło go, co się stało z jej mężem, o którym ani razu nie wspomniała. Czy zmarł, czy może uciekł do innej kobiety, czy też czeka na nią w domu?

Czterech pomocników – Rhydian, Judah, Pauly i Henry – siedziało razem i sprzeczało się o coś. Muzycy zajmowali trzy różne stoliki, podzieleni według instrumentów – smyczkowe przy jednym, dęte blaszane przy drugim, dęte drewniane przy trzecim. Dyrygent, pan Eves, jadł śniadanie samotnie.

Choć Rufus Stone należał do grupy instrumentów smyczkowych, siedział osobno. Na widok Sherlocka pomachał do niego i wskazał mu wolne krzesło obok siebie. Sherlock dłuższą chwilę zastanawiał się, czy nie znaleźć sobie osobnego stolika, ale w końcu zdecydował się podejść do Stone'a i usiąść z nim.

– Dobrze spałeś? – zapytał Stone.

– Nieźle – odparł Sherlock.

– Hotel naprawdę robi wrażenie. Jako ktoś, komu częściej za kołdrę służy siano, a nocne niebo za dach nad głową, muszę przyznać, że łóżko było wręcz zbyt wygodne jak na mój gust. Kiedy się obudziłem, stwierdziłem, że zapadłem się w materac, miękki jak puch. Chyba z pięć minut mi zajęło, zanim dotarłem na skraj łóżka. Przysięgam, że gdybym spał pół godziny dłużej, utonąłbym w nim i zniknął bez śladu.

Sherlock nie odpowiedział.

Milczeli dłuższą chwilę, a potem Stone znów odezwał się cicho:

– Mówiłeś jeszcze w Anglii, że kupiłeś sobie skrzypce.

– Tak – Sherlock chciał coś dodać, ale nie wiedział co.

– Taki zakup pozwala sądzić, że masz zamiar dalej zmagać się z żywiołem muzyki?

Wzruszył ramionami.

– Sherlocku – powiedział Stone – rozumiem, co czujesz. Wolałbym, żeby wszystko potoczyło się inaczej. Takie jest życie, złe rzeczy zdarzają się częściej niż dobre. Sztuka polega na tym, żeby umieć dostrzec słońce za ciemnymi chmurami. – Urwał. – Jeśli możesz uwierzyć choć w jedną rzecz, którą ci powiem, to spróbuj uwierzyć w to, że cię lubię, i nawet gdyby twój

brat powiedział mi jutro, że rezygnuje z moich usług, nadal chciałbym cię uczyć gry na skrzypcach.

Sherlock poczuł dziwny ucisk w gardle. Spojrzał w bok, a potem na Stone'a.

– Chciałbym się z panem uczyć – rzekł z wahaniem.

– Oczywiście – odparł Stone – to będzie musiało poczekać aż do zakończenia tej misji. A ja muszę być ostrożny, bo dostosowywanie się do poziomu tych rzepołów może poważnie zaszkodzić moim umiejętnościom.

– Rozejrzał się, po czym ściszył głos: – Nie podoba mi się to wszystko. Nie mogę rozgryźć dlaczego, ale coś mi tu nie pasuje. Bardzo nie pasuje. – Spojrzał na Sherlocka. – Uważaj na siebie.

ROZDZIAŁ 12



Po śniadaniu Sherlock obserwował z hotelowego lobby, jak cały zespół, poza Mycroftem, wsiada do dorożek i odjeżdża do Teatru Małego. Kiedy tylko powozy zniknęły za rogiem, Mycroft powiedział:

– Chodźmy. Czas na nas.

Zatrzymał dorożkę – prawdziwą dorożkę, a nie tę deskę na kołach, na której siedziało się okrakiem – i jako adres podał woźnicy skrzyżowanie dwóch ulic. Nachylił się do Sherlocka i rzekł ściszym głosem:

– Ostatnie sto jardów przejdziemy pieszo. Uciążliwe, ale konieczne. Staram się nigdy nie ujawniać ludziom, których nie znam, dokąd jadę. Połowa dorożkarzy w tym mieście jest na usługach Trzeciego Oddziału.

Kiedy dojechali na miejsce, Mycroft wręczył woźnicy monetę. Dopiero kiedy dorożka odjechała, dał znak Sherlockowi, że muszą przejść przez ulicę i nieco się cofnąć.

Wreszcie Mycroft zatrzymał się przed trzypiętrową kamienicą z czerwonego kamienia. Główne wejście znajdowało się w środkowej części najniższej kondygnacji, wiodły do niego trzy schodki.

Weszli do środka. W hallu na parterze były schody prowadzące na piętro. Mycroft, tak jakby bywał tu już setki razy, podszedł do nich i położył dłoń na poręczy. Odwrócił się do Sherlocka.

– Podobno w Pałacu Zimowym w Sankt Petersburgu car ma pokój, który wjeżdża z jednego piętra na drugie, poruszany parowym podnośnikiem śrubowym. Oby jak najszybciej nadeszły czasy, kiedy we wszystkich budynkach będą takie kabiny – to rzekłszy, zaczął z sapaniem wspinać się po schodach. Sherlock uśmiechnął się i ruszył za nim.

Na pierwszym piętrze był długi, ciemny korytarz biegnący przez cały budynek. Sherlock wyczuwał słaby zapach jedzenia: gotowanej szynki

i kapusty, pieczonego chleba. Mycroft pewnym krokiem podszedł do jednego z mieszkań. Rozejrzał się, po czym popchnął drzwi.

Poruszyły się.

– Drewno wokół zamka jest rozłupane – powiedział. – To zły znak.

Pchnięciem ręki utorował im drogę do środka i natychmiast wszedł, wciągając za sobą Sherlocka. Ruchem zaskakująco szybkim jak na tak dużego mężczyznę odsunął się na bok, pod ścianę, i popchnął Sherlocka pod drugą ścianę. Sherlock domyślił się, że jego brat chce, by jak najkrócej stali na tle drzwi, na wypadek gdyby w mieszkaniu był ktoś uzbrojony w broń palną. Rozsądnie.

Odczekali dłuższą chwilę, nasłuchując. Z wnętrza nie dobiegał żaden dźwięk. W końcu Mycroft ruszył naprzód korytarzem, do na wpół otwartych drzwi.

W znajdującym się za nimi pokoju panował bałagan. Kiedyś ktoś tu mieszkał, ale teraz krzesła leżały połamane, stoły przewrócone. Obrazy na ścianach były przekrzywione. Podłogę zaścierały odłamki porcelany i szkła – resztki roztrzaskanych ozdobnych figurek, filiżanek i kieliszków. W środku nie było nikogo, żywego ani martwego.

Mycroft szybko omiół wnętrze spojrzeniem. Cofnął się na korytarz, żeby sprawdzić pozostałe pomieszczenia. Zaglądając mu przez ramię, Sherlock stwierdził, że jedno to sypialnia, a drugie łazienka. W nich też nikogo nie było i okazały się one tak samo zrujnowane jak salon.

– Ktoś tu czegoś szukał – mruknął Mycroft, stojąc w korytarzu i rozglądając się dookoła.

– Ale nie znalazł – rzekł Sherlock.

– Zgadza się. Jak doszedłeś do tego wniosku?

– Gdyby znalazł, to w mieszkaniu zostałyby miejsca, gdzie niczego nie zniszczono ani nie przewrócono. Miejsca, które włamywacze zostawiliby nienaruszone, po tym jak dostali w swoje ręce to, czego chcieli.

– Chyba że? – ponaglił go Mycroft.

Sherlock zastanowił się przez chwilę.

– Chyba że to, czego ten ktoś szukał, było w ostatnim miejscu, do jakiego zajrzał.

– A co jest bardziej prawdopodobne?

– Że nie był pewien, ilu rzeczy szuka, więc musiał sprawdzić każde miejsce.

Brat Sherlocka skinął głową.

– Dobrze. Co jeszcze możesz wywnioskować ze stanu, w jakim znajduje się to mieszkanie?

– Ten, kto tu szperał, nie dbał o to, że ktoś się dowie o jego obecności. Inaczej nie zrobiłby takiego bałaganu.

– Znów masz rację – odrzekł Mycroft z ponurą miną. – Obawiam się o życie Wormersleya. Albo był w domu podczas przeszukania i został zabrany przez tego, kto wyłamał drzwi i przetrząsnął mieszkanie, lub może przez tych, jeśli było ich kilku, albo Wormersleya tu nie było. A jeśli przyszedł w trakcie, to gdy tylko zobaczył uszkodzony zamek, natychmiast wziął nogi za pas. W każdym razie jego los nadal jest niewiadomy.

– Nie było go tu podczas przeszukania – stwierdził Sherlock pewnym głosem.

– Z czego to wnosisz?

Wskazał drzwi frontowe.

– Drzwi były zamknięte, ale nie zaryglowane. Zasuwa od środka została nietknięta. Gdyby twój przyjaciel był w mieszkaniu i zamknął drzwi, z pewnością by je także zarygłował. Fakt, że były zamknięte, ale nie zaryglowane, wskazuje, iż wyszedł i zamknął je za sobą.

– Znakomicie – pochwalił z uznaniem Mycroft.

Sherlock wrócił do salonu i ponownie go zlustrował. Coś go niepokoiło, ale nie był pewien co. Coś tu nie pasowało. Może jakiś element został na miejscu, podczas gdy wszystko inne przestawiono. Nie dawało mu to spokoju, trochę jak jedzenie, które uwięzło między zębami.

– Czegoś nie widzę – powiedział. – Albo coś widzę, ale tego nie rozumiem.

– Dostrzeżesz to – rzekł Mycroft – jeśli tylko na to pozwolisz. Daj umysłowi szansę to przetrwać, a tymczasem zajmij się czymś innym. – Rozejrzał się. – Obawiam się, że nic więcej tu nie znajdziemy. Powinniśmy stąd wyjść.

Gdy znaleźli się z powrotem na ulicy, Mycroft zatrzymał przejeżdżającą dorożkę. Jednak Sherlock pociągnął go za rękaw.

– Wydaje mi się, że pamiętam drogę powrotną do hotelu. Zwracałem uwagę na ulice, którymi jechaliśmy. Czy mogę wrócić na piechotę? Chciałbym poznać trochę miasto.

– Zgoda – powiedział Mycroft. Dał Sherlockowi garść pieniędzy. – Główną walutą w Rosji jest rubel. Dzieli się dokładnie na sto kopiejek. –

Klepnął go w ramię. – A teraz idź się rozejrzeć. Ja wrócę do hotelu i zastanowię się, co powinniśmy dalej zrobić.

Kiedy dorożka Mycrofta zniknęła za rogiem, Sherlock ruszył przed siebie. Widoki, dźwięki i co ważniejsze, zapachy w Moskwie były inne niż w miejscach, które znał. Śnieg tłumił większość hałasów, więc nie było tu zgiełku, jaki zwykle panował w Londynie. Moskwa wydawała się cichym miastem. Chociaż może było to spowodowane tym, że ludzie bali się tajnej carskiej policji i tego, co mogła zrobić tym, którzy powiedzieliby coś niewłaściwego.

Dobrze pamiętał trasę i szedł powoli, podziwiając potężne, imponujące budowle. Kiedy znalazł się w pobliżu hotelu, skręcił na plac tak wielki, że wydawał się sięgać po horyzont. Przed nim wznosiła się świątynia przypominająca jakiś fantastyczny wytwór z truskawkowych lodów i waty cukrowej. Nigdy wcześniej nie widział czegoś takiego. Było to skupisko wież różnej wysokości i chyba różnej średnicy, zwieńczonych albo skrzyconymi iglicami, albo cebulastymi kopułami. Wszystkie pomalowano na rozmaite kolory – czerwony, niebieski, żółty, biały – przemieszane w różnych wzorach: szachownicach albo zawijasach. Na każdej iglicy i kopule znajdował się wielki krzyż. Kiedy Sherlock szedł powoli wokół budowli, nie odrywając od niej wzroku, zauważył, że co chwilę wygląda inaczej. Nie było w niej żadnej łatwo dostrzegalnej symetrii. Z każdego punktu, z jakiego się na nią patrzyło, miała odmienny kształt. Podobnie jak wiele innych rzeczy, które zdążył zobaczyć w Rosji, wyglądała jak efekt zderzenia całkowitego przypadku z przemyślanym aktem twórczym.

Po prawej stronie, tuż za częściowo zamarznąłą fosą, zobaczył wysokie mury z czerwonej cegły. Zapewne był to Kreml, pałac, w którym mieszkał car Aleksander II i z którego rządził swym olbrzymim państwem. Między świątynią a murami Kremla, po prawej stronie od miejsca, w którym znajdował się Sherlock, rozciągał się plac Czerwony.

Odchodziło od niego kilka prostych, szerokich ulic. Sherlock wybrał tę, która, jak mu się wydawało, prowadziła do hotelu Słowiański Bazar. Po jej obu stronach ciągnęły się sklepy, a pośrodku stały kramy. W sklepach sprzedawano głównie futrzane płaszcze, kapelusze, wysokie buty albo jakieś wypieki. Nad każdym z nich wisiał jaskrawy szyld, na którym były wymalowane oferowane towary. Kramy wydawały się bardziej swojskie, handlowano w nich wszelkiego rodzaju drobiazgami – od noży po tytoń, od toreb po używane ubrania, guziki i kawałki materiału. Na kilku

stoiskach sprzedawano dewocjonalia: krzyże, malowane na drewnie portrety świętych i tym podobne. Sherlock doszedł do wniosku, że Rosjanie dużo chętniej okazują swoją religijność niż Anglicy.

Między sklepami i kramami wędrowali sprzedawcy herbaty pchający wózki z umieszczonymi na nich podgrzewanymi zbiornikami. Oferowali też przekąski: na szyjach mieli zawieszane długie sznurki z nawleczonymi na nie niczym paciorki ciasteczkami w kształcie grubych pierścieni.

Na każdym rogu widać było drewniane budki, w których stali mężczyźni w szarych mundurach i czarnych hełmach. U boku mieli szable. Niektórzy drzemali, inni wyglądali na znudzonych i zmarzniętych.

Sherlock spojrzął na zegarek i stwierdził, że powinien już wracać. Kiedy doszedł do bocznej ulicy, zatrzymał się, a wtedy ktoś idący tuż za nim na niego wpadł. Odwrócił się, aby przeprosić, ale człowiek minął go, mruczając pod nosem przekleństwo. Jednocześnie zauważył ożywioną rozmowę przy jednej z drewnianych budek. Jakiś mężczyzna w ciężkim, futrzanym płaszczu i czapce uszance rozmawiał z policjantem w budce, gestykulując energicznie rękami. Sherlock już miał ruszyć dalej, kiedy mężczyzna w futrze odwrócił się i pokazał go palcem. Policjant spojrzął ponuro w jego kierunku.

Poczuł, że dreszcz przebiega mu po plecach.

Mężczyzna w futrze mówił chyba, że coś mu zabrano. Wskazywał na kieszeń w płaszczu, wkładał do niej rękę, po czym ją wyciągał, tak jakby pokazywał, że został okradziony. Znów wskazał na Sherlocka. Sherlock spojrzął przez ramię, żeby sprawdzić, czy może obok stoi ktoś, o kogo mogłoby chodzić temu mężczyźnie, ale w promieniu dziesięciu jardów nikogo nie było.

Sherlock rozłożył szeroko ramiona, żeby zasugerować swoją niewinność. Spojrzął wymownie na policjanta i miał nadzieję, że po prostu machnie ręką i pozwoli mu odejść, ale zamiast tego policjant władczo kiwnął ręką, kładąc mu podejść do budki.

Przeniósł wzrok na człowieka, który złożył skargę. Mężczyzna na krótką chwilę się uśmiechnął. To był uśmiech człowieka, któremu udało się szczególnie sprytna sztuczka i teraz czeka na jej efekt. Kiedy zauważył, że Sherlock na niego patrzy, uśmiech zniknął z jego twarzy jak rysunek starty z tablicy.

Uderzony nagłą i bardzo niemiłą myślą, Sherlock wsadził rękę do kieszeni marynarki. Jego palce trafiły na przedmiot, którego wcześniej tam

nie było: coś kwadratowego i skórzanego.

Portfel.

Nagle cała sytuacja stała się jasna jak słońce! Wszystko było ukartowane. Ten, który wpadł na Sherlocka i odszedł, jednocześnie wsunął mu portfel do kieszeni. Ten drugi – który teraz rozmawiał z policjantem – wcale nie został okradziony, ale kiedy tylko zobaczył, że portfel wylądował w marynarce Sherlocka, podszedł do policjanta i złożył skargę, wskazując na niego jako złodzieja. Jeśli sprawdzą mu kieszenie, znajdą w nich portfel, który tamten rozpozna jako swój. Nieważne, czy naprawdę go ukradł, czy nie. Wtrąca go do więzienia, a wszystkie dowody będą świadczyć przeciwko niemu.

To jakiś koszmar!

Policjant znów przywołał go ręką, tym razem z bardziej surową miną. Sherlockowi szybciej zabiło serce. Czuł, jak pot gromadzi mu się pod pachami i spływa po plecach, a koszula przylepia się do skóry. Aresztowany w obcym kraju za kradzież? Będzie miał szczęście, jeśli kiedykolwiek zobaczy jeszcze światło dzienne, nawet w przypadku uczciwego procesu. Biorąc pod uwagę, jak sprytnie został wrobiony, jest bardzo prawdopodobne, że ci, co przygotowali ten podstęp, przewidzieli wszystkie wyjścia. Kimkolwiek byli, pewnie przekupili sędziego, przysięgłych, wszystkich. Zakładając, że w Rosji w ogóle mają sędziów i przysięgłych. Nie miał pojęcia, jak działa tutejszy wymiar sprawiedliwości. Na podstawie tego, co czytał w gazetach jeszcze w Anglii, działanie tego państwa opierało się na tajnej policji, a ludzie znikali tu z ulicy i wszelki ślad po nich ginął.

Mógłby puścić się biegiem, ale z pewnością to także przewidzieli. Rozejrzał się, próbując zgadnąć, kto z krążących dookoła handlarzy także należy do spisku.

Gdy spojrzał w lewo, jakiś mężczyzna w czarnym płaszczu i futrzanej czapce odwrócił głowę. Po prawej chłopak ze śladami po ospie na twarzy wpatrywał się w niego ponuro, a kobieta chowająca dłonie w futrzanej mufce nagle zainteresowała się stoiskiem z wyrobami tytoniowymi.

Co najmniej trzy osoby. Trzy osoby, które będą usiłowały go zatrzymać, gdyby próbował uciec.

Znów rozejrzał się rozpaczliwie, mimo wszystko mając nadzieję, że dostrzeże jakąś drogę ucieczki, ale na próżno. Stał zbyt daleko od kramów, żeby schwycić z nich cokolwiek i użyć tego jako broni, był też pewien, że nikt z przechodzących ludzi nie pomoże mu, kiedy zawoła o pomoc.

Policjant ruszył w jego stronę zdecydowanym krokiem. Nie dobył szabli, ale za to wymachiwał długą pałką trzymaną w prawej ręce. Grymas na jego twarzy pozwalał sądzić, że cokolwiek zrobi Sherlock, pałka wyląduje na jego grzbiecie.

Z nagłym powiewem wiatru do nozdrzy Sherlocka dotarł aromat herbaty z przyprawami. Odwrócił głowę. Przez tłum, kilka kroków od niego szedł sprzedawca herbaty.

Nie zastanawiając się ani chwili, Sherlock postąpił dwa kroki i pchnął sprzedawcę w plecy.

Ten padł jak długi do przodu, popychając wózek, który potoczył się kilka stóp dalej, po czym trafił na wystający kawałek bruku. Jedno z kółek podskoczyło i wózek się przechylił. Srebrny baniak z herbatą się przewrócił. Kiedy spadł na brukowaną ulicę, pokrywka odskoczyła, a fala brązowej cieczy rozlała się na wszystkie strony, natychmiast zmieniając śnieg w brunatną maź. Ludzie odskakiwali na boki przed parującym strumieniem. Niektórzy krzyczeli, ochlapani wrzątkiem.

Kiedy policjant i trójka agentów odwrócili wzrok, Sherlock zanurkował w tłumie. Kulił się i pilnował, żeby zawsze między nim a tymi, którzy go ścigali, była grupa ludzi, ale było ich co najmniej pięcioro i nie mógł ukryć się przed wszystkimi.

Ktoś za jego plecami zawołał głośno. To był policjant! Zobaczył Sherlocka i przyspieszył kroku, rozpychając się brutalnie wśród tłumu. Przechodnie potykali się i upadali na ziemię, gdy rozganiał ich drewnianą pałką.

Sherlock puścił się biegiem w kierunku, z którego przyszedł. Jeśli uda mu się ich zgubić, wróci do hotelu i ostrzeże Mycrofta.

Ostry gwizd przeszył powietrze. Sherlock obejrzał się przez ramię. Policjant wciąż za nim gonił.

Jego stopy trafiły na poruszające się kamienie i niemal się przewrócił. Odzyskał równowagę i spojrzał przed siebie. Z drewnianej budki na rogu ulicy wyszedł policjant i patrzył w jego kierunku. Pewnie usłyszał gwizdek.

Z przodu droga odcięta, z tyłu też. Skręcił w prawo, rozglądając się za bramą albo boczną uliczką, przez którą mógłby uciec. Ale widział tylko sklepy i jaskrawe szyldy, których kolory rozmazywały mu się w biegu przed oczami. Czuł, jak serce łomocze mu w piersi.

Nagle dostrzegł szansę ucieczki: schodki prowadzące w dół, na poziom piwnicy. Z rozpaczliwą nadzieją, że to nie jest ślepy zaułek, że drzwi na

dole – jeśli były tam jakieś drzwi – nie będą zamknięte, Sherlock ruszył biegiem ku nim. Złapał za poręcz u szczytu schodów, zakręcił wokół niej i zbiegł na dół.

Były tam drzwi, ale zabite wielkimi deskami. Żadnej drogi ucieczki.

Odwrócił się z powrotem ku schodkom, ale wtedy ogłuszył go nagły gwizd. Policjant był zaledwie kilka stóp od niego. Może nie widział, dokąd poszedł Sherlock, ale gdyby tylko chłopiec wystawił teraz głowę ponad poziom chodnika, na pewno zostałby zauważony.

Drugi gwizd, nieco dalej, a potem trzeci. Czy cała Moskwa go ściga?

Zbliżające się kroki. Jeszcze kilka sekund i go zobaczą.

Spojrzał z rozpaczą na zamknięte drzwi. Może między deskami jest szpara, przez którą da radę się przecisnąć? Nagle zauważył na ziemi żelazną pokrywę kanału. Padł na kolana i próbował ją podnieść. Była ciężka i śliska od lodu, a on miał palce mokre od potu. Udało mu się unieść ją na cal, ale wysunęła mu się z rąk i uderzyła w podłogę z powrotem z głuchym łupnięciem. Rozpaczliwie próbował znów ją podważyć. Tym razem, kiedy udało mu się ją podnieść, wsunął pod nią palce. Gdyby spadła, mogłaby mu je złamać.

Ostatkiem sił dźwignął pokrywę i odsunął na bok. Aż się zakrztusił, czując zapach zimnej i wilgotnej ziemi oraz ścieków. Słabe światło przebijające się zza chmur oświetlało kilka pierwszych stopni żelaznej drabiny.

Nie było wyboru. Przerzucił nogi przez krawędź i zaczął schodzić. Kiedy miał twarz na poziomie gruntu, złapał za krawędź pokrywy i zaciągnął ją na otwór. Pod spodem miała uchwyt, udało mu się więc umieścić ją w tym samym miejscu co poprzednio.

Miał nadzieję, że z zewnątrz będzie to wyglądało tak, jakby nikt jej w ogóle nie ruszał.

Zamierzał posiedzieć w tych ciemnościach tyle, ile będzie trzeba, trzymając się drabiny, ale stało się inaczej. Szczelby były obrosnięte mchem i wilgotne, a on nie miał już siły się trzymać. Kiedy usłyszał, jak na górze czyjeś buty stanęły na pokrywie, poczuł nagły skurcz w palcach. Puścił szczelbę i poleciał w ciemność, starając się nie krzyknąć.

ROZDZIAŁ 13



Sherlock zacisnął zęby, spodziewając się twardego lądowania na ceglach lub kamieniach, ale wpadł do wody. Lodowatej, płynącej wody.

Miała zaledwie metr głębokości. Dotknął plecami dna, po czym gwałtownie wy dostał się na powierzchnię, krztusząc się i plując. Wstał i ustawił stopy jedna przed drugą, żeby prąd go nie przewrócił.

Otaczał go mrok. Zimna woda odbierała jego ciało ciepło i siły. Starał się wymacać ściany kanału czy studzienki, w której się znalazł, ale na próżno. Chłupot wody także był dziwny: nie odbijał się echem tak jak zwykle w murowanym tunelu.

Gdy jego oczy przywykły do ciemności, uświadomił sobie, że do środka wpada jednak trochę światła. W pokrywie nad jego głową były małe dziurki, przez które docierały wąskie, jasne smużki. Przed sobą i za sobą widział podobne jaśniejsze miejsca. Gdziekolwiek więc się znalazł, mógł się przynajmniej jakoś zorientować w przestrzeni.

Widział, że stoi w wartko płynącym strumieniu. Po obu stronach, w odległości jakichś dziesięciu stóp, zamiast łukowato wygiętych ceglanych ścian, jakich można by się spodziewać w kanale czy studzience, znajdowały się strome wały usypane z kamieni i błotnistej ziemi. Rosły na nich anemiczne chwasty i kępy widmowo białej trawy. Na ich szczytach ceglane mury o wysokości kilku stóp podtrzymywały murowane sklepienie ciągnące się gdzieś w głąb.

Z sufitu zwisały długie frędzle mchu. Sherlockowi przypominały macki jakiegoś dziwnaczego stwora szukającego na oślepie swej ofiary.

Wzdrygnął się, gdy usłyszał nagły zgrzyt. Wprost nad jego głową ktoś otwierał pokrywę kanału. Snop jasnego światła padł na błotnistą wodę,

w której stał. Szybko przesunął się z chlupotem kilka kroków dalej z nurtem wody, żeby go nie dostrzeżono.

– Gdzie on jest? – wyszeptał z góry jakiś głos. Ktoś mówił po francusku, ale Sherlock słyszał silny akcent. Był to zapewne Rosjanin. – Czy zszedł tutaj?

– Nie widzę go – odparł drugi, bardziej szorstki głos. – To dawna rzeka Nieglinnaja. Wpada do rzeki Moskwy mniej więcej milę dalej. Znalazła się pod ziemią jakieś pięćdziesiąt lat temu, podczas przebudowy miasta.

Sherlock rozejrzał się. Więc to rzeka, a nie kanał ściekowy? To by miało sens. Gdzieś w górze nurtu płynie na powierzchni, ale tutaj od pięćdziesięciu lat jest zamknięta w ciemnościach. A do rzeki Moskwy jest tylko mila, idąc z prądem. Zdoła do niej dotrzeć!

– Musiał tu zejść – rzekł szorstki głos. – Musiał przecież dokądś pójść. Ale czy poszedł z prądem, czy pod prąd?

– Z prądem – powiedział szeptem drugi mężczyzna. – Pójdzie z nurtem, w końcu nie ma sensu się z nim zmagać. – Urwał na chwilę, jakby się namyślał. – Złaz na dół i pójdz za nim. Zabij go, jeśli zdołasz, a ciało niech zgnije w wodzie.

– Dlaczego po prostu nie złapaliśmy go na ulicy? – zapytał szorstki głos. – Po co to całe zawracanie głowy z udawaniem, że jest złodziejem?

– Porwanie go w środku miasta byłoby ryzykowne – odparł ten szepczący. – Ktoś mógłby zwrócić na nas uwagę, wtrącić się. Wszędzie jest pełno policji. Mieliśmy instrukcje, żeby go wyeliminować. Najlepiej by było, gdyby został aresztowany, ale teraz, kiedy zniknął, możemy zadbać o to, żeby przepadł na zawsze. Złaz tam i znajdź go.

– Chyba żartujesz! Woda jest lodowata.

– A masz lepszy pomysł?

– Tak, ty tam pójdziesz!

Mężczyzna mówiący szeptem prychnął.

– Chcesz gadać z policją, droga wolna. Ale na pewno nie będą cię słuchać tak jak mnie, rodowitego Rosjanina! A poza tym już ustaliliśmy, że chłopak świsnął mój portfel. Jak to będzie wyglądało, jeśli akurat tobie nagle zaczniesz zależeć na jego odzyskaniu?

– No dobra. – Ten o szorstkim głosie chyba dał się zastraszyć. – Co masz zamiar zrobić?

– Skłonię tego durnego policjanta, żeby zorganizował poszukiwania pod ziemią wzdłuż biegu Nieglinnej. Spotkamy się przy jej ujściu do Moskwy.

Sherlock myślał gorączkowo. Musiał się gdzieś ruszyć, i to szybko, zanim ten zbir zejdzie po drabinie!

Odszedł, starając się robić jak najmniej plusku. Zimna woda chlupotała mu wokół nóg, wlewając się do butów, tak że bulgotało w nich przy każdym kroku. Czuł kwaśny odór – być może to nie był ściek, ale chyba niektórzy używali go w tym charakterze.

Za plecami słyszał hałasy. Zbir o szorstkim głosie powoli zląził po drabinie. Pewnie także się poślizgnął, ponieważ nagle rozległ się krzyk, który odbił się echem od ceglanego muru, a chwilę później plusk. Do Sherlocka dotarła fala wywołana przez upadek i popchnęła go do przodu. Ucieszył się w duchu. Może ma szczęście, może tamten się utopił! Ale potem doleciał do niego charkot i natychmiast stracił dobry humor. Jednak nie będzie łatwo.

Raczej wyczuwając, niż widząc brzegi rzeki, Sherlock zastanawiał się, czy zdołałby wspiąć się na jeden z nich, żeby nie iść w wodzie. Porzucił jednak ten pomysł. Brzegi były strome i błotniste. Pewnie szybko ześlizgnąłby się do wody i stracił kilka minut cennego czasu. Nie, chociaż była to kusząca możliwość, musiał iść dalej, brnąc w wodzie. Zimnej i cuchnącej.

Spostrzegł, że zbliża się do kolejnej pokrywy znajdującej się w ceglanym suficie. Jeśli nie będzie ostrożny, światło, które przez nią wpada, oświetli jego ramiona i czubek głowy i zdradzi jego pozycję. Przesunął się w prawo, bliżej brzegu.

W nikłym blasku, spływającym na dół niczym deszcz, Sherlock widział drabinę. Była ona przyczepiona u góry, przy włazie, i pewnie jakoś osadzona na dnie rzeki. Szczeble i podpory wyglądały na zardzewiałe i mokre. Chłopiec przez chwilę zastanawiał się, czy nie wspiąć się po drabinie i nie próbować unieść pokrywy od dołu, ale szybko zrezygnował z tego pomysłu. Zbyt wiele tu się mogło nie udać. Gdyby wszedł w smugę światła, jego prześladowca zobaczyłby go i po prostu ściągnął z drabiny. Nawet jeśli szczęśliwym trafem zdołałby się wspiąć na górę, pewnie nie dałby rady dźwignąć ciężkiej pokrywy, a gdyby i to mu się udało, mógłby wyjść z kanału prosto w ręce tych, którzy go ścigali na górze. Chcąc nie chcąc, musiał iść dalej.

Coś otarło się o jego zanurzoną w wodzie rękę i odskoczył ze zdławionym wrzaskiem. Pomyślał, że to szczur płynący przez brudną wodę

albo może jakiś śmieć, który wpadł przez kratkę ściekową. Może. Ale jego serce wciąż łomotało niczym maszyna parowa i trzęsły mu się ręce.

Dno rzeki było nierówne i muliste. Co chwilę utykał w błocie i z trudem wydobywał z niego nogi. Bóg jeden wie, w jakim stanie będą jego buty, kiedy uda mu się stąd wydostać – jeśli w ogóle się wydostanie. W wodzie były też wodorosty, które oplątywały mu się wokół nóg, spowalniając go jeszcze bardziej. Musiał gwałtownie podrywać stopy, żeby wyrwać rośliny z korzeniami. Jego buty musiały być całe oblepione błotem i oplątane ciągnącymi się za nim kłębamii wodorostów.

Dźwięki za plecami Sherlocka były teraz bardziej regularne: miarowe chlup, chlup, chlup, gdy prześladowca stawiał kolejne kroki. Chrapliwy, świszczący oddech mężczyzny brzmiał jak odgłosy jakiejś zamierającej maszyny.

Sherlock wyteżył wzrok w ciemności, licząc na to, że dostrzeże przed sobą zarys ujścia. Miał nadzieję, że to będzie łuk albo okrągły otwór wychodzący na rzekę Moskwę, którą wyobrażał sobie jako szeroko rozlewającą się wodę z przerzuconymi nad nią mostami. Ale nic nie widział. Mrok przed nim był gęsty i nieprzenikniony.

A jeśli ujście jest pod poziomem wody, a nad powierzchnią jest tylko ceglany mur, wskazujący miejsce, gdzie jedna rzeka łączy się z drugą? A jeśli oddziela je od siebie krata? Jeżeli nie zdoła się przedostać, będzie musiał zawrócić i minąć zbira, który otrzymał rozkaz, żeby go zabić? Myśli krążyły po jego głowie niczym szklane kulki, ale nic z tego nie wynikało, zderzały się tylko ze sobą, wprawiając jego umysł w dygot.

Musiał wziąć się w garść. Jeśli ma wyjść z tego cało, musi się skoncentrować.

Coś dotknęło jego twarzy. Wzdrygnął się, ale udało mu się stłumić okrzyk, wkładając sobie dłoń do ust i mocno ją przygryzając. Nie wiedział, co to takiego, ale było oślizgłe i zimne. Pomachał ręką przed twarzą. Coś mokrego owinęło mu się wokół nadgarstka i wtedy zdał sobie sprawę, że to tylko jedna z tych zwisających z sufitu macek mchu, które widział wcześniej. Szarpnął ręką i macka oderwała się od muru z cichym mlaśnięciem.

Ruszając w dalszą drogę, zdał sobie sprawę, że zupełnie stracił czucie w palcach stóp.

Cały czas słyszał za sobą miarowy plusk i ciężki, świszczący oddech goniącego go mężczyzny. Kiedy spojrział przez ramię, zobaczył tylko

ciemność. W każdej chwili ręka mogła zacisnąć się na jego ramieniu i pociągnąć go do tyłu, pod powierzchnię rzeki Nieglinnej, gdzie utopi się w kompletnych ciemnościach, a jego ciała nikt nigdy nie znajdzie.

Nagle coś przyszło mu do głowy.

Może mógłby jednak się wspiąć na jeden z wałów i poczekać, aż zbir go wyprzedzi. Kiedy minął kolejną pokrywę włazu, przeszedł na bok, ku brzegowi, wyciągnął ręce i chwycił za kępę bladej trawy, aby wciągnąć się na górę.

Nagle coś wyłoniło się z półmroku i zbliżyło do niego, warcząc.

Miało cztery krótkie łapy, trójkątną głowę o szpiczastym pysku i wielkich uszach. Ślepia były małe i czarne, ledwo widoczne, ale uniesione wargi odsłaniały paszczę pełną zębów przypominających odłamki szkła. Brązowo-czarna sierść pokrywająca ciało była matowa i rzadka.

Za nim zbliżały się trzy podobne stworzenia. Sherlock zdał sobie sprawę, że to muszą być psy, ale nie przypominały żadnej z ras, jakie widział wcześniej. Pewnie to potomkowie bezdomnych psów, które zabłąkały się nad podziemną rzeką, a teraz żyją tutaj, w ciemności, pokolenie za pokoleniem, żywiąc się szczurami i być może rybami. Ich nieprzydatne w ciemnościach oczy prawie zanikły, ale w zamian za to miały większe uszy. Sherlock przypuszczał, że kierują się głównie dźwiękiem.

Na chwilę wrócił myślami do tuneli pod dworcem Waterloo zamieszkanym przez dzikie dzieci. Nagle ogarnęła go litość dla nich, litość, której nie miał czasu poczuć, kiedy przed nimi uciekał. Były zmuszone żyć jak dzikie zwierzęta, ale te psy tu w Moskwie miały przynajmniej kły i pazury. Dzieci mogły liczyć tylko na swój spryt, a jak sądził Sherlock, szybko go traciły.

Przywódca stada zmarszczył nos. Chyba próbował węszyć, ale przeszkadzał mu odór, który niczym duszący gaz wydobywał się z rzeki. Obracał uszami, starając się zorientować, gdzie zniknął Sherlock. Chłopiec stał tuż przed nim, z wyciągniętą ręką. Jeśli się nie ruszy, pies go nie usłyszy.

Jeśli zastygnie w bezruchu.

Sherlock miał tak zimne ręce, że już od dłuższej chwili, gdy brnął w wodzie, musiał je zaciskać w pięści. Teraz, mimo że bardzo się starał, nie mógł znieść odrętwienia i opanować drgania. W końcu mimowolnie poruszył palcami. Dźwięk skóry trącej o skórę, niemal niesłyszalny dla

Sherlocka, dla psów musiał być niczym eksplozja. Przywódca skoczył naprzód. Sherlock cofnął dłoń, zęby psa kłapnęły w próżni. Zwierzak szarpnął łbem i zaczął szczekać. Dołączyły do niego pozostałe psy. Ujadanie niosło się echem w tunelu.

Sherlock cofnął się, ale plusk zdradzał jego pozycję.

Przywódca podszedł kilka kroków, po czym rzucił się na Sherlocka z otwartą paszczą.

W tej samej chwili czyjeś ramię owinęło się wokół jego szyi i zacisnęło mocno, wciągając go pod wodę. Prześladowca zawołał z triumfem:

– Mam cię!

Ale wtedy pies trafił w niego niczym kula armatnia i wbił zęby w jego ramię. Nie taki był jego cel, ale nie wybrzydzał. Zacisnął szczękę z całej siły.

Zbir wrzasnął i był to bardzo wysoki dźwięk jak na kogoś o tak chrapliwym głosie. Uścisk na gardle Sherlocka zelżał, tak że zdołał się uwolnić.

W smużkach światła wpadających przez pokrywę Sherlock widział, jak mężczyzna szamocze się w wodzie, próbując rozewrzeć szczęki psa. Dwa z trzech pozostałych na brzegu doskoczyły do niego. Jeden z nich wpadł do wody i zanurkował, żeby złapać mężczyznę za nogę, drugi wylądował mu na piersi i zacisnął zęby na jego gardle. Zbir padł na plecy w mętnej wodzie, młóćąc rozpaczliwie rękami.

Gdy ostatni pies zanurkował i zniknął pod powierzchnią, Sherlock ostrożnie się wycofał. Przez chwilę zastanawiał się, czy wspiać się na brzeg, ale tam mogła czaić się pozostała część stada. Niechętnie więc brnął dalej w wodzie.

Za plecami słyszał plusk i stękanie, potem tylko plusk, a później już nic.

Daleko przed sobą widział blask światła, który był niczym lampa naftowa wisząca na ganku w ciemny wieczór. Przyspieszył kroku, woda aż wzburzyła się przed nim. Światło stało się silniejsze, musiał mrużyć oczy. Dostrzegł kształt łuku, a za nim – szaroniebieską wodę większej rzeki, do której wpływała ta, którą szedł.

Kiedy tam dotarł, jego oczy przywykły już do światła. Ujście nie było zakratowane. Rzeka Nieglinnaja po prostu wlewała się do rzeki Moskwy przez otwór znajdujący się jakąś stopę nad jej powierzchnią, przez co tworzyła się mała kaskada.

Sherlock ostrożnie podszedł do krawędzi kanału. Trzymając się jedną ręką muru, wychylił się na zewnątrz i rozejrzał na boki.

Rzeka Moskwa płynęła między kamiennymi murami. Ziemia czy piasek skrywały się pod powierzchnią wody. Gdy spojrział w górę, przekonał się, że ujście Nieglinnej znajduje się jakieś sześć stóp poniżej poziomu ulicy. Tuż obok otworu była żelazna drabina, spod czarnej farby wylaziły rude płatki rdzy. Sherlock wiedział jednak, że jeśli po niej wejdzie, może wpaść prosto w ramiona policjanta i człowieka, który oskarżył go o kradzież portfela.

Spojrział znów na brzeg rzeki i dostrzegł coś, co wcześniej mu umknęło. Na pewnym poziomie mur był cofnięty mniej więcej o stopę, powtarzało się to co jakieś sześć stóp. Być może architekt chciał w ten sposób sprawić, żeby rzeka w razie podnoszenia się poziomu wody miała więcej miejsca, i zapobiegać tak powodzi. Niezależnie od pełnionej funkcji, dla Sherlocka była to dogodna droga ucieczki. Musiał tylko przejść po tym gzymsie niczym akrobata po linie.

Ostrożne manewry zajęły mu pół godziny i trzy razy omal nie wpadł do pędzącego w dole nurtu. Kiedy zaczynał, był mokry i zmarznięty, a skończył suchy i całkiem zlodowaciały, nie był tylko pewien, czy to dlatego, że wiatr wiejący między kamiennymi brzegami go wysuszył, czy dlatego, że jego mokre ubrania zamarzły na kość. Kiedy znalazł kolejną zardzewiałą drabinę, wyszedł wreszcie na poziom ulicy. Tuż obok dostrzegł piecyk pełen żarzących się węgli. Jakiś moskwianin piekł na węglach kasztany. Za kilka kopiejek pozwolił Sherlockowi ogrzać się przy żarze.

Po półgodzinie i dwóch torebkach pieczonych kasztanów Sherlock odtajał na tyle, żeby ruszyć z powrotem do hotelu. Był przekonany, że nic mu nie grozi: na nabrzeżu nie było widać nikogo, kto by go szukał, a jak się domyślał, bandyci znaleźli go przypadkiem, tak samo jak ci w Londynie. Z wdzięcznością pomachał na pożegnanie sprzedawcy kasztanów i odszedł. Bolały go nogi i pękała mu głowa, a jego ubranie zrobiło się sztywne, ale przynajmniej było mu względnie ciepło i sucho.

Droga powrotna zabrała mu zaledwie dwadzieścia minut. Gdy dotarł do głównego wejścia hotelu Słowiański Bazar, był spocony z wysiłku. Na zimnym moskiewskim wietrze pot na jego czole zamarzał w ciągu jednej chwili.

Przed wejściem panowało jakieś zamieszanie. Na podjeździe stał czarny powóz bez żadnych herbów czy oznaczeń i z drzwiczkami z tyłu zamiast po bokach. Woźnica ubrany był w nierzucający się w oczy szary uniform i futrzaną czapkę. Tak samo odziani byli dwaj mężczyźni, którzy wyszli

z hotelu i zmierzali w stronę powozu. Ciągnęli za sobą człowieka odzianego w dobrze skrojony czarny garnitur i marynarkę.

To był Mycroft.

Protestował głośno i próbował się im wyrwać, ale Sherlock nie słyszał, co mówi.

Woźnica zszedł z kozła i pomógł tamtym dwóm wepchnąć Mycrofta na tył powozu. Dwaj mężczyźni wsiedli razem z nim. Woźnica zatrasnął drzwiczki i dodatkowo zamknął je z zewnątrz na zasuwę, po czym wdrapał się z powrotem na kozioł i trzasnął z bicia nad głowami koni. Ruszyły truchtem i po chwili powóz zniknął z oczu Sherlocka.

Serce w nim zamarło. Wszystko, przez co przeszedł w ciągu ostatnich kilku godzin i ostatnich tygodni, wszystko to prowadziło do tej jednej chwili: stał teraz sam na ulicy obcego miasta, patrząc, jak jego brata zabiera tajna policja. Próbował znaleźć jakąś nitkę, której mógłby się chwycić, ziarno, z którego mógłby wykiełkować jakiś plan uratowania Mycrofta, ale w głowie czuł pustkę. Nie miał pojęcia, co teraz począć.

ROZDZIAŁ 14



– Jeśli drogie ci życie i wolność, nie patrz!

Sherlock rozejrzał się. Obok niego stał jakiś człowiek w wytartym płaszczu zapiętym pod szyję i futrzanej czapce naciągniętej na oczy. Sherlock widział właściwie tylko jego usta.

– Dlaczego?

– Bo Trzeci Oddział jest niewidzialny. Przychodzą i zabierają ludzi niepostrzeżenie. Nikt tego nie widzi, bo nikt nie patrzy.

– Co z nim zrobią?

– Jeśli ma szczęście – rzekł mężczyzna – to może będzie szybka egzekucja. A jeśli ma pecha, to nahajka albo kańczug.

– A co to takiego? – zapytał przerażony Sherlock.

Mężczyzna wzdrygnął się.

– Coś jak bicz, tylko gorsze, dużo gorsze.

– Kim pan jest?

– Nazywam się Robert Wormersley.

– Pan jest... – chciał powiedzieć „agentem”, ale w ostatniej chwili zmienił słowo – przyjacielem Mycrofta.

– W istocie. – Twarz Wormersleya za futrzaną czapkę i wysokim kołnierzem pozostawała czujna, kiedy przyglądał się bacznie twarzy Sherlocka. – A ty jesteś jego bratem. Jedyńm bratem. Masz takie same oczy. Często o tobie mówił.

Sherlock wciąż spoglądał w kierunku, w którym odjechał powóz.

– Zabrali go. Co teraz zrobimy?

– Powiem ci, czego nie zrobimy. Nie wrócimy do tamtego hotelu. Zostawili tam kogoś, kto na ciebie czeka. – Wormersley rozejrzał się. – Niedaleko stąd jest przyzwoita kawiarnia. Trzeba cię napoić czymś

gorącym. Po twoim wyglądzie sędzę, że chyba ci się to przydało, a ja muszę na chwilę usiąść i odpocząć. Możemy obmyślić tam plan bitwy.

– Dobrze. – Sherlock był tak zmęczony, że chciał choć na chwilę przestać myśleć o tym wszystkim. Pragnął tylko, żeby ktoś przejął dowodzenie. – Chodźmy.

Po dziesięciu minutach byli w kawiarni. Znajdowała się w suterenie budynku, w którym mieściły się biura, schodziło się do niej po żelaznych schodkach. Na dole było niewielkie patio i szklana witryna kawiarni.

Wormersley wszedł pierwszy i wskazał Sherlockowi mały, skromny stolik. Podszedł do maleńkiego baru i wrócił z dwiema filiżankami herbaty nalewanej z wielkiego zbiornika.

Sherlock przyglądał się innym klientom. Byli tam mężczyźni, kobiety oraz dzieci, siedzący dwójkami albo samotnie, wszyscy opatuleni wieloma warstwami ubrań. Większość mężczyzn czytała gazety albo książki. Nikt nie patrzył w ich kierunku.

Zwrócił uwagę zwłaszcza na jednego jegomościa w grubym płaszczu, który jadł jakieś placki. Twarz miał gruzłowatą jak kartofel i zaczerwienioną. Sherlock nie widział go nigdy wcześniej, ale miał dziwne uczucie, że jest w nim coś znajomego.

– Pierożki – powiedział Wormersley, stawiając między nimi talerz. – Rosyjskie wypieki! Trochę mięsa, trochę warzyw, dobrze przyprawione. – Zdjął płaszcz i kapelusz i powiesił je na wolnym krześle. Jak sądził Sherlock, nie miał jeszcze trzydziestki. Był bardzo szczupłym mężczyzną o rzadkich blond włosach, dużych bokobrodach, cienkim wąsiku, który wyglądał jak narysowany ostrą stalówką, i schludnej koziej bródce.

Sherlock z wdzięcznością upił łyk herbaty. Spojrzał znów na klienta przy stoliku obok, zastanawiając się, dlaczego wygląda znajomo. Doszedł jednak do wniosku, że chyba nie widział go nigdy wcześniej. Zdał sobie sprawę, że mężczyźnie trzęsie się ręka.

– Mycroft myślał, że pana aresztowali – powiedział.

– I wybrał się aż do Rosji, żeby to sprawdzić? Mycroft przyjechał aż tutaj? – Wormersley uśmiechnął się. – Powinienem czuć się zaszczycony.

– Więc co się stało? – Sherlock odstawił filiżankę i ugryzł jeden pierożek. Smakowite nadzienie, mielona wołowina i grzyby, było gorące. Oparzył sobie usta.

– Wróciłem pewnego dnia do swojego mieszkania i zobaczyłem, że buszują w nim ludzie z Trzeciego Oddziału. Wiedziałem, że to oni,

poznałem po tanich ubraniach. Odwróciłem się i odszedłem, zanim zorientowali się, że tam jestem. Od tego czasu staram się być w nieustannym ruchu, przenoszę się z jednego podłego hotelu do drugiego, nigdy nie zostaję zbyt długo w jednym miejscu. Próbowałem przekazać Mycroftowi wiadomość, ale wszystkie biura telegraficzne są pod kontrolą carskich urzędników. – Potrząsnął głową. – Kto by pomyślał! Stary Mycroft dźwiga się ze swojego ciepłego fotela w Londynie i jedzie do Moskwy, żeby sprawdzić, czy wszystko ze mną w porządku.

– Nie chodzi tylko o pana – rzekł Sherlock. Pokrótce opowiedział Wormersleyowi o tym, co wydarzyło się wcześniej w Londynie i w Moskwie.

Wormersley odchylił się na krześle, sącząc herbatę.

– Ciekawe – stwierdził. – Ciekawe i osobliwe.

– To tak jakby mieć kawałki potłuczonej porcelany – powiedział Sherlock – i nie mieć pojęcia, co z nich powstanie, kiedy się je złoży. – Mówiąc te słowa, zastanowił się, dlaczego przyszło mu do głowy akurat porównanie z odłamkami.

– Wszystko zależy od tego, z jakiego powodu aresztowano Mycrofta – dumiał Wormersley. – Jest tu pod własnym nazwiskiem czy pod pseudonimem?

– Występuje tu jako pan Sigerson – odparł Sherlock. – Jest dyrektorem zespołu teatralnego, który przyjechał z przedstawieniem na zaproszenie rosyjskiego księcia. Chyba nazywa się Jusupow.

Wormersley skinął głową.

– Dobra przykrywka. Czy był w moim mieszkaniu?

– Obaj tam poszliśmy.

– Zapewne dlatego go aresztowali. Obserwowali mieszkanie i zabrali Mycrofta dlatego, że może wiedzieć, gdzie się ukrywam.

– To bez sensu. – Herbata i pierożki pomogły umysłowi Sherlocka znów zacząć działać na pełnych obrotach. – Gdyby to była prawda, aresztowaliby go, albo nas obu, w mieszkaniu, zamiast czekać, aż wrócimy do hotelu. To nie wyjaśnia też, dlaczego próbowali wplątać mnie w kradzież portfela. – Urwał na chwilę, starając się zebrać myśli i przyjrzeć im się tak, jak uczył go tego Amyus Crowe. Spojrzeć na nie jak na tropy pozostawione na ziemi i roślinach przez jakieś zwierzęta. Którędy szły i jak duże były?

I ile było wszystkich zwierząt?

Pod wpływem nagłego olśnienia aż wciągnął powietrze.

– Wygląda na to, że działały tu dwie osobne organizacje. Jedna tajna, która wrabia ludzi w coś, czego nie zrobili, i druga, która aresztuje ludzi jawnie i wrzuca ich do powozów. Jedna nieoficjalna i jedna oficjalna.

Wormersley pochylił się nad stolikiem w kierunku Sherlocka.

– Na razie nadażam. Mów dalej.

– Ta oficjalna organizacja, czyli jak sądzę, Trzeci Oddział, nie ma żadnego znanego mi powodu, żeby aresztować pana Sigersona, niewinnego dyrektora zespołu teatralnego. Ale gdyby ta organizacja wiedziała, że pan Sigerson to w rzeczywistości Mycroft Holmes, urzędnik rządu brytyjskiego, który przybył do Moskwy z tajną misją, mieliby wszelkie powody, żeby go zatrzymać.

– W istocie, ale kto by im powiedział? – Wormersley upił herbaty. – Ta ukryta, tajna organizacja. Ale dlaczego oni mieliby chcieć zamknąć Mycrofta?

– Żeby nie przeszkadzał? – Sherlock zastanowił się przez chwilę. – Nie, to nie ma sensu. Są łatwiejsze sposoby, żeby się kogoś pozbyć. Nie, oni musieli chcieć, żeby go aresztowano. – Urwał, zbierając myśli. – Musieli chcieć, żeby aresztował go właśnie Trzeci Oddział, którym dowodzi znajomy Mycrofta, hrabia Piotr Andriejewicz Szuwałow. Poznali się we Francji kilka lat temu.

Wormersley dał znak Sherlockowi, żeby ściszył głos.

– Lepiej nie wymieniać jego nazwiska w miejscach publicznych – ostrzegł. – Trzeci Oddział wszędzie ma informatorów. Każda wzmianka o nim może przyciągnąć ich uwagę.

Sherlock był zbyt przejęty, żeby przerwać. Miał wrażenie, że patrzy na kawałki układanki i przekłada je w wyobraźni, aż powoli zaczyna się wyłaniać kompletny obrazek. Albo że są to odłamki porcelany, które w myślach składa z powrotem w figurkę. Teraz wszystko stało się dla niego jasne. Tajna organizacja chciała, aby Mycrofta aresztowano, ponieważ było pewne, że będzie go przesłuchiwał osobiście hrabia Szuwałow. Mycroft był ważnym dyplomatą i jego znajomym. To mało prawdopodobne, żeby hrabia powierzył przesłuchanie kogoś takiego jakiemuś podwładnemu, raczej porozmawia z nim osobiście, na wypadek gdyby miały zostać ujawnione jakieś dyplomatyczne tajemnice. Będzie to uprzejma pogawędka dwóch dżentelmenów, którzy kiedyś zawarli znajomość, i odbędzie się w gabinecie Szuwałowa, ponieważ hrabia czuje się w nim

najbezpieczniej. I ponieważ Mycroft jest kimś ważnym, zasługującym na szacunek.

Nagle ujrzał całą prawdę, tak oczywistą, tak monumentalną, że na chwilę aż zaparło mu dech ze zdumienia, że nie dostrzegł tego wcześniej. To wszystko było ukartowane od samego początku! Wszystko, co zdarzyło się w Londynie, zaplanowano tak, by ściągnąć Mycrofta do Moskwy! Morderstwo w klubie Diogenes zaaranżowano nie po to, żeby przeszkodzić mu w przeczytaniu niepokojących raportów z Moskwy, ale właśnie po to, żeby na pewno je przeczytał. Miał uznać, że są one na tyle ważne, że ktoś był gotów zrobić go w morderstwo tylko po to, by ich nie przeczytał – i wobec tego potraktować je nadzwyczaj poważnie po powrocie do biura. To była przynęta na końcu żyłki sięgającej aż do Moskwy!

Wormersley patrzył na Sherlocka pytająco, ale jego myśli gnały zbyt szybko, żeby mógł teraz mówić. Kawałki porcelany składały się w całość. Szczegóły z każdą chwilą stawały się bardziej wyraźne.

Wstrząśnięty, zdał sobie sprawę, że zespół teatralny też był szopką. Musiał być. Jego dotyczył kolejny raport na biurku Mycrofta – brat Sherlocka sądził, że to zbieg okoliczności, ale tak nie było. Owa tajna organizacja, czymkolwiek jest, chciała, żeby znalazł się w Moskwie, by tam mógł zostać aresztowany, dała mu więc powód do wyjazdu, a zarazem podsunęła pomysł, jak się tam dostać. Wszystko spakowane i gotowe do drogi.

Przed oczami Sherlocka przesuwały się twarze członków zespołu – pana Kyte'a, pana Malvina, pani Dimmock, pani Loran, nie wspominając o dyrygencie panu Evesie i innych muzykach. A pomocnicy – Pauly, Henry, Judah i Rhydian? Czy oni wszyscy byli częścią tej farsy? Wszyscy grali, nawet ci, którzy nie byli aktorami? Skala tego przedsięwzięcia była niewiarygodna.

Gdy teraz o tym myślał, wszystko wydawało się takie oczywiste. Owa tajna organizacja liczyła na to, że Mycroft będzie zdezorientowany po aresztowaniu w Londynie i skorzysta z pierwszej nadarzającej się okazji, żeby pojechać do Moskwy. Ale byli jeszcze Sherlock i Amyus Crowe, których potrzebowali jakoś usunąć z drogi. To by wyjaśniało atak w muzeum. Organizacja błyskawicznie reagowała na niespodziewane zwroty wydarzeń, dlatego tak trudno było przejrzeć jej zamiary.

Oddychał szybko, a od podniecającej świadomości, że odkrył prawdę, aż mrowiło go całe ciało.

Plan obmyślono tak, żeby Mycroft znalazł się sam na sam z hrabią Piotrem Andriejewiczem Szuwałowem, szefem Trzeciego Oddziału, w jego gabinecie. Wszystko miało prowadzić właśnie do tej chwili. Ale dlaczego? Kiedy Sherlock po raz kolejny zastanowił się nad tym, co wydarzyło się do tej pory, odpowiedź stała się oślepiająco oczywista. Pragnęli zabić hrabiego Szuwałowa i chcieli, by wina za to spadła na Mycrofta. Taki był ich modus operandi – zrzucanie na ludzi winy za zbrodnie, których nie popełnili. Wrobili przecież Mycrofta w morderstwo, a potem Sherlocka w kradzież portfela.

Podniósł głowę i spojrzał w oczy Wormersleyowi.

– Pan też należy do spisku, prawda? – Ta myśl pojawiła się nagle, ale wiedział, że ma rację. Jego umysł w ułamku sekundy zebrał dowody.

Wormersley spojrzał z podziwem na Sherlocka.

– Jesteś nieodrodnym bratem Mycrofta. Brawo!

W kawiarni zapadła cisza, tak jakby wszyscy inni klienci przerwali na chwilę rozmowy albo jedzenie i czekali na to, co się stanie.

Wąskie usta Wormersleya wygięły się w uśmiechu.

– Oczywiście, że należę do spisku. Nie jestem zaskoczony, że się tego domyśliłeś, biorąc pod uwagę to, kim jest twój brat. Ciekaw jestem tylko, co mnie zdradziło.

– Dwie rzeczy – odparł Sherlock, starając się panować nad głosem. – Oczywiście zarost. Powiedział mi pan, że od tygodni się ukrywa i przynosi z jednego podłego hotelu do drugiego, ale wąsy i brodę ma pan nienagannie przystrzyżone. A podobno miał pan na głowie ważniejsze rzeczy niż pielęgnacja zarostu.

Wormersley przesunął dłonią po policzku.

– Słuszna uwaga. Nigdy nie mogę oprzeć się temu, żeby wyglądać sztywnie. A ta druga rzecz?

– Pańskie mieszkanie. Miało sprawiać wrażenie splądrowanego, ale szczątki były zbyt starannie poukładane. – Sherlock zdał sobie sprawę, że na to właśnie umysł próbował zwrócić mu uwagę, kiedy myślał o kawałkach rozbitych figurek. – Gdyby ktoś naprawdę przeszukiwał mieszkanie, kawałki rozbitych sprzętów leżałyby rozrzucone przypadkowo, a tymczasem odłamki mniejszych bibelotów leżały na połamanym meblach. Ktoś pracował metodycznie, najpierw niszcząc większe przedmioty, a potem mniejsze. To nie było przeszukanie, tylko ustawianie dekoracji.

Wormersley skinął głową.

– Będę o tym pamiętał następnym razem. Jesteś świetnym obserwatorem, Holmes. Naprawdę doskonałym – odparł cynicznie.

Sherlock rozejrzał się.

– Wie pan, że jesteśmy w miejscu publicznym? Jeśli będę kopał i wrzeszczał, raczej nie zdoła mnie pan stąd wyciągnąć, tak by nikt nie zareagował.

– Och, myślę, że nie doceniasz tego, jak doskonale Rosjanie potrafią udawać, że nic nie widzą. – Zaśmiał się nagle. – Ale na wypadek, gdybyś chciał spróbować...

Omiótł spojrzeniem maleńką kawiarnię i pstryknął palcami.

Wszyscy ludzie siedzący przy stolikach odwrócili się do niego. Na ich twarzach nie było zdziwienia. To były spojrzenia żołnierzy patrzących na dowódcę – cierpliwe oczekiwanie na rozkazy.

Sherlock przyjrzał się dwóm kobietom siedzącym pod przeciwległą ścianą. Jedna była młoda i chowała pod chustką kasztanowate włosy, a druga, ubrana w futro, była w średnim wieku. Panna Dimmock i pani Loran? Nie był pewien, aż do chwili, kiedy ta młodsza uśmiechnęła się do niego i nagle zobaczył jej delikatne rysy pod makijażem.

Mężczyźni – czyżby byli to panowie Malvin, Furness, Eves i różni muzycy, których imion Sherlock nie zdołał zapamiętać? Dyrygent, jeśli to był on, zgolił wąsy – albo co bardziej prawdopodobne, odkleił fałszywe – ale wzrostem pasował idealnie.

Jegomość o plamistej twarzy przypominającej kartofel mrugnął do niego, po czym pociągnął ręką za nabrzmiałą skórę. Odrywał jej kawałki niczym wosk, aż w końcu odsłonił prawdziwą twarz – pożyłkowane na czerwono policzki i nos podobny do kalafiora. To był pan Furness.

– Co za ulga – stwierdził. – Swędzi jak diabli! Kit do charakteryzacji, pamiętasz?

Teraz, gdy patrzył na czwórkę dzieciaków, widział, że są to w istocie Judah, Pauly, Henry i Rhydian. Byli grubo ubrani, mieli ubrudzone twarze, nałożone sztuczne zęby. Wypchano im też policzki i nałożono makijaż zmieniający ich rysy. Pauly skinął Sherlockowi głową; Henry tylko nonszalancko wzruszył ramionami, jakby w całej tej sytuacji nie było nic nadzwyczajnego.

Chociaż w niezwykłym popisie dedukcji Sherlock domyślił się niemal wszystkiego, tego się nie spodziewał.

– Więc co teraz będzie? – zapytał.

– Teraz – rzekł Wormersley – posiedzimy tutaj, wypijemy herbatę i zjemy pierożki. Właściciel kawiarni nie będzie nam przeszkadzał: zapłaciliśmy mu dość, by się nie wtrącał. Poczekamy tu tak długo, aż hrabia Piotr Andriejewicz Szuwałow będzie martwy, a twój brat zostanie aresztowany za morderstwo.

– Ale co uzyskacie dzięki temu? – zapytał Sherlock. – Po co zadawać sobie tyle trudu, żeby ściągnąć Mycrofta aż do Moskwy? Dlaczego sami nie zabijecie hrabiego Szuwałowa?

Wormersley westchnął.

– Nie zdajesz sobie sprawy, jak dobrze jest chroniony. Nigdy nie pojawia się w miejscach publicznych, a podczas podróży towarzyszą mu strażnicy, którzy pracują z nim od dwudziestu lat albo dłużej. Są mu fanatycznie oddani. Kiedy wyjeżdża, wysyła kilka jednakowych powozów w różnych kierunkach, tak że nie wiadomo, w którym z nich jedzie. To ważna osobistość, najważniejsza po carze. Wierz mi, próbowaliśmy. Wiele razy. Jedynym wyjściem było stworzenie takiej sytuacji, w której możemy mieć pewność, że jest sam.

– Ale co on wam zrobił?

– Wie o nas. I nie podoba mu się nasza działalność. Chce nas powstrzymać.

– Kim wy jesteście?

– Jesteśmy Komnatą Paradoru – rzekł jakiś głos za plecami Sherlocka.

Słyszając te słowa, poczuł dreszcz przebiegający mu po plecach.

Odwrócił głowę. Pani Loran, która zawsze była dla niego taka miła, wstała i podeszła do ich stolika. Wciąż uśmiechała się uprzejmie, miała też na sobie wiele warstw ubrań, tak że wyglądała jak rosyjska babuszka, ale w jej oczach Sherlock dostrzegł stalowy błysk, którego nigdy wcześniej nie widział.

– Co to jest Komnata Paradoru? – zapytał głosem drżącym ze strachu i z rozczarowania, że oto znów zdradził go ktoś dorosły, kogo polubił i komu zaufał.

– Organizacja – odrzekła. – Klub. Grupa podobnie myślących ludzi. A może nawet naród bez państwa. To wszystko i jeszcze więcej. Jesteśmy ludźmi, którzy widzą, dokąd zmierza świat, i którym się to nie podoba. Postanowiliśmy zmienić bieg historii.

– Więc ta cała sprawa ze sprzedażą Alaski Stanom i to, że Amerykanie mogą nie wywiązać się z należności, a wtedy wkroczą Hiszpanie, to wszystko był fałsz?

Roześmiała się.

– Nie, to wszystko była prawda. Ale w dużej mierze nieistotna. Przynęta w pułapce. Najlepsze kłamstwa to te, które składają się głównie z prawdy. Wykorzystaliśmy po prostu obecną sytuację polityczną jako przynętę na twojego brata. A do tego dołożyliśmy zniknięcie pana Wormersleya.

– A co z Mycroftem? Dlaczego on?

– Bo dobrze się do tego nadawał jako ktoś, kto mimo młodego wieku pracuje w samym sercu brytyjskiego rządu. Waszemu premierowi trudno będzie twierdzić, że Mycroft Holmes to w gorącej wodzie kąpany idealista. Ciężko wyobrazić sobie kogoś dalszego od spontaniczności czy idealizmu niż twój brat. Kiedy Mycroft zostanie uznany za mordercę hrabiego Szuwałowa, każdy rząd na świecie dowie się, że Wielka Brytania jest winna zabójstwa na tle politycznym popełnionego za przyzwoleniem rządu. Wasz kraj stanie się wyrzutkiem. Nikt już nie będzie was słuchał. Nie będziecie mieli żadnego wpływu na sprawę świata.

– A to jest dla was ważne? Równie ważne jak pozbycie się hrabiego Szuwałowa?

– Jesteśmy Komnatą Paradoru – odparła po prostu pani Loran. – Zawsze mamy kilka powodów. Każde nasze działanie służy wielu różnym celom. Tak jest sprytniej.

Sherlock spojrział z wyrzutem na Wormersleya.

– Ale dlaczego pan? Dlaczego dał się pan wciągnąć w to wszystko?

Wormersley spojrział na panią Loran, tak jakby prosił ją o pozwolenie. Skinęła głową.

– Dużo podróżowałem – rzekł Wormersley – i wszędzie, gdzie byłem, widziałem, jak ludzie wykorzystują się nawzajem, niewolą i krzywdzą, zawsze w imię polityki albo religii. – Patrzył w przestrzeń, jakby wspominał odległe czasy i miejsca. – Świat pogrąża się w chaosie. Ktoś musi wystąpić przed szereg i przejąć dowodzenie. – Uśmiechnął się, marzycielsko i groźnie zarazem. – Wyobraź sobie, Sherlocku, rząd światowy! Od czasu Aleksandra Wielkiego nie było to możliwe, a świat jest teraz dużo większy! Wątpię, czy dokona się to za mojego życia, ale mogę się do tego przyczynić, pracując dla Komnaty Paradoru.

– Mówiąc bardziej prozaicznie – powiedziała pani Loran – Wormersley trafił do więzienia w Japonii. Japończycy nie lubią obcych. Groziły mu tortury i śmierć. Wysłaliśmy mu wiadomość z propozycją, że wydostaniemy go stamtąd, jeśli się do nas przyłączy.

Sherlock zmarszczył brwi.

– Ale jest coś, czego nie rozumiem. Mycroft i hrabia Szuwałow znajdują się sam na sam w gabinecie hrabiego. I co się wtedy stanie? Jak zginie Szuwałow, a Mycroft zostanie posądzony o morderstwo? Czyba nie użyjecie znów sztuczki z lodowym nożem? Hrabia przecież nie przebiję się sam.

– Nóż z lodu to był przydatny manewr, dobra próba przed jakimś zamachem w przyszłości, ale masz rację, nie możemy jej teraz użyć. Mamy inny plan, znacznie lepszy.

– Jaki? – zapytał Sherlock.

– Niech to pozostanie niespodzianką, dobrze? – powiedziała.

Sherlock zniecierpliwiał się.

– Wszystkie wasze zamiary są takie skomplikowane? Wiem, że Mycroft tu dotarł, że go aresztowano i że lada chwila zostanie przesłuchany przez hrabiego Szuwałowa, ale na każdym etapie mnóstwo rzeczy mogło pójść nie tak. Mycroft mógł nie zostać zwolniony przez policję albo mógł nie zdecydować się na wyjazd, albo uznać, że pojedzie oficjalnie, pod własnym nazwiskiem. Szuwałow z kolei nie musi przesłuchiwać go osobiście we własnym gabinecie. Było ryzyko, że pęknie niemal każde ogniwo tego łańcucha. Szanse, że wasz plan się powiedzie, były minimalne.

– Nie myśl o tym jak o łańcuchu – wyjaśnił Wormersley. – Wyobraź sobie raczej, sam nie wiem... sieć rybacką. Każdy węzeł to decyzja, ale jest wiele różnych dróg, żeby przedostać się z jednego krańca sieci na drugi. Na przykład gdyby Mycroft nie został zwolniony przez policję, znaleźlibyśmy mu prawnika opłaconego przez dobrze znanego dobroczyńcę. Zostawilibyśmy poszlaki, które doprowadziłyby policję do dowodów oczyszczających imię Mycrofta. Zaskoczyło nas, kiedy ty i ten wielki Amerykanin włączyliście się w całą sprawę, ale to oszczędziło nam wielu kłopotów. – Wzruszył ramionami. – Chociaż musieliśmy spróbować pozbyć się was w muzeum, a potem zmienić plany podróży, kiedy stało się jasne, że Mycroft nie pojedzie bez ciebie. Gdyby nie złapał przynęty i nie wyruszył do Moskwy, być może podnieśliśmy stawkę. Na przykład wysłałbym mu osobistą wiadomość z błaganiem o pomoc. Tak czy inaczej,

a przewidzieliśmy wiele różnych rozwiązań, Mycroft przyjechałby do Moskwy, a wtedy my dalibyśmy znać Trzeciemu Oddziałowi, który by go zgarnął. Geniusz to, jak mówią, zdolność do zapanowania nad nieograniczoną liczbą szczegółów, a Komnata Paradoru ma wielu geniuszy pracujących w jej interesie. Tak więc nieuchronnie wszystko zmierza do jednego momentu, dziś o trzeciej po południu, kiedy Szuwałow każe przyprowadzić Mycrofta do swego gabinetu, a potem zginie.

– Skąd wiecie, że to się stanie o trzeciej? – zapytał bezradnie Sherlock. Uważał się za inteligentnego, jednak w obliczu ogromnej cierpliwości i niewiarygodnej zdolności planowania Komnaty Paradoru ogarniał go podziw zmieszany ze zgrozą.

– Mamy dostęp do jego kalendarza – rzekła cicho pani Loran. – Przekupiliśmy jednego z pomniejszych sekretarzy. Nigdy nie widuje Szuwałowa ani nie przebywa na tyle blisko niego, żeby go zamordować, ale zna jego plan dnia. Hrabia ma półgodzinną przerwę między trzecią a wpół do czwartej. Wcześniej udaje się na spotkanie na Kremlu, potem na audiencję u cara. Jeśli to zdarzy się dziś, to właśnie o trzeciej. Jeśli nie dziś, znamy przerwę w jego harmonogramie aż do końca tygodnia.

– A co będzie ze mną?

Wormersley znów spojrzał na panią Loran.

– Za dużo wiesz – rzekła cicho. – Dlatego Wormersley przechwycił cię przed hotelem i przyprowadził tutaj. Musieliśmy ustalić, jak dużo się dowiedziałeś i ile jesteś w stanie domyślić się na tej podstawie. Teraz mamy pewność, że wiesz za dużo i w istocie jesteś równie inteligentny jak twój brat. Tak mówił nam baron Maupertuis, ale musieliśmy sami się o tym przekonać. Nie możemy pozwolić, żebyś żył. Zostaniesz porzucony na odludziu. Niedźwiedzie i wilki zatrą wszelkie ślady.

Przez ciało Sherlocka przebiegł dreszcz. Rozejrzał się, ale nie widział żadnej drogi ucieczki. Otaczali go agenci Komnaty Paradoru. Gdyby próbował zbiec, dopadliby go w jednej sekundzie.

A Mycroft? Biedny Mycroft, już niedługo znów zostanie wplątany w morderstwo, którego nie popełnił. Ale tym razem nie będzie nikogo, kto mógłby dowieść jego niewinności.

Pewnie skończy się to wojną – między Rosją a Anglią. Incydent dyplomatyczny tej wagi może zmienić bieg historii. Ale czy nie tego właśnie chce Komnata Paradoru?

– Zabierz go – rzuciła przez ramię pani Loran do pana Furnessa. – I dopilnuj, żeby jego ciała nigdy nie odnaleziono.

Pan Malvin stanął za panią Loran. Trzymał drewnianą skrzynkę. Sherlock zauważył wywiercone w pokrywie dziurki, jednak nie mógł się domyślić, w jakim celu je tam zrobiono.

– To – powiedziała pani Loran do Wormersleya, wskazując skrzynkę wyciągniętą dłonią – jest dla ciebie. Strzeż tego. I pamiętaj, punkt trzecia.

Odwróciła się do Sherlocka.

– Zrozum, to nic osobistego. Nie żywimy do ciebie wrogości, mimo tego, co stało się z baronem Maupertuisem. Jesteś tylko kamieniem na drodze, który musimy usunąć, zanim przejedzie po niej wóz historii.

– Chodź – powiedział Wormersley, wstając. – Zabierzemy cię tam, gdzie jest naprawdę niebezpiecznie.

W tej samej chwili szkło roztrzaskało się na żelaznych schodkach przy wejściu. Gdy Sherlock podniósł głowę, zobaczył, że patio właśnie stało w płomieniach.

ROZDZIAŁ 15



Kawiarnię w ciągu kilku sekund wypełnił tłusty, czarny dym. Wormersley zaklął i spróbował złapać Sherlocka za ramię, ale ten szarpnął się do tyłu. Jego krzesło przechyliło się, a on spadł na podłogę. Szybko stanął na czworakach i ukrył się pod wolnym stolikiem.

Wszyscy pozostali – członkowie trupy teatralnej, z którymi podróżował, z którymi jadł, którym zdążył zaufać – zerwali się na równe nogi, zaskoczeni nagłym pożarem. Stoliki i krzesła przewracały się na podłogę.

– Łapać go! – krzyknęła pani Loran. – Łapać chłopaka!

Płomienie lizały teraz drewniany front kawiarni. Szkło pękało od gorąca. Stolik stojący z przodu, niedaleko okna, zajął się ogniem.

Ktoś złapał Sherlocka za rękę i odciągnął go ku zapleczu kawiarni. Próbował się opierać, ale wtedy czyjś głos powiedział z irlandzkim akcentem:

– Chłopcze, jeśli możesz zaufać jednej osobie tylko raz w życiu, zaufaj mi teraz.

Rufus Stone!

Sherlock pozwolił się zaciągnąć za kontuar pod ścianą w głębi kawiarni. Jeden z ludzi Wormersleya – chyba pan Malvin, jednak Sherlock nie był tego pewien – zobaczył ich i próbował się do nich dostać, ale Stone pchnął go na podłogę.

Za kontuarem znajdowało się jakieś pomieszczenie, do którego prowadziło na wpół ukryte niewielkie wejście. Stone wciągnął tam Sherlocka i zamknął za nimi drzwi.

Byli w spiżarni. Pod ścianami piętrzyły się ciężkie wory z mąką i skrzynki herbaty. Stone zaczął barykadować nimi wejście. Sherlock przyłączył się do niego, czując, że oczy pieką go od dymu.

– Jak oni się wydostaną? – krzyknął.

– To już nie mój kłopot – odparł Stone. Spojrzał na Sherlocka i gdy zobaczył jego minę, dodał: – Mogą użyć stolików jako osłon i wydostać się po schodkach. Jeśli się pospieszą, zdołają wyjść na ulicę. Pewnie ludzie na zewnątrz też będą się starać ugasić ogień. Nie martw się, nie skazujemy ich na śmierć w płomieniach, choć miałbym na to wielką ochotę.

– Jak wywołał pan pożar?

– Bardzo prosto. Tuż obok na ulicy stał sprzedawca herbaty. Podgrzewał samowar palnikiem spirytusowym.

– Co podgrzewał?

– Samowar, czyli ten zbiornik na wrzątek. Sprzedawca miał butelkę spirytusu. Pożyczyłem ją od niego, rozlałem na zewnątrz, kiedy byli skupieni na tobie, po czym rzuciłem płonący kawałek papieru. Zadziałało całkiem niezłe moim zdaniem.

Zaprowadził Sherlocka na tyły spizarni, skąd kamienne schodki prowadziły na niewielkie podwórko.

– Jak pan mnie znalazł? – zapytał Sherlock.

– Szedłem do hotelu, żeby porozmawiać z panem Holmesem. Zobaczyłem, że go aresztowali, a potem że podszedł do ciebie jakiś wysoki, ubrany na ciemno nieznany mężczyzna. Zaintrygowało mnie to, więc skradałem się za wami aż tutaj. To dziwne, ile można podsłuchać przez otwarte okno.

– Słyszał pan wszystko?

– Tak – potwierdził Stone z posępną miną.

Podwórko wychodziło na wąską uliczkę biegnącą między budynkami. Stone skręcił w prawo i szedł szybko. Sherlock musiał prawie biec, żeby za nim nadążyć.

– W takim razie co robimy? – zapytał bez tchu.

– Idziemy do ambasady brytyjskiej i zdajemy się na łaskę ambasadora. Oto, co robimy.

– Nie! – Sherlock zatrzymał się gwałtownie.

– Chodź – ponaglił go Stone. – Na ulicy w każdej chwili ryzykujemy.

Sherlock jednak nie ruszał się z miejsca: uparty, krnąbrny i śmiertelnie zmęczony.

– Musimy dostać się do mojego brata – powiedział ponuro.

– Chłopcze, teraz już nic mu nie pomożesz. Najlepsze, co możemy zrobić, to pozwolić, żeby służba dyplomatyczna zajęła się tą sprawą.

Szczerze mówiąc, oni właśnie po to są, żeby interweniować w sytuacjach kryzysowych. Oraz chodzić na bankiety. Jeśli będziemy mieli szczęście, może uda im się dotrzeć do hrabiego Szuwałowa przed Wormersleyem albo panią Loran. – Spojrzał w stronę kawiarni. – To zależy od tego, czy udało im się stamtąd wydostać w jednym kawałku. Chyba pokrzyżowaliśmy im szyki. – Uśmiechnął się. – I upiekliśmy dwie pieczenie na jednym ogniu.

– Wykonanie ich planu prawdopodobnie nie zależy od tego, czy będą na miejscu – zauważył Sherlock. – Pana Kyte’a nie było w kawiarni. On w żaden sposób nie mógłby się ukryć. Może to on kieruje zamachem.

Stone patrzył na Sherlocka dłuższą chwilę.

– Poznają tę minę. Miałaś takie samo spojrzenie, kiedy próbowałaś opanować gamy i arpeggia na S/s „Scotia”. Uparciuch z ciebie, co?

Sherlock z zakłopotaniem wzruszył ramionami.

– To u nas rodzinne – mruknął.

Stone westchnął ciężko.

– Dobrze – ustąpił. – Pójdźmy przynajmniej pod budynek, w którym jest gabinet Szuwałowa. Może uda nam się przekazać strażnikom ostrzeżenie albo coś w tym rodzaju.

– Pan wie, gdzie jest jego gabinet?

– Na placu Łubiańskim. – Uśmiechnął się niewesoło Stone. – To dobrze znany adres w Moskwie, choć nie wszyscy, którzy się tam znaleźli, kiedykolwiek stamtąd wrócili. – Spojrzał na zegarek. – Nie mamy za dużo czasu. Jeśli Wormersley miał prawdziwe informacje, Mycroft zostanie przyprawiony do Szuwałowa za jakieś dwadzieścia minut.

Sherlock rozejrzał się.

– Nie widzę żadnej dorożki!

– Nie mamy czasu czekać – rzekł Stone. – I tak dotrzemy tam szybciej na piechotę, idąc na skróty.

Stone ruszył przodem, biegnąc przez zaułki i uliczki tak, jakby mieszkał w Moskwie całe życie. Sherlock pędził za nim. Mijali kolejne budynki pomalowane na różne kolory, ale wszystkie tak samo masywne. Ludzie usuwali się z drogi, nie patrząc im w oczy. Spod ich nóg podrywały się stada szpaków i wróbli. Powietrze było lodowato zimne i choć Sherlock czuł, jak od wysiłku po zebrach i kręgosłupie spływa mu ciepły pot, to w twarz kłuły go kryształki śniegu, którymi miotał wiatr. Pomyślał sobie, że będzie miał na policzkach tysiące maleńkich nacięć zostawionych przez

kryształki. Ta myśl przypominała mu o twarzy pana Kyte'a i małych bliznach wokół jego oczu, na policzkach i nosie. W jaki sposób się zranił? Pewnie nigdy się tego nie dowie.

Serce łomotało mu w rytmie kroków. W szkole biegał w zawodach, ale na krótszych dystansach. A to był maraton – niekończący się, niemal nie do wytrzymania.

Od uderzeń stóp o bruk drżały mu nogi i wszystkie kości w ciele. Wszędzie leżał śnieg. W pewnym momencie, kiedy przebiegali przez ulicę, lawirując między różnymi wozami i karetami, Sherlock trafił stopą na kawałek lodu i poślizgnął się. Przez jedną straszną chwilę myślał, że się przewróci. Młócił bezradnie ramionami, balansując ciałem pochylonym do przodu. Wydawało się to trwać wiecznie, ale w końcu wpadł na przechodzącą grubo opatuloną Rosjankę i udało mu się odzyskać równowagę.

– Przepraszam! – zawołał przez ramię.

Próbował zmusić swoje nogi, żeby biegły choć trochę szybciej. Stone był sporo przed nim.

Furkot przestraszonych szpaków i wróbli zrywających się do lotu wokół niego mieszał się z migotaniem w kącikach oczu. Świat jakby się zwęził, gdy gonił za umykającą sylwetką Rufusa Stone'a.

Wreszcie Stone nieco zwolnił. Przebiegł przez całą aleję i zatrzymał się. Sherlock przystanął obok niego, czując, jak pali go w płucach. Stał pochylony, z rękami opartymi na kolanach, i chwycił wielkie hausty powietrza. Miał wrażenie, że oddycha ogniem. Stone oparł się o ścianę najbliższego budynku, kaszląc.

Po jakiejś minucie obaj doszli do siebie na tyle, żeby móc rozmawiać.

– Jesteśmy na placu Łubiańskim – wysapał Stone. Wskazał głową budowlę po drugiej stronie ulicy. – To jest siedziba Oddziału Trzeciego.

Sherlock spojrział na budynek. Przypominał fortecę: małe, wąskie, zakratowane okna, gładki ceglany mur, po którym nikt nie zdołałby się wspiąć, na rogach wieżyczki, skąd strażnicy mieli dobry widok na teren wokół budynku i skąd mogli zapewne strzelać do nacierającego tłumu.

Nieopodal stało kilka różnych furgonów, dorożek i powozów, a ich woźnice odpoczywali. Pewnie stali tu po to, żeby zamożni Rosjanie opuszczający budynek mogli od razu odjechać.

– Gdzie jest gabinet hrabiego Szuwałowa? – zapytał chrapliwie Sherlock. Stone przyjrzał się oknom.

– Nie będę wskazywał – powiedział. – Nie chcę budzić jeszcze większego zainteresowania niż to, które wywołał nasz wyczyn sportowy. Spójrz na wieżyczkę po lewej, a potem przesuń wzrokiem wzdłuż krawędzi dachu do okna, które jest większe od pozostałych i nieco wystaje z bryły budynku. To jego gabinet. – Urwał i znów zakaszłał. – Zwróć uwagę na dodatkowe kraty w oknie i na to, że nie można się tam dostać ani z dołu, ani z boku, ani z góry. Nie ma parapetów. Szkło jest przyciemnione, więc nikt z zewnątrz nie może mierzyć do celu wewnątrz, a jeśli się rozejrzysz, przekonasz się, że to najwyższy budynek w okolicy. Nie ma żadnego miejsca, gdzie mógłby się usadowić snajper. W środku jest jeszcze gorzej, podobno trzeba przejść przez sześć osobnych posterunków, zanim dotrze się do strażników przed jego gabinetem, wybranych osobiście przez Szuwałowa. Naprawdę nie wiem, jak Wormersley może liczyć na to, że zamach się powiedzie.

Sherlock spojrział na okno gabinetu, a potem na zegarek. Prawie trzecia! Jeśli ludzie z Komnaty Paradoru się nie mylili – a podejrzewał, że nie mylą się nigdy – Mycroft już był w drodze na spotkanie z hrabią!

Rozejrzał się, wypatrując czegoś niezwykłego, jakiejś wskazówki, co stanie się dalej.

I wtedy coś zauważył.

– Nie ma ptaków – stwierdził.

– Co takiego?

– Nie ma ptaków. W tym mieście jest mnóstwo szpaków i wróbli, ale teraz zniknęły. Nie widzę ani jednego.

Stone również spojrział w niebo.

– Masz rację, ale nie wiem, do czego zmierzasz.

– Co odstrasza ptaki?

Skrzypek wzruszył ramionami.

– Koty?

– Koty, owszem, ale i inne ptaki. Drapieżne.

Stone otworzył szerzej oczy.

– Ten sokół, o którym mówił mi Mycroft, ten z muzeum w Londynie! Myślisz, że to jest plan Wormersleya?

– Niech pan zwróci uwagę na okno – powiedział Sherlock. – Tak jak pan mówił, do gabinetu nikt nie mógłby się dostać ani z zewnątrz, ani od środka. Ale ptak może tam wlecieć.

– I co zrobić? Ptak nie dźgnie Szuwałowa nożem ani go nie zastrzeli, a jeśli tylko zaatakuje go pazurami, Wormersley w żaden sposób nie

sprawi, żeby wyglądało na to, że to Mycroft jest sprawcą zamachu.

Myśli Sherlocka wystrzeliwały we wszystkich kierunkach jednocześnie.

– Kiedy ten sokół zaatakował mnie w muzeum, do pazurów miał przyczepione ostrza. Niech pan sobie wyobrazi, że Mycroft został doprowadzony do gabinetu Szuwałowa przez te wszystkie posterunki. W pokoju są tylko oni dwaj. Tresowany sokół Wormersleya wlatuje przez otwarte okno i leci wprost na hrabiego. Tnąc głęboko, podrywa mu ostrzem gardło, po czym wylatuje. Szuwałow być może krzyczy. Albo Mycroft wzywa pomocy. Wbiegają strażnicy. Widzą tylko swojego zwierzchnika, który wykrwawia się na śmierć z powodu poderżniętego gardła, oraz Mycrofta. Są w pomieszczeniu, do którego nie mógł wejść nikt inny.

– Ale Mycroft nie będzie miał przy sobie noża – zauważył Stone.

– To nieważne. Wszystkie dowody świadczą przeciwko niemu. Pewnie uznają, że wyrzucił nóż, brzytwę czy inne narzędzie przez okno.

– Nie jestem pewien... A jeśli okno będzie zamknięte?

– Wtedy użyją procy albo zwykłego kamienia, aby je wybić, tak żeby sokół mógł wlecieć do środka. W zamieszaniu, jakie zapanowałyby później, straż uznałaby pewnie, że wybił je Mycroft, próbując uciekać. Tak działa Komnata Paradoru! Myślą o wszystkim. To ma sens. Nie mogłem pojąć, dlaczego zaatakował mnie akurat sokół. Kto zabiera sokoła do muzeum? Musieli go tam tresować, a muzeum było ich ośrodkiem dowodzenia.

Nagle coś sobie przypomniał i włożył rękę do kieszeni. Tuż obok fiolki zabranej z klubu Diogenes, odkrytej przy ciele człowieka przebitego lodowym ostrzem, wymacał drobny kształt nieżywej myszy, którą znalazł w pociągu do Moskwy i o której zupełnie zapomniał. Doskonale układała się w dłoni.

– A to prawdopodobnie pochodzi z zapasów karmy dla niego – powiedział, dyskretnie pokazując zwierzątko Stone'owi. – Znalazłem to w pociągu. Pan Kyte pewnie zajmował się ptakiem i dlatego spędzał tyle czasu w swoim przedziale. Uspokajał go i karmił; pilnował, żeby nie uciekł.

– Załóżmy, że masz rację. – Stone zadarł głowę do góry. – Skąd twoim zdaniem nadleci sokół?

– Z jakiegoś miejsca w pobliżu. Może z któregoś budynku, jeśli zdołali dostać się na dach albo do pustego pokoju. – Sherlock rozejrzał się pospiesznie. – Albo gdzieś z ulicy.

Jego wzrok zahaczył o czarny powóz stojący po drugiej stronie ulicy. Wyglądał tak samo jak inne przejeżdżające z turkotem powozy, ale coś przyciągnęło uwagę Sherlocka. Może potężna postura woźnicy i to, że na próżno próbował ukryć pod szalikiem rudą brodę.

– Tam – powiedział. – To tamten powóz.

Stone spojrział tam, gdzie patrzył Sherlock.

– To pan Kyte.

– Tak myślałem.

– W środku zapewne jest Wormersley. Z sokołem, jeśli miałeś rację. – Stone zrobił krok w kierunku siedziby Trzeciego Oddziału. – Musimy pójść do wartowni i ostrzec strażników, co grozi hrabiemu Szuwałowowi.

– Nie ma czasu – odrzekł Sherlock.

Ktoś opuścił okno powozu od strony budynku.

Coś pojawiło się w jego ciemnym kwadracie, za którym Sherlock nie mógł dostrzec wnętrza. Było to ramię – ramię z siedzącym na nim upierzonym na brązowo ptakiem. Może to był ten sam ptak, który zaatakował go w muzeum w Londynie, a może inny, ale wyglądał równie groźnie.

Niski gwizd przeciął powietrze: te same trzy dźwięki, które Sherlock słyszał wcześniej w muzeum.

– As, e, gis, – mruknął Stone.

Sokół odbił się łapami, a potem trzykrotnie uderzył skrzydłami i wzniósł się w niebo. Szybował przez chwilę, rozglądając się, po czym znów pomachał skrzydłami i wzniósł się jeszcze wyżej. Słońce zabłysło okrutnie na dwóch wygiętych metalowych ostrzach przyczepionych tuż nad jego szponami.

Człowiek w powozie znów zagwizdał, tym razem inne dźwięki, i sokół zmienił nieco kierunek lotu, skręcając lekko w lewo. Gwizd prowadził go do właściwego okna! Wormersley pewnie tresował go z użyciem repliki budynku albo namalowanej atrapy, ale nie ryzykował. Prowadził ptaka dokładnie tam, gdzie chciał.

– Za późno – powiedział Stone.

– Nie – odrzekł Sherlock z taką pewnością w głosie, że aż się sam zdziwił. – Nie!

Zacisnął pięść, w której trzymał martwą mysz, i odchylił ramię. Wyciągając dla równowagi lewą rękę, rzucił gryzoniem tak, jak się rzuca piłką do krykieta.

Małeńkie ciało pofrunęło łukiem w stronę otwartego okna. Sherlock zagwizdał, próbując naśladować dźwięki komendy Wormersleya. Sokół obrócił głowę, żeby zobaczyć, kto się ośmiela dawać mu sygnały. I wtedy spostrzegł martwą mysz, która już zaczynała spadać na ziemię. Ptak skręcił w powietrzu i zanurkował. Mysz spadała szybko, ale sokół przyspieszył dwoma potężnymi uderzeniami skrzydeł, po czym złożył je blisko ciała. Leciał przez powietrze jak pocisk, a tor jego lotu zbliżał się do toru, jakim opadała mysz.

Połknął ją w całości jednym kłapnięciem dzioba.

Rozległy się kolejne gwizdy mające przywołać ptaka do porządku, ale głód zwyciężył nad tresurą. Sherlock wiedział, że jeśli nakarmi się sokoła, ptak może stracić zainteresowanie tym, czego chce od niego treser. Drapieżnik szerokim łukiem zawrócił w stronę powozu, ku czemuś, co w tej chwili było odpowiednikiem gniazda: skrzynce z pokrywą, którą Wormersley zabrał z kawiarni.

W ciemnym wnętrzu powozu Sherlock ujrzał unoszącą się jak widmo twarz Wormersleya, skrzywioną w grymasie frustracji.

Sherlock pomyślał o dźwiękach, które słyszał już w muzeum i które były dla sokoła sygnałem do ataku. Zmusił swój mózg, żeby przypomniawsobiesobienuty. Przecież umie trochę grać na skrzypcach. Potrafi czytać nuty. Napewno jest w stanie przypomniećsobiesobiete dźwięki.

Zagwizdał głośno, powtarzając tony, które udało mu się zapamiętać.

Sokół, zniżający lot ku powozowi, usłyszał sygnał. Zamiast przygotować się do lądowania na wyciągniętym ramieniu tresera, rozpostarł szpony z zabójczymi ostrzami.

Wleciał przez okno powozu, celując prosto w twarz Wormersleya.

Z wnętrza powozu doleciał krzyk i pojazd zakołysał się na kołach, kiedy Wormersley w środku szamotał się z sokółem. Kyte siedzący na koźle obrócił się, żeby zobaczyć, co się dzieje. Przerażony koń zaprzężony do pojazdu stanął dęba.

– Chodźmy! – krzyknął Sherlock do Stone'a. – Pan łapie Kyte'a, a ja Wormersleya.

– Ale...

– Szybko!

Nie miał zamiaru pozwolić, by członkowie Komnaty Paradoru uciekli, skoro miał szansę ich zatrzymać. Byli odpowiedzialni za śmierć zbyt wielu ludzi, powinni się wytłumaczyć ze zbyt wielu spraw. Był gotów gołymi

rękami wyciągnąć Wormersleya z powozu i zmusić go, żeby powiedział hrabiemu Szuwałowowi o planowanym zamachu.

Stone minął Sherlocka, kierując się ku zdenerwowanemu Kyte'owi. Sherlock rzucił się do najbliższych drzwiczek powozu, ale te nagle otworzyły się, uderzając go tak, że musiał się cofnąć na ulicę. Ze środka wyskoczył Wormersley, który oderwał od swojej głowy sokoła i cisnął nim w kierunku Sherlocka. Twarz i koszulę miał zalane krwią, na czole ślady uderzeń dzioba, na szyi rany po ostrzach.

Z furkotem skrzydeł sokół wzbił się do lotu. Tresura wystarczyła tylko na tyle – teraz ptak pragnął odzyskać wolność.

Wormersley otarł twarz rękawem, rozmazując krew w szkarłatną maskę. Jego oczy połyskiwały gniewnie.

– Ty piekielny braciszku, wszystko zepsułeś! – wrzasnął. – Ten plan był przygotowywany całymi latami, a ty unicestwiłeś go w jednej chwili!

– Poddajcie się – odparł Sherlock, spodziewając się, że Wormersley może w każdej chwili się na niego rzucić. – Nie macie wyjścia.

– Zawsze jest jakieś wyjście. – Wormersley sięgnął za siebie i wyciągnął coś z powozu. Wyglądało w jego ręku jak obręcz, dziecięca zabawka, ale gdy potrząsnął dłonią, to coś rozwinęło się aż do ziemi.

To był bicz, ale taki, jakiego Sherlock nie widział jeszcze nigdy w życiu. Inny niż ten, którym pan Surd, służący barona Maupertuisa, zaatakował niegdyś Sherlocka. Nie, ten wyglądał, jakby zrobiono go z plecionego drutu, a na końcu miał przyczepiony ostry metalowy pazur.

– Pamiętasz, jak mówiłem o rosyjskim knucie? – zapytał Wormersley. – Cóż, teraz przekonasz się na własnej skórze, co to takiego.

Smagnął nim nagle. Ostry czubek z jękiem przeciął powietrze. Sherlock odskoczył na bok i hak świsnął tuż obok jego ucha.

Gdy Wormersley przyciągnął bicz do siebie, koniec knuta zaczepił się o marynarkę Sherlocka.

Jego ciałem szarpnęło do przodu, tak że stracił równowagę i padł na czworaka na pokrytą śniegiem ziemię.

Wormersley zaszedł go od tyłu i zarzucił bicz na jego szyję. Pociągnął mocno w tył, odchylając mu głowę, tak że pętla zacisnęła się i Sherlock nie mógł oddychać.

Zamigotały mu przed oczami czerwone płatki. Rozpaczliwie próbował nabrać powietrza, ale wrzynające się w ciało stalowe linki sprawiały, że był

to daremny wysiłek. Usiłował wepchnąć palce pod pętlę, lecz Wormersley zacisnął ją zbyt mocno.

Czerwona mgła przed oczami zmieniła się w czarną. Świat stał się zamazaną plamą światła i dźwięków.

Sherlock kopnął prawą nogą, ale Wormersley stał pochylony poza jego zasięgiem. Jego knykcie wbijały się w kark Sherlocka.

– Giń! – syknął, zbliżając głowę do jego ucha. – Po prostu giń!

Próbując znaleźć na ziemi jakiś punkt oparcia, który pozwoliłby mu się wyprostować, musnął ręką kieszeń marynarki. Było w niej coś twardego i obłego – fiolka z klubu Diogenes. Ta, której użyto, by obezwładnić Mycrofta.

Mając czarno przed oczami, z tętnem łomoczącym w skroniach, Sherlock ostatkiem sił wydobył z kieszeni buteleczkę i na oślep wymacał przycisk na górze. Nie wiedział nawet, w którą stronę mierzy, ale uniósł ją nad głowę i gorączkowo nacisnął pompkę.

Za jego plecami Wormersley wciągnął powietrze. Uścisk osłabł. Sherlock padł do przodu, łykając wielkie hausty powietrza. Obrócił się na plecy i uniósł ręce, żeby móc odepchnąć Wormersleya w razie, gdyby ten znów zaatakował. Przez blednącą czerwoną mgielkę zobaczył jednak, że jego przeciwnik stoi nieruchomo i patrzy w przestrzeń z oszołomionym wyrazem twarzy.

Czyjeś ręce chwyciły Sherlocka i dokądś go pociągnęły. Przez chwilę myślał, że to pan Kyte, ale wtedy inne ręce odplątały metalowo-skórzany bicz z jego szyi. Gdy odwrócił głowę, zobaczył, że otaczają go żołnierze w niebieskich i szarych mundurach. Jeden go przytrzymał, podczas gdy drugi uwalniał go z knuta. Trzeci trzymał Wormersleya, którego twarz pod maską zaschniętej krwi była spuchnięta niemal nie do poznania. Czwarty żołnierz wyciągał z za powozu Rufusa Stone'a, krwawiącego z głębokiej rany na ramieniu.

Po panu Kycie nie został żaden ślad.

Następne kilka minut było rozmazaną plamą. Sherlocka i Rufusa Stone'a zaprowadzono pospiesznie do ponurego budynku na placu Łubiańskim, po czym na wpół pchano, na wpół ciągnięto ciemnymi korytarzami, po kolejnych schodach. Sherlock stracił orientację. Wreszcie minęli strażników w mundurach i weszli do szeregu połączonych gabinetów.

W ostatnim czekało na nich dwóch ludzi.

Jeden był także w mundurze wojskowym, ale dużo bardziej ozdobnym niż mundury innych żołnierzy, na ramiona narzucił płaszcz. Miał około czterdziestu lat, siwe, krótko ostrzyżone włosy i podwinięte na końcach wąsy. Drugi nie miał jeszcze trzydziestki, ubrany był w czarną marynarkę i pasiastą kamizelkę.

– Sherlocku – rzekł Mycroft spokojnie. – To jest jego ekscelencja hrabia Piotr Andriejewicz Szuwałow. Hrabio, pozwól pan, że przedstawię panu mego brata Sherlocka.

Szuwałow patrzył na Sherlocka dłuższą chwilę. Wreszcie spojrział znów na Mycrofta.

– Tak – odezwał się doskonałą angielszczyzną. – Sądzę, że wdał się w pańskiego ojca.

ROZDZIAŁ 16



W jadalni klubu Diogenes panowała grobowa cisza, więc Mycroft zarządził, by podano im jedzenie do pokoju dla gości. Tam wszyscy czterej mogli w końcu swobodnie porozmawiać.

Mycroft siedział u szczytu stołu, Sherlock po jego lewej, a Crowe po prawej. Rufus Stone zajął miejsce naprzeciwko Mycrofta.

Sherlockowi trudno było uwierzyć, że to w tym pokoju zaczęła się cała ich przygoda. Zerknął pod nogi, chcąc sprawdzić, czy na dywanie nie zostały ślady krwi. Przypomniawszy sobie nieszczęśnika, który tak bardzo pragnął zdobyć trochę pieniędzy dla rodziny, że zabił się na polecenie Komnaty Paradoru, wydane tylko po to, żeby skłonić Mycrofta do wyjazdu do Rosji. Ale na podłodze nie było żadnych śladów; albo ktoś fachowo oczyścił plamy, albo wymieniono dywan.

Mycroft i Crowe rozmawiali o tym, co amerykański rząd zrobi z Alaską, za którą wreszcie zapłacił. Sherlock skupił się na obiedzie. Milczący, odziani na czarno kelnerzy podali talerze z zupą.

Crowe spojrzał podejrzliwie na gęsty, czerwony płyn.

– To chyba nie nadaje się do jedzenia dla ludzi? – zapytał. – Wygląda jak bydlęca krew zmieszana z mlekiem.

– To jest barszcz – odparł Mycroft. – Rosyjska zupa z buraków, którą zaprawia się śmietaną. Pomyślałem, że podzielimy się z panem drobną pamiątką z naszej podróży. Nasz kucharz okazał się bardzo chętny do współpracy, a nawet gotów podjąć ryzyko. Choć wcześniej nie byłem pewien, czy potrafi ugotować cokolwiek poza zupą windsorską.

– Skoro mowa o wyzwaniach – rzekł Stone – czy są jakieś wieści o panu Kycie? – Dotknął ręką prawego ramienia, w miejscu gdzie opatrunek

skrywał paskudną ranę. Jego ton pozwalał sądzić, że chciałby dokończyć porachunki z niedźwiedziowatym rudzielcem.

Mycroft z żalem potrząsnął dużą głową.

– Nic. Jakby zapadł się pod ziemię. Pewnie Komnata Paradoru się nim zaopiekowała. Pod warunkiem, że jest zdolna do takiej wielkoduszności.

– A co z pozostałymi członkami Trupy Teatralnej Kyte’a? – zapytał Sherlock.

– Podobnie jak w przypadku pana Kyte’a, nie udało się ich odnaleźć, zapewne się ukrywają – odparł Mycroft z ponurą miną. – Być tak blisko Komnaty Paradoru, tak blisko pani Loran, która, jak sądzę, jest jednym z jej najważniejszych członków, i tego nie zauważyć... Irytuje mnie to, Sherlocku. Oskarżenie o morderstwo i pobyt, co prawda krótki, w więzieniu zaćmiły mój umysł. Powinienem był się domyślić, że w całym tym zespole jest coś dziwnego. Powinienem był się zorientować, że to wszystko było ukartowane.

– A Wormersley?

– Na to pytanie mogę odpowiedzieć. Ze zrozumiałych przyczyn hrabia Szuwałow nie oddał go w nasze ręce. Tkwi w celi na Łubiance. Co stanowi pewien paradoks, biorąc pod uwagę, że wybraliśmy się aż do Moskwy właśnie z powodu mojego przypuszczenia, że tam trafił. – Westchnął. – Zmienił się. Nie jest już tym samym człowiekiem co dawniej. Myślę, że tak właśnie działają na ludzi podróże, dlatego też przez resztę życia zamierzam podróżować tak mało, jak to tylko możliwe.

– Dziwię się, że hrabia Szuwałow tak od razu panu uwierzył – zadudnił Crowe, wciąż wpatrując się podejrzliwie w talerz z zupą. Na próbę zamieszał ją łyżką.

– To kolejny paradoks – rzekł Mycroft. – Znam Szuwałowa dużo krócej niż Wormersleya, a jednak to ta relacja przetrwała dzięki zaufaniu, podczas gdy moja przyjaźń z Wormersleyem to już przeszłość. Dobrze się rozumiemy z Szuwałowem. Myślimy podobnie. Kiedy dotarła do niego wiadomość o moim aresztowaniu, natychmiast zażądał, by przyprawiono mnie do niego. Zaproponował mi herbatę i odbyliśmy bardzo uprzejmą rozmowę. Przeprosił mnie za brutalność swoich ludzi, a ja poprosiłem o wybaczenie, że przyjechałem do jego kraju, nie zapowiedziawszy swojej wizyty. Tak właśnie powinno się prowadzić politykę zagraniczną: kulturalnie i przy filiżance herbaty, a nie z użyciem tresowanych sokołów jako narzędzi mordy.

– I naprawdę uwierzył w całą tę szaloną historię?

– Kiedy Sherlock opowiedział, czego się domyślił, stało się jasne, że potwierdzają to wszelkie dowody. Ludzie widzieli, jak sokół ze stalowymi ostrzami wlatuje do powozu, byli też świadkowie walki Sherlocka z Wormersleyem oraz pana Stone’a z panem Kyte’em. A wcześniej hrabia Szuwałow dostał wiadomość, że aresztowano mnie w Londynie za morderstwo. Oczywiście ma tu swoich agentów, tak samo jak ja mam, a raczej miałem, w Rosji. – Urwał i zamyślił się na chwilę. – Choć jego ludzie pewnie nie pracują potajemnie dla Komnaty Paradoru, co jest punktem dla niego w toczącej się grze.

– Grze? – zapytał Sherlock.

– Nieustannych strategicznych zmaganiach między Rosją a Wielką Brytanią o kontrolę nad Azją Środkową: Afganistanem i Indiami. Nazywamy to wielką grą.

– Ojciec jest w Indiach – zauważył Sherlock. – Trwają tam walki. To nie jest gra, Mycroftie.

Mycroft zmieszał się.

– Masz rację, drogi bracie. Ani gra, ani wielka. Siedząc tu, w Londynie, w wygodnym fotelu, łatwo o tym zapomnieć. Jeśli pobyt w Rosji nauczył mnie czegokolwiek, to tego, że pionki, które tak beztrzesko przedstawiamy na szachownicy w zaciszu ministerialnych gabinetów, to żywi ludzie z prawdziwymi uczuciami. Zapamiętam tę lekcję. – Uśmiechnął się niepewnie. – Przypomniałeś mi, że wciąż nie pokazałem ci listu od ojca, który przysłał z Indii, a przecież przyjechałeś tu z Farnham, żeby go zobaczyć. Trzymam tę przesyłkę w swoim biurze i później ci ją przekażę.

Amyus Crowe odchrząknął.

– Jaki jest plan? – zapytał, najwyraźniej chcąc zmienić temat na lżejszy. – Dokąd się teraz udajemy? Jeśli chodzi o mnie, mam zamiar spędzić trochę czasu z córką.

– Ja wracam do mego mieszkania i do pracy – rzekł Mycroft.

– A ja chyba do dworu Holmesów, do stryjostwa i cudownej pani Eglantine – rzekł Sherlock melancholijnie. Spojrzał na Rufusa Stone’a. Przez chwilę pomyślał o tamtym dniu w Farnham i ubranej na czarno kobiecie, która najpierw go obserwowwała, a potem zniknęła w alejce za dworcem. Wtedy podejrzewał, że była to pani Eglantine, ale teraz nabrał wątpliwości. Także panna Aiofe Dimmock mogła go śledzić, zanim Komnata Paradoru uruchomiła swój skomplikowany plan. A może to

jednak była pani Eglantine. Sherlock postanowił, że kiedy wróci do dworu Holmesów, wyjaśni tę zagadkę raz na zawsze i dowie się, jaką ta kobieta naprawdę ma władzę nad jego rodziną.

– A pan, panie Stone? – zapytał Mycroft, przerywając myśli Sherlocka.

Muzyk uśmiechnął się i spojrzał na Sherlocka. Złoty ząb z tyłu ust zaśnił w blasku świec.

– Rozumiem, że masz teraz dobre skrzypce – powiedział. – Liczę na to, że będę miał przyjemność posłuchać ich brzmienia. Dwa razy w tygodniu po godzinie. Czy pasują ci wtorki i czwartki?

– Idealnie – powiedział Sherlock.

KOMENTARZ HISTORYCZNY

Muzeum, w którym Sherlock zostaje zaatakowany przez drapieżnego ptaka, stworzyłem na podstawie moich wspomnień z Muzeum Passmore'a Edwardsa w Stratfordzie we wschodnim Londynie. Pamiętam, jak bywałem tam na początku lat siedemdziesiątych na szkolnych wycieczkach i jakie wrażenie robiła na mnie sama liczba wypchanych zwierząt porozstawianych w starych wiktoriańskich salach (oraz stęchły zapach). Potem dowiedziałem się, że John Passmore Edwards (1823–1911) był brytyjskim dziennikarzem i właścicielem gazety, który przeznaczył swój spadek na rzecz wybudowania 70 budynków (głównie szpitali, bibliotek, szkół, sanatoriów oraz galerii sztuki), a także ufundował 11 źródeł ulicznych i 32 marmurowe popiersia. Prawdziwy wiktoriański filantrop.

Kolej Cmentarna istniała naprawdę. Tylko ludzie epoki wiktoriańskiej mogli wymyślić coś takiego jak linia kolejowa specjalnie dla zmarłych. Co prawda gdyby Egipcjanie znali kolej, pewnie wpadliby na podobny pomysł, ale tylko w dziewiętnastowiecznej Anglii mogły obowiązywać różne ceny biletów dla trumien jadących pierwszą, drugą i trzecią klasą. Na wzmiankę o tej linii trafiłem po raz pierwszy w książce opowiadającej o tym, co skrywają podziemia Londynu, i od tego czasu szukałem informacji na jej temat w innych podobnych publikacjach. Najważniejsze spośród nich to:

Richard Trench, Ellis Hillman, *London under London: A Subterranean Guide*, John Murray, 1993.

Stephen Smith, *Underground London: Travels beneath the City Streets*, Abacus, 2005.

Catharine Arnold, *Necropolis: London and Its Dead*, Pocket Books, 2005.

King's Theatre w Whitechapel inspirowany jest w dużej mierze Theatre Royal w Stratfordzie. W czasach szkolnych sporo grałem w amatorskich przedstawieniach, które czasem wystawialiśmy w Theatre Royal. Budynek pochodzi z 1888 roku, a ja często krążyłem za kulisami, chłonąc jego atmosferę.

Zebranie informacji, które pozwoliłyby mi opisać podróż Sherlocka i Mycrofta do Rosji, było zaskakująco trudne. Większość książek na temat tego kraju skupia się na rewolucji październikowej (1917), okresie istnienia Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich (przy czym koncentrują

się one głównie na Leninie, Stalinie i Trockim) oraz wydarzeniach po upadku ZSRR. Połowa dziewiętnastego wieku to biała plama. W końcu podszedłem do tego z innej strony – studiując historię wojny krymskiej (1853–1856) – ale później odkryłem książkę, w której cytaty z rosyjskich pisarzy z tego okresu ułożono w rodzaj dokumentalnej opowieści. W każdym razie korzystałem z pozycji:

Alexander Troubetzkoy, *A Brief History of the Crimean War*, Robinson, 2006.

Anna Benn, Rosamund Bartlett, *Literary Russia: A Guide*, Gerald Duckworth & Co., 2007.

Przyznam z pewnym wstydem, że wiele szczegółów dotyczących cara, jego tajnej policji oraz sprzedaży Alaski zawdzięczam Wikipedii. Później trafiłem na egzemplarze „Illustrated London News” z lat pięćdziesiątych dziewiętnastego wieku. W kilku z nich były relacje z podróży do Moskwy, skąd bezwstydnie zaczerpnąłem opisy miasta i jego mieszkańców.

Piotr Andriejewicz Szuwałow to postać historyczna. Hrabia naprawdę stał na czele Trzeciego Oddziału, który rzeczywiście był tajną carską policją. Szuwałow w istocie spędził trochę czasu we Francji, gdzie mógłby poznać Mycrofta Holmesa. Książę Jusupow także istniał naprawdę. Był znanym mecenasem sztuki.

A jeśli chodzi o kwestie niehistoryczne, to à propos myśli Sherlocka z ostatniego rozdziału mogę zdradzić, że następny tom – zatytułowany być może *Ognista burza* – będzie między innymi o tym, jak Sherlock nareszcie zmierzy się z nieprzyjazną panią Eglantine.

Do zobaczenia...

Przekład: Dominika Cieśla-Szymańska

Redakcja: Anna Kubiak
Korekta: Elżbieta Jaroszuk, Agnieszka Cybulska

Opracowanie okładki polskiej na podstawie wersji oryginalnej: Magdalena
Antoniuk

Ilustracja na okładce: © Kev Walker and Sam Hadley

Skład i łamanie: www.pagegraph.pl

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.
00-372 Warszawa, ul. Foksal 17
tel. 22 828 98 08, 22 894 60 54
biuro@gwfoksal.pl
wab.com.pl

ISBN 978-83-7881-190-9

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Wydawnictwo W.A.B.](http://Wydawnictwo.W.A.B.)
i Magdalena Wojtas / [Virtualo Sp. z o.o.](http://Virtualo.Sp.z.o.o.)

VIRTUALO
Digital platform of tomorrow